



LESZEK MIESZCZAK

NOC **JEST** **DNIEM**



LESZEK MIESZCZAK

NOC JEST DNIEM

Leszek Mieszczak
„Noc jest dniem”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2016
Copyright © by Leszek Mieszczak, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Maja Arsić

Korekta profesjonalna: Ryszard Krupiński

Projekt okładki: Maja Arsić

Ilustracje na okładce: © jeremias münch - Fotolia.com

© determined - Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-574-1

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Nie każdy, którego oczy są zamknięte, śni.

I nie każdy z otwartymi oczami może widzieć.

ŻYCIE W TRYBIE AWARYJNYM

Rok 2013 wydawał mi się jakimś dziwnym okresem w moim życiu. Niby życie toczyło się w miarę uporządkowanie do przodu, ale jeśli się tak zastanowię, to tylko czas parł w tę stronę, natomiast ja stałem w miejscu albo cofałem się. Jednym słowem – stagnacja dopadła mnie na wszystkich poziomach. Codzienna jazda do pracy pociągiem była jednym z elementów wpisujących się odmiennością w stosunku do roku poprzedzającego czas terażniejszy, w którym miejsce pracy, firmę na Sarnim Stoku, osiągałem samochodem w 25 minut, słuchając po drodze Radia Bielsko. Podróżując pociągiem, miałem bezpośredni kontakt z ludźmi, którzy rankiem wydawali się pozostawać jeszcze w szponach nocnego letargu, opleceni sennymi ramionami niedospanej nocy. Czas dojazdu wypełniałem sobie czytaniem książek, zwłaszcza że wyposażony w czytnik e-booków wybór miałem przeogromny.

Wszystko układało się wspaniale, dopóki pewnego razu nie upadłem, wysiadając z wagonu. Wyrzucona torba z dużą siłą uderzyła o betonowe płyty peronu. Wstrząs okazał się śmiertelny dla delikatnego ekranu. Po tym upadku wróciłem do tradycyjnej metody czytania książek. Na tapecie miałem powieści Żuławskiego, a zwłaszcza jego ostatnią, trzecią część księżycowej trylogii.

Przez chwilę czułem, jakby czas zatoczył koło i powrócił do młodszych lat, w których wszystko wydawało się barwne i chociaż ludzie lądowali już na księżycu, opowieść o astronautach, walczących o życie po wystrzeleniu ich

z potężnej armaty, a zamkniętych w pocisku, chociaż archaiczna, ciągle wzbudzała mój podziw. Ludzkie dramatyczne przeżycia zawsze pozostają fascynujące i ciągle trwają w wymiarze skumulowanym w jednym punkcie akcji, który nazywa się prozaicznie walką o przetrwanie. Podobnie świat materialny, który nas otacza, był w jednym punkcie skumulowany, aż Bóg postanowił, aby nastąpił wybuch i jego eskalacja we wszystkie strony świata. Chociaż nie znamy zamysłu stworzenia, brniemy w jego stronę, starając się dotrzeć do tego jednego punktu, w którym wszystko się zaczęło. Zaczął istnieć znany nam dobrze czas. Pojawiamy się w nim tylko na chwilę, spotykając tak wiele pokrewnych nam dusz. Dzielimy się z nimi sobą i znikamy za zasłoną, bez możliwości jej przekroczenia. Uczni dostają się coraz bliżej punktu, w którym materia wystrzeliła swoją żywotnością, a już chcą wiedzieć, co jest za tym punktem, jaki świat roztacza się w tym nieznanym wymiarze Boga. Można sobie zadać pytanie za księdzem Michałem Hellerem: dlaczego istnieje raczej coś niż nic? Ten punkt początkowy zawiera wszystkie dzieje i wszystko, co było, jest i będzie. Każdy z nas posiada ten mały punkt, który łączy go z tym niezmiernym bytem, zapoczątkowanym w naszym materialnym świecie wybuchem. I chociaż materia, z jakiej jesteśmy zbudowani, stanowi maleńki ułamek całości, nie wyobrażamy sobie, jak może wyglądać inny świat, inne życie wzniesione na przykład z ciemnej materii, stanowiącej dwadzieścia sześć procent wszystkiego, w czym przyszło nam żyć. Resztę procent pozostałej części stworzenia wypełnia ciemna energia. W tym wszystkim zawieszona jest nasza Ziemia, gdzieś na peryferiach wszechświata, i tutaj naprawdę można zwątpić, że jesteśmy osią wszystkiego, radością zamysłu Stwórcy.

Z tej perspektywy moja codzienna droga z domu do pracy staje się po prostu niczym. Uzmysłowanie własnej nicości wbiło mnie w siedzenie w pociągu relacji Łodygowice Górne - Bielsko-Biała Północ. Przez brudną szybę spoglądałam co jakiś czas na zewnątrz, upewniając się, ile jeszcze drogi mi pozostało do docelowej stacji. Pociąg z łoskotem wtoczył się na peron stacji Bielsko-Biała Północ i zatrzymał się. Wysiadłem z wagonu. Na zewnątrz świeże powietrze wypełniło moje płuca. Stąd do pracy miałem może z sześćset metrów. Droga biegła przez rondo Solidarności. Marsz staje się błogosławionym i oczekiwanym czasem na przemyślenia po wagonowym czytaniu, zanim zacznie się toczyć zwykły dzień pracy.

Miałem sporo szczęścia, zahaczając się w branży samochodowej w 1993 roku. Firma stanęła u progu bumy motoryzacyjnego, po wyrwaniu się z kleszczy gospodarki komunistycznej. Nowa gospodarka rynkowa otworzyła momentalnie wszystkie kierunki rozwoju ogarnięte dotąd reglamentacją. Człowiek stawał się wolny, natomiast w innym tego słowa znaczeniu zaczynało się nowe niewolnictwo: niewola pieniądza, posiadania i manii wielkości, która doprowadziła w bardzo szybkim czasie do wynaturzeń. Przybywało nowobogackich, podczas gdy sfera

biedy obejmowała szerszą część społeczeństwa. Ceny zachodnie, a zarobki wschodnie oddalały biedną część społeczeństwa od zdobyczy nowego systemu, który, jak zwykle, okazał się w dużej mierze niesprawiedliwy. Ci, co zyskali więcej, nie mieli zbyt chętności na dzielenie się z resztą społeczeństwa. Nagle, jak grzyby po deszczu, zaczęły wyrastać fortuny, rozwijać się przedsiębiorstwa, państwowe zakłady za bezcen wpadały w ręce nomenklatury, która nagle znów stawała się klasą wiodącą w nowym kapitalistycznym ustroju.

W tym wszystkim znajdowałem się ja. Zmierałem jak zwykle rankiem do pracy. Stanowiłem, jakby nie było, jeden z elementów właśnie takiego świata, tej obecnej chwili. Uczestniczyłem w tym procesie od pięćdziesięciu trzech lat. Szukałem swojego miejsca, celu swojej egzystencji i jakoś w tym roku wszystko wydawało mi się bezsensowne.

Po ośmiu godzinach pracy, trochę wymęczony, opuszczałem serwis samochodowy VW Audi z małą dozą optymizmu, że może dzisiaj coś się zmieni w moim życiu. Ale co miało się zmienić? Słońce świeciło, wiał lekki wiatr. Do odjazdu pociągu miałem jeszcze 38 minut. Naprzeciw firmy znajdował się market, który popołudniami ożywał, a ludzie jak mrówki czujące w pobliżu jakąś zdobycz, wytyczonymi szlakami przedostawali się do wnętrza, zaspokajając własne zapotrzebowanie na materialne produkty swojej cywilizacji. Zwłaszcza w niedzielne dni „kościół” ten wypełniał się niczym materialne sanktuarium współczesnego człowieka. Całymi rodzinami wypełniał się pasaż handlowy i przylegające do niego sklepy. Dzisiaj była środa, więc market nie sprawiał świątecznego wrażenia pikniku rodzinnego.

W niecałe trzy minuty znalazłem się na końcu pasażu, gdzie mieścił się sklep empiku, najbliższa w zasięgu księgarnia. Zapach woluminów zawsze nastrajał mnie dobrym samopoczuciem. Lubiłem snuć się między regałami w poszukiwaniu książkowego rarytasu. Przeszukałem regały z nowościami, a później przesunąłem się bliżej półek z filozofią i religią. Za ladą stała uśmiechnięta pani, która latem zeszłego roku zaoferowała mi pomoc w postaci większej ilości reklamówek, do których mogłem zapakować moje książki ofiarowane na piknik szkolny jako fanty w loterii zorganizowanej przez Komitet Rodzicielski. Zabawa zresztą należała do udanych.

Wracając do książek, w oczy rzuciły mi się dwie pozycje ks. Michała Hellera: „Filozofia przypadku” i „Logos wszechświata”.

Przewertowałem z grubsza raz jedną, a raz drugą i spojrzałem na cenę. Mój portfel wydawał się jednak zbyt pusty, abym mógł sobie pozwolić na zakup chociaż jednej z tych pozycji. Musiałem zadowolić się dziesięciominutowym czytaniem dzieła. Pozostawała mi jeszcze biblioteka, ale dzisiaj nie miałem już czasu. Musiałem poczekać na następny raz, kiedy w pracy zjawię się moim samochodem i podjadę do Książnicy Beskidzkiej albo do którejś z jej filii.

Od wydania ostatniej mojej książki minęły już trzy lata. Trzy długie lata, a ja, zamiast zająć się kolejnym dziełem, trwałem w przysłowiowym bezruchu. Wszystkie pomysły odpłynęły, nowe nie odnajdywały drogi do mojego umysłu. Moja dusza też się gdzieś szwendała, poddając się jakiejś niemocy. Być może jedną z przyczyn całej stagnacji był brak wyraźnej zwyczajki w sprzedaży moich książek. Trzy pozycje wydane z takim trudem zalegały na półkach, a czwarta nie mogła odnaleźć na rynku wydawniczym swojego wydawcy. Pierwszą myślą, jaka przychodziła mi do głowy, było to, że są po prostu do kitu. Nawet antologia wydana przez Wydawnictwa Biblioteki Uniwersyteckiej nie poprawiała mi humoru. Próbowałem sam zrobić jakąś reklamę, ale przy moich zarobkach było to poza zasięgiem. Prawda, potworzyłem jakieś strony internetowe, założyłem bloga, konto na Facebooku, ale ciągle nie byłem znany, a moje słowa przedostawały się do uszu i oczu czytelników na nielicznych wieczorach autorskich. Ostatni w restauracji BLU, zorganizowany z grupą artystyczną „na przekór”, do którego zaangażowałem również syna ze skrzypcami i jego koleżankę, która grała na fortepianie, zakończył się klapą. Może nie całkiem, ale jego znaczenie okazało się niewielkie. Wąskie grono odbiorców było całkiem sympatyczne, jednak awaria sprzętu i słabe nagłośnienie nie przyniosło żądanych efektów.

W drodze powrotnej na dworzec obmyślałem kolejne posunięcie. Postanowiłem rozproszyc moje książki po okolicznych bibliotekach. Już kilka z nich odwiedziłem, pozostawiając swoje „arcydzieła” w poczet zwiększenia okazałych zasobów tychże czytelni. Maszerowałem spokojnym rytmem, ale tak naprawdę w moim życiu utknałem w martwym punkcie. Wyglądało to, jakbym w zimie zakopał się samochodem w okazałej zaspie. Szarpałem autem w przód i w tył, a pojazd ani drgnął.

Przypomniałem sobie, że jakąś ulgę przynosiły wycieczki po górach z moją żoną i przyjaciółmi. Marsz, chociaż wykańczał fizycznie, w jakiś sposób dowartościowywał mnie rozmowami, widokiem pięknych miejsc stworzonych przez Boga, właśnie tak jak to sobie wymyślał, kiedy postanowił w swojej nieskończonej matematycznej głowie napisać wzór, który określił wszystko, co zobaczyłem. Jednak my ludzie staramy się zawsze ten wzór zepsuć, dodając do niego fatalne w skutkach niewiadome własnej wolności, którą zresztą sam nam podarowałem.

Zastanawiałem się nad sobą. Być może za mało pracowałem, ale jak pracować, jeśli nic do głowy rozumnego nie przychodzi? W pracy otoczony samochodami, w domu zajęciami, które potrzebne są do podtrzymywania egzystencji, z ledwością wyszarpywałem trochę czasu, trwoniąc go na bezcelowe przeglądanie Internetu, nie przynoszące żadnego dodatniego bodźca, który mógłby uruchomić lawinę myśli i zdarzeń prowadzących do twórczego niepokoju i wytworzenia dzieła, którym byłbym zachwycony.

Kolejne wspomnienie. Latem ze znajomymi odwiedziłem wspaniałego człowieka, poetę, od którego mógłbym się wiele nauczyć. Juliusz Wątroba okazał się takim załączkiem ekspresji, humoru i wyjątkowej witalności. Pomimo przebytej choroby, która odcisnęła się na jego ciele, tryskał radością, pokazując świetlistą stronę swojej duszy. Jakże mi dużo brakuje do niego i stylu, chociaż ten powinien być inny, jak i zacięcia do pisania. Wydanych dwadzieścia siedem tomików świadczyło o potędze jego słowa. Trudno, każdy jest inny, mimo to jakaś iskra po tym spotkaniu się we mnie zapaliła, ale ciągle brakowało mi katalizatora powodującego samozapłon. Tęsknię za czasem, kiedy słowa garnęły się do moich myśli.

ŚLEPY TRAF

Maszerowałem w zamyśleniu, nie zwracając uwagi na nic, poza moimi wizjami pojawiającymi się i niknącymi, jak pędzące chmury na nieskazitelnym błękitnie nieba. Nagle wpadłem na kobietę wędrującą wąskim chodnikiem w przeciwnym kierunku. Spojrzałem w jej niebieskie oczy z zażenowaniem, a z ust wydobyłem bardzo szybko słowa przeprosin. Chwilę patrzyła na mnie, kręcąc głową, jakby chciała mnie skarcić za moją nieuwagę. Nic nie odpowiedziała, wymijając mnie szybko, jakby się bała. Maszerowała dalej, kierując się w stronę ronda.

Znajdowałem się już blisko mostu i schodów prowadzących na peron. Parę osób jak zwykle oczekiwało już na płycie oddzielającej tory, po których mijały się pociągi jadące do Bielska i do Katowic. W dole na peronie zieleń wdzieriała się ze wszystkich stron. Minąłem dwóch mężczyzn i starszą panią. Teraz pozostawało tylko oczekiwanie na pociąg. Na tym dworcu nie było głośników, więc czekanie przypominało wynik równania z dwiema niewiadomymi. Wynik jako trzecia niewiadoma pozwalał mi spokojnie wyciągnąć słuchawki z teczki i posłuchać nagranych w telefonie audycji ks. Hellera, dotyczących nauki i religii, noszących tytuł „Drogami ludzi myślących”. Na jednej z tych niezliczonych dróg znajdowałem się właśnie w tej chwili. W historii świata tylko terażniejszość jest najważniejsza. Tu i teraz jest sednem wszystkiego, centrum wszechświata, centrum Jego wszechświata, a czas służy tylko do poukładania chronologii zdarzeń będących terażniejszością. One uruchamiają płynięcie wszystkiego od minus nieskończoności do plus nieskończoności.

Stałem tak zasłuchany w słowa profesora, że nie zauważyłem wtaczającego się po torach na stację składu wagonów. Podbiegłem w końcu do jednych z drzwi i nacisnąłem guzik otwierający. Dopiero za drugim naciśnięciem podwoje wagonu

stały otworem. Mogłem swobodnie przejść do jego wnętrza. Rześki chłodek klimatyzacji przeniknął moje ciało od głowy i rąk do stóp. Odetchnąłem na chwilę i rozejrzałem się w poszukiwaniu miejsca do siedzenia. Nie mogąc znaleźć żadnego, ruszyłem w głąb wagonu, omiatając spojrzeniem pasażerów wygodnie już siedzących i oddających się własnym sposobom umilania czasu podróży. Wreszcie znalazłem wolne siedzenie w głębi wagonu. Nie namyślając się wiele, podszedłem bliżej.

— Przepraszam, wolne? — zapytałem, kierując wzrok na siedzącą przy oknie panią.

— Oczywiście — usłyszałem ciepły głos, który dziwnie poruszył moje struny wewnętrzne, moje ukryte ja.

Usiadłem wygodnie, lokując swoją teczkę na kolanach. Otworzyłem ją i wyciągnąłem niewielką książkę z wierszami ks. Twardowskiego. Przypomniałem sobie zaraz mój referat, który przygotowałem o jego twórczości do Klubu Poetów przy Bibliotece Uniwersyteckiej. Nie mogłem wtedy uczestniczyć w dyskusji i spotkaniu w Warszawie, ale z relacji przyjaciół dowiedziałem się, że odbyły się dwa. Obydwa poddane zostały krytyce i porównaniu. Niestety, o szczegółach nie dowiedziałem się zbyt wiele. Tak to bywa, jeśli nie może się być osobiście na takim spotkaniu i nie może się stawić czoła krytyce swoich słów, ocen i sposobu ukazania arcyzmu zawierającego się w prostocie słów autora, którego zresztą bardzo ceniłem.

Pociąg ruszył, a ja zająłem się czytaniem jego słów. Co jakiś czas zerkałem przez okno na mijające krajobrazy. W czasie tych spojrzeń mój wzrok zaczepiał się dyskretnie co jakiś czas na twarzy mojej sąsiadki. Na bladej cerze odbijało się świecące dzisiaj słońce, które podczas niektórych zakrętów grzęzło w tej białej jak kreda skórze. Tylko ciemne okulary wyraziście kontrastowały z tą jasnością. Ciekawy byłem, jakie oczy kryją się za czarną taflą szkieł? Siedziała bardzo spokojnie. Nie chciałem opuścić chwili, kiedy się ruszy lub poprawi oprawki zasłaniające, jakby nie było, część jej twarzy, dlatego zerkałem na tekst i z powrotem na nią. Nie miałem pojęcia, skąd nagle wzięło się we mnie zainteresowanie jej osobą. Biała bluzka z krótkim rękawem zapięta prawie pod samą szyję uwydatniała kryjące się pod nią wdzięki prawdziwej kobiety. Spojrzałem mimo woli w dół. Spod brązowej spódnicy wystawały równie blade jak twarz kolana. Nagle obok jej ciała, przyciśniętą do ściany wagonu, dostrzegłem niezwykle białą laskę, taką, jakich używają niewidomi przemierzający się czasem ulicami miast lub na filmach, jakie z ich udziałem widziałem w kinie czy telewizji. Po tym odkryciu zrobiłem głupią minę i wróciłem do czytania Twardowskiego.

Mijaliśmy kolejną stację. Były to chyba Leszczyny. Coś strzyknęło mnie w biodrze tak, że podskoczyłem, trącając niechcący siedzącą koło mnie kobietę.

Nie wiem, co to było, ale trwało tylko chwilę. Od razu odwróciłem się w jej stronę z przeprosinami.

— Bardzo przepraszam panią.

— Nic nie szkodzi — odpowiedziała szybko, nie odwracając w moją stronę twarzy. — Jestem uodporniona na wszelkiego rodzaju stłuczki — dodała po chwili dźwięcznym głosem.

Spojrzałem między siedzenia. Torebka, którą jeszcze chwilę temu widziałem na jej kolanach, zsunęła się na podłogę, a wraz z nią z otwartego wnętrza zaczęły wypadać niewielkie przedmioty, rozsypując się wokół z niewiarygodną szybkością. Ogarnęło mnie zdziwienie, że aż tyle tego mieściła w sobie. Nie namyślając się wiele, ruszyłem w jej kierunku, aż tu nagle moja głowa uderzyła w głowę mojej sąsiadki. Oboje chyba poczuliśmy nieznośny ból, prostując swoje ciała do pozycji siedzącej. Dopiero po chwili, kiedy minął na naszych ustach pierwszy grymas, pojawił się uśmiech.

— Przepraszam, znów coś narozrabiałem, ale chciałem tylko pomóc pani podnieść torebkę. Powinienem zauważyć, że pani robi to także. Chyba szybciej działałam, niż myślałam.

— Och, to ja pana przepraszam — szybko zripostowała moje przeprosiny miłym, słodkim głosem.

— Proszę się nie martwić, ja wszystko zaraz pobieram.

— Bardzo pana proszę — zaczęła, zmieniając ton głosu na bardzo proszący.

— Niestety, nie widzę i miałabym trudności ze znalezieniem wszystkich przedmiotów. Zawsze trzymam zapiętą torebkę, nie wiem, skąd wzięła się moja niefrasobliwość — próbowała się tłumaczyć.

— Już pani pomagam.

Zacząłem od penetrowania podłogi wokół naszego siedzenia. Od razu chwyciłem torebkę lewą ręką, a prawą zgarniałem rozsypane przedmioty, pomadki, szczotkę do włosów, klucze, krem i Bóg wie jeszcze co. Spojrzałem na klucze, które zostały zapięte na metalowym breloczku z napisem „Nie wstydzę się Jezusa”. Najdalej leżał mały notesik. Nie miałem pojęcia, jak mógł się tak daleko poturlać, był przecież prostokątny i płaski. Do tego się otworzył, a ja spojrzałem mimowolnie na zapisane w nim słowa. Nie chciałem ich czytać, przecież te słowa nie należały do mnie, stanowiły tajemnicę jej właścicielki. Akurat na tej stronie znajdowały się tylko telefony. Upewniwszy się, że spakowałem już wszystko, podniosłem się z podłogi i z uśmiechem wręczyłem torebkę prosto w jej dłonie. Mój kretyński uśmiech zniknął, kiedy przypomniałem sobie, że jej właścicielka nie widzi.

— Proszę sprawdzić, czy wszystko się znalazło — zaproponowałem, trzymając jeszcze w ręce torebkę. Upewniwszy się o jej mocnym przechwyceniu, zabrałem dłonie.

Przejęła torebkę, uśmiechając się. Prawą rękę włożyła do środka, przerzucając przedmioty i upewniając się, czy aby wszystko znalazłem.

— Ogromnie panu jestem wdzięczna, wszystko w porządku.

Jeszcze czasami bywam taka niezdarna i niezaradna.

— Każdemu się zdarza — odparłem. — Nie tak dawno wywaliłem pół zawartości teczki na peron i w dodatku zniszczyłem sobie czytnik książek, który pierwszy wypadł z hukiem na betonowy krawężnik.

— Pani podróżuje sama? — zapytałem, starając się dowiedzieć czegoś więcej o mojej chwilowej towarzyszce podróży.

— Od niedawna jeżdżę sama.

— Jak pani daje sobie radę? — zapytałem szybciotko z niedowierzaniem.

— Moja siostra mieszka w Pszczynie niedaleko dworca. Urodziła malutkiego dzidziusia, teraz jest już duży, ale nie może już przyjeżdżać do mnie tak często jak kiedyś. Wie pan, ile pracy jest, kiedy pojawiają się dzieci?

— Wiem, miałem okazję tego doświadczyć z dziećmi, a teraz z wnukami.

— O, to ma pan doświadczenie. Po głosie myślałam, że jest pan młody — przerwała moją chęć poszerzenia wypowiedzi. — Koleżanka odprowadza mnie na pociąg w Żywcu, a w Pszczynie siostra. Tak to wygląda, ale coraz lepiej się orientuję w przestrzeni wagonu i stacji — rozgadała się, jakby do tej pory była zamknięta w wymiarze własnej klatki, o ścianach nie do przeniknięcia, oddzielającej ją od reszty świata, a zahaczywszy się o moją osobę, wydostała się z niej bez żadnych trudności, uzewnętrzniając swoją otwartą na innych osobowość.

Miałem ochotę zapytać o przyczynę jej ślepoty, jednak nie odważyłem się. Dlaczego miałyby mi o tym opowiadać, facetowi przypadkowo spotkanemu w pociągu relacji Katowice–Zwardoń?

— Jaką już stację minęliśmy? — zapytała, dodając — rozkojarzyłam się zupełnie zajściem z moją torebką i straciłam poczucie orientacji w przestrzeni mojej podróży.

— Właśnie wyjeżdżamy z Wilkowic — oznajmiłem, upewniając się, że to prawda.

Sam potrzebowałem uzmysłwić sobie, w którym miejscu trasy się znajdowałem. Na następnym postoju musiałem już wysiąść.

— Daleko pan jedzie? — zapytała, jakby uprzedzając moje słowa, które już przygotowywały się do opuszczenia moich ust.

— Właśnie chciałem pani powiedzieć, że na następnej stacji muszę wysiąść.

— W Łodygowicach Górnych?

— W Górnych, tutaj mieszkam — wyznałem, ni stąd, ni zowąd. — Miło mi było panią poznać. Do widzenia — odrzekłem i zaraz zrobiło mi się głupio. Przecież ona mnie nie widzi.

— Dziękuję za pomoc z moimi klamotami — odpowiedziała, a na jej ustach

pojawił się uśmiech. — Z pewnością chciałabym pana zobaczyć — zripostowała delikatnie moją poprzednią wypowiedź i pożegnanie. Przecież nie mogłem powiedzieć: do usłyszenia.

Schowałem książkę do teczki, wstałem z siedzenia i ruszyłem w stronę wyjścia. Pociąg jeszcze jechał, trzymałem się drążka i jeszcze raz spojrzałem w jej stronę. Twarz zwrócona była w moim kierunku, jakby odprowadzała mnie wzrokiem, chociaż nie mogła tego robić z oczywistych względów. Pociąg zaczął hamować, a wraz z nim wszyscy pochylali się do przodu. Ktoś nacisnął guzik otwierania i drzwi się otworzyły. Po kilku krokach znalazłem się na peronie.

Rozejrzałem się, czy ktoś ze znajomych także nie wysiadł z tego pociągu. Nie było nikogo, ale mimo woli spojrzałem na wagon, z którego wysiadłem. Mój wzrok poszukał okna z niewidomą. Jej twarz była zwrócona w stronę szyby. W tym momencie pociąg ruszył. Odwróciłem się w kierunku drogi i pomaszerowałem do domu. Po drodze naszła mnie myśl, jak rozumieć moje spotkanie z tą kobietą. Chociaż rysy twarzy już rozplływały się w mojej pamięci, widziałem czarne włosy sięgające ramion, okulary zasłaniające skutecznie oczy i tym samym część twarzy, pęk kluczy z brelokiem „Nie wstydzę się Jezusa” i dziwne wrażenie nie pozwalające przejść obojętnie obok tego całego zdarzenia.

W domu, po obiedzie i kilku pracach w ogrodzie, wróciłem do pokoju, otwierając laptopa. Włączyłem Internet i w wyszukiwarce wpisałem hasło z breloka. Pojawiła się strona z tą samą sentencją. Na awersie widniał krzyż, a tuż pod nim napis: „Nie wstydzę się Jezusa”. Rewers natomiast zawierał cytat z ewangelii św. Mateusza: „Kto się Mnie zaprze przed ludźmi, tego zaprę się i Ja przed moim Ojcem”. Wymowne słowa tej sentencji odbiły się głębokim echem w moim wnętrzu. Pomyślałem, że warto byłoby kupić moim wnukom coś tak ważnego.

Potem wpadłem na Facebooka, przeglądając ostatnie posty, ale nic ciekawego nie zwróciło mojej uwagi. Dochodziła dwudziesta druga, dzień dobiegał końca. Zwykle sprawy tego dnia, jakie dzisiaj się pojawiły przede mną, potwierdzały moje odczucia odnośnie jakiegoś wewnętrznego wypalenia, zastoju moich zasobów energetycznych i twórczych. Pracowałem, odpoczywałem, a wszystko jakby bez wyraźnego celu i zapału.

Dzisiejsze zdarzenie z pasażerką pociągu wzbudziło we mnie niepokój. Nie byłem pewny, czego właściwie on dotyczył, jednak pojawił się na jakąś chwilę i zniknął. Tak mi się wydawało, kiedy układałem się do spania późną nocą.

NADZIEJA ZOSTAŁA W DOMU

Rankiem, podczas wstawania, przypomniałem sobie jakiś sen, który nawiedził mnie tej nocy. Od dawna nie miałem snów, nawet wydawało mi się to bardzo dziwne. W nie tak odległej przeszłości nie mogłem się ich pozbyć. Teraz był tylko jeden problem. Jak go sobie przypomnieć? To, że nie miałem snów, wcale nie świadczyło o tym, że nie pojawiały się te nocne wizje w ogóle. Po prostu przestałem na nie zwracać uwagę, a przez to odchodziły w niepamięć, nie zaprzatając moich myśli w realnym czasie. Od zawsze byłem przekonany, że część tych sennych wizji jest przekazem informacji z głębin mojej jaźni, aby mi zwrócić na coś uwagę. Drugą sprawą było odczytanie tego kodu i zinterpretowanie, czego dotyczą. Sny opisane były również w Biblii. Śnił Józef, Jakub i wielu innych. Niektórzy ludzie boją się zaglądać w ten nadnaturalny komunikat, pochodzący z zakątków naszej duszy, z obawy o bolesne skonfrontowanie z tym, co po nich nastąpi. Uważają, że lepsza jest niewiedza. Dla mnie sny były zawsze nieograniczonym dostępem do źródła mojej wewnętrznej mądrości, doświadczenia i kreatywności. Ta mądrość łączyła się bezpośrednio z mądrością Boga i dawała poczucie dodatkowego bezpieczeństwa, czasem ostrzegając przed czymś, czego się nie spodziewałem. Tym razem nie mogłem sobie przypomnieć treści przesłania.

Przygotowywałem śniadanie do pracy i tak sobie analizowałem wczorajszy dzień. Na dworze było już jasno, a słońce lada chwila miało się wyłonić zza otaczających od północnego wschodu gór. Dzień zapowiadał się wspaniale. Spakowałem torbę i przeszedłem do sypialni. Żona spała jeszcze w najlepsze. Pochyliłem się, zostawiając na policzku ciepłego buziaka. Nie drgnęła, sen okazał się głęboki. Zamknąłem delikatnie drzwi i wyszedłem do holu, a potem po schodach na dwór. Powietrze było cudownie świeże. Ptaki dawały o sobie znać swoim śpiewem. Ten poranek naprawdę okazał się piękny.

Na dworcu w Łodygowicach Górnych panował spokój, jak zwykle ci sami pasażerowie oczekiwali na pociąg, który miał ich zawieźć do miejsc przeznaczenia. Elektryczny skład wagonów punktualnie wjechał na stację. W środku były nawet miejsca siedzące, z czego oczywiście skrzętnie skorzystałem. Nie spostrzegłem nikogo znajomego. Mogłem spokojnie czytać dalszą część wierszy księdza Twardowskiego. Tak rozpoczęty dzień musiał być dobrym dniem.

Po południu znów czekałem na pociąg, tym razem do domu. Przez chwilę zaświtała mi myśl, że być może znowu spotkam wczorajszą niewidomą pasażerkę. Potem jednak zmieniłem zdanie. Dlaczego miałbym ją spotkać, zapytałem sam siebie i wsiadłem do pociągu, który wjechał na stację. Wewnątrz przemknąłem przez dwa wagony, szukając wolnego miejsca. Większość ludzi wysiadła na następnej stacji. Jeśli nie znajdę, zaczekam aż pociąg zatrzyma się na głównej stacji w Bielsku. Mój wzrok jednak szukał jeszcze jej, niewidomej w ciemnych okularach. Niestety, nie dostrzegłem tej intrygującej poniekąd twarzy. Odległość między stacjami nie była wielka, po kilku chwilach skład wagonów zatrzymał się

i większość pasażerów zaczęła wysiadać. Usadawiłem się na siedzeniu koło okna od strony północnej. W tej części pociągu mocno świecące słońce nie doskwierało tak bardzo.

Nagle obok mnie usiadła dobra koleżanka mojej żony.

— Witaj — rozpocząłem zaraz, kiedy usiadła ze swoimi bagażami.

— No, cześć — uśmiechnęła się w moją stronę. — Oj, dawno się nie widzieliśmy, to chyba z dziesięć lat.

— Aż tyle? — zdziwiłem się. — Rzeczywiście, może być tyle — zgodziłem się po namyśle. — Z zakupów? — zapytałem, spoglądając na jej bagaż.

— Raz w miesiącu jeżdżę, nakupię, co trzeba i mam spokój. A ty?

— Z pracy, jak co dzień.

— Gdzie pracujesz?

— Salon, serwis volkswagena i audi na Sarnim Stoku. Pracuję na warsztacie, już ponad 20 lat. Tak ten czas leci.

— Właśnie, co 10 lat mamy okazję się widzieć. Śmieszne, ale prawdziwe — uśmiechnęła się.

— Zwłaszcza że nasze domy widzimy przez swoje okna — też się uśmiechnąłem. — Nieprawdopodobne, ale kiedy nasze córki były małe, mieliśmy więcej czasu na wzajemne odwiedziny.

— Były przecież najlepszymi koleżankami, jak mogło dziać się inaczej.

— No tak, teraz mam już wnuki i to dwoje — pochwaliłem się. — W zeszłym roku zmarł mąż mojej córki i zostali sami.

— Wiem, słyszałam od mamy.

— Pomagamy sobie wzajemnie. Są naszą radością. W domu jest wesoło i nie można narzekać na nudę. A co u twojej córki?

— zapytałem z ciekawością.

— A dobrze, dobrze — odparła krótko, nie rozwodząc się.

— Aha, żebym nie zapomniał. Mam dla ciebie książkę — mówię, szukając w torbie jednego egzemplarza, który zawsze nosiłem na wszelki wypadek.

Czasem spotykam znajomych, z którymi chciałbym się podzielić swoimi słowami i jakby nie było, spełnionym marzeniem.

— Coś ty? — pyta z zachwytem.

— To już było dawno, w 2009 roku, mam zawsze pod ręką jedną sztukę, a nuż spotkam kogoś znajomego.

— Fajnie, zawsze wiedziałam, że coś z ciebie będzie — komplementowała mnie.

— Właściwie jest drugą pozycją, jaką wydałem — tłumaczę, patrząc na jej reakcję. — Wcześniej „popeliłem” tomik wierszy, potem drugi tomik wierszy i znalazłem się w antologii poetów wydanej przez Bibliotekę Uniwersytecką w Warszawie. Tak się bawię w wolnych chwilach — pochwaliłem się swoim

dorobkiem.

— No, no — zachwyciła się.

— Pomówimy, jak przeczytasz. Powiesz mi, czy się podobała. Napisałem jeszcze jedną powieść, ale niestety, nie wydałem. Szukam wydawcy, bez rezultatu.

— Musicie nas w końcu odwiedzić — zaczęła po chwili.

— Przyjmuję zaproszenie, ale kiedy znajdziemy czas, nie wiem.

Chwilę myślę, szukając jakiegoś terminu, jednak żadna data nie przychodzi mi do głowy. Spoglądam na koleżankę z nadzieją, może ona wyznaczy jakiś termin. Nic takiego nie następowało. Przeglądała tekst książki, zapominając o swoim zaproszeniu, pomyślałem więc, że nie muszę nic więcej mówić. Tak milcząc chwilę, dojechaliśmy do Łodygowic. Po wyjściu z pociągu, jeszcze kilkadziesiąt metrów przeszliśmy razem, nim pożegnaliśmy się z uśmiechem. Maszerowałem do domu ulicą Bracką, zupełnie tak samo jak wczoraj. Wszystkie dni wyglądały podobnie, chociaż były inne. Powtarzał się ten sam scenariusz. Jakby na to nie patrzeć, sam jestem reżyserem swojego życia. Widocznie znalazłem się w takim miejscu, w którym akcja przestała się rozwijać, a wraz z nią i moja twórcza osobowość zatrzymała się, powtarzając te same czynności jak w jakimś amoku. I chociaż co wieczór odnosiłem się do Boga, prosząc o błogosławieństwo i ofiarując kolejny miniony dzień, nie odczuwałem Jego obecności, jakby się odsunął ode mnie z niewiadomych przyczyn. Mój dobry przyjaciel anioł stróż też gdzieś przepadł. Pozostając sam ze sobą, starałem się odnaleźć jakiś Boży bozon, który zapoczątkuje powstanie lawiny nowych pomysłów i chęci do działania.

Być może porażka przy wydaniu drugiej powieści przytłumiła mnie do tego stopnia, że nie potrafiłem rozpocząć czegoś nowego, czegoś, co pozwoli mi znów rozwinąć skrzydła, oddychać całym sobą. Zacząłem tęsknić do chwil spędzanych przy tworzeniu kolejnych stron mojej papuszy.

Uwielbiałem moje pisanie, które nie trzymało się ram, nie znało chwili następującej po sobie, z góry nie zakładało następnego tekstu, zdarzeń rodzących kolejne fakty, rodziło się bez żadnych założeń. Sytuacje pojawiały się ze stukotem klawiszy, zupełnie jakby plemnik łączył się z komórką macierzystą, tworząc nowe swoiste życie, niepodobne do tego, co przed chwilą było. Te narodziny pachniały kolejną stroną, wypełnioną tylko mną i Stwórcą, którą dawał mi zwyczajnie, jak na talerzu. Ja tylko doprawiałem całość przyprawą rosnącą we mnie od urodzenia. Tęskniłem za takim czasem żniw. Wtedy otwierały się moje wizje, stając się prawdziwym życiem. Mogłem istnieć od nowa, naprawiać to, co zepsułem, ulepszać zupełnie przyzwoicie wyglądające sceny na doskonalsze, bliskie ideałowi, do którego zostałem stworzony. On mnie na to posłał, abym żył, nie istniał, nie był obrazkiem hologramu, powtórką czegoś, co już istniało, ale czymś nowym, czymś, z czego On byłby dumny. Bóg nigdy nie powiedział nam, jak się nazywa. Jedynie użył zwrotu: „Ja jestem, który jestem” i chociaż, jak mi się wydaje, już gdzieś

słyszałem podobną interpretację, wewnętrznie potwierdzałem ją całym sobą. On był, jest i będzie nieustającym ruchem zawierającym w jednym punkcie wszystko, co można stworzyć i jeszcze stwarzać. Ten czasownik, który określa Go, jakby nie miał czasu przeszłego ani przyszłego, a znajdował się tu i teraz, teraz był na wieki wieków w moim małym mózgu.

WYPRAWA NA ROZSUTEC

Tydzień pracy minął, a weekend zbliżał się już do połowy swojego czasu. Jakże odżywczy dla umysłu i ciała stał się nasz niedzielny wyjazd na Słowację. Rankiem pobudka i szybkie spakowanie najważniejszych rzeczy obudziło nas z objęć nocy. Rześkie powietrze wprowadziło w dusze radość z kolejnego dnia, który dopiero się rozpoczynał. O szóstej jechaliśmy już samochodem po przyjaciół na osiedle Karpackie. Czekali już przed blokiem i po przywitaniu oraz wrzuceniu bagażu do samochodu pomknęliśmy drogą S1 do Skoczowa. Humory dopisywały i tak też było, kiedy z grupą PTTK zaparkowaliśmy swoje wehikuły na parkingu u podnóża Rozsuteca, wspaniałej góry, której szczyt było już wyraźnie widać. Przed nami kilka godzin marszu. Dla niektórych to prawdziwe wyzwanie dla fizycznej strony ich ciał. Kiedy stopy znalazły się w butach trekkingowych, poczułem dopływ sił, chociaż trasa, którą szliśmy już na przeciągu trzech lat drugi raz, była nam dość dobrze znana. Wiedzieliśmy, czego możemy oczekiwać: wysiłek, pot i zmęczenie, które będzie narastać z upływem kilometrów i mijającego czasu. Na rano poranne powietrze dodawało sił nie tylko mnie. Ruszyliśmy na szlak z ogromną ochotą. Niektórzy, jak Józek, nasz kolega z wyjazdu do Medjugorie i Wilna, po pierwszych kilometrach sprawiał wrażenie zmęczonego. Dość długo z żoną towarzyszyliśmy mu, zamykając kolumnę maszerującą żwawo w stronę pierwszego postoju na przełęczy między Małym i Dużym Rozsutecem. Widoki były przednie i uświadamiały mi doskonałość stworzenia świata, który nas otaczał. Trasa wiodła wzdłuż koryta rzeki, często spadającej niewielkimi wodospadami, które pokonywaliśmy, używając drabinek i łańcuchów.

— Cudownie tutaj — odezwałem się do żony.

— Warto było przyjechać — odpowiedziała, chwytając się łańcuchów pozwalających przejść wąskim trawersem ponad korytem rzeki.

— Nareszcie pana doszłam — usłyszałem za sobą głos.

Obejrzałem się za siebie. Dochodziła właśnie do nas pani, której ostatnim razem podarowałem tomik wierszy i powieść.

— I co słyhać? — zagadnąłem, przystając na chwilę.

— Chciałam panu podziękować za wspaniałą lekturę. Wiersze są wyborne,

a powieść pochłonęłam w dwa dni, tak mnie wciągnęła.

Zwolniliśmy trochę, wydostając się na ścieżkę. Była szersza, tak że mogliśmy przez kilkadziesiąt kroków iść obok siebie.

— Ogromnie się cieszę, że moje słowa się pani spodobały. — Zaczęłam spokojnie, trochę zmęczony podejściem z łańcuchami. — W zasadzie to zawsze się cieszę, jak ktoś czyta moje teksty.

— W piękny sposób opisał pan historię pradziadka.

— I tak posiadałem mało wiadomości, opierałem się tylko na liście spisany ołówkiem — tłumaczyłem. — Dziadek zmarł, kiedy miałem zaledwie 7 lat. Wtedy człowiek nie myśli o niczym innym, jak tylko o zabawie.

— Właśnie, a kiedy dorastamy, nie ma już od kogo dowiedzieć się, co czuli, kim byli, jakie przeżywali historie życia. Zresztą młodzi dzisiaj już tak się nie interesują starszym pokoleniem.

— Zawsze tak chyba było — potwierdzam jej wywód — ale musimy się starać, aby coś z tej przeszłości ocalić. Z nich zrodzili się nasi rodzice, potem my, nasze dzieci, dzieci — dzieci i tak kręci się cały świat.

— W Zakopanem kiedyś na szlaku spotkałam staruszkę, powoli maszerującą w góry. Zapytałam ją, czy nie boi się wspinać w takich warunkach na przełęcz pod Giewontem. Odpowiedziała: „Góry są moim życiem, być może idę ostatni raz zobaczyć te piękne granie” — oczywiście mówiła swoją gwarą i z wielkim przejęciem. Napisała wiersz. Zapisałam go na kartce. Teraz go tutaj nie mam, ale następnym razem postaram się zabrać ze sobą.

— Bardzo proszę — poprosiłem. — Uwielbiam takie teksty.

Chyba zostaliśmy z tyłu. Wypadałoby dogonić resztę.

— Rzeczywiście, jakoś oddaliliśmy się od pozostałych, przyspieszmy kroku.

Chodnik zwęzał się znowu. Mogliśmy dalej maszerować gęsiego. Po kilkuset metrach dogoniłem żonę. Z daleka widać już było jej plecak z napisem Radio Zet. Zresztą taki sam miałem na swoim ramieniu.

— Porozmawialiście? — zapytała już trochę zmęczona.

— Po drodze minąłem Józka — zacząłem. — Czarno to widzę, nie pokonaliśmy nawet jednej trzeciej trasy.

— Wiem, widziałam, mówiłam z nim trochę, chciałby więcej przerw z odpoczynkami.

— Trudno, musi dać sobie radę. Do przełęczy już niedaleko.

— I całe szczęście, bo już nie mam sił.

— Tam odpoczniemy, póki co, maszerujmy.

— Głodna już jestem — oznajmiła. — Daleko jeszcze? — dodała, śmiejąc się.

— Za tym zagajnikiem zobaczymy już polanę — pocieszyłem ją.

Za zagajnikiem był jednak kolejny zagajnik. Jeszcze potrzebowaliśmy

włożyć trochę wysiłku zanim weszliśmy na łąkę, która prowadziła wprost do przełęcz. Po drodze doszliśmy do Krzysia dziarsko maszerującego z polską flagą wczepioną w plecak. Maszerował z synem i chyba przyszłą synową.

— Jak wam się idzie? — zapytałem.

— Piękna była trasa w dolinie tej rzeki — rzucił Krzysiek. — Dla takich widoków warto przyjechać.

— Chciałabym już znaleźć się na górze — wtrąciła żona. — Nie widać reszty, a może zabłądziliśmy?

— Na pewno nie, ale jeśli chodzi o zabłądzenie, to opowiem wam pewną historię. Pewien podróżnik zabłądził w lesie i tak opowiadał swoją historię. Byłem już w prawdziwej rozpacz i zacząłem się modlić do swojego Boga i wołać o pomoc. Słuchający jego opowieści zapytali go: — Czy Bóg wysłuchał twoich modłów? A on odpowiedział: — Och nie, zanim zdążył, pojawił się jakiś tubylec i pokazał mi drogę.

— To rzeczywiście był wierzący — zaśmiała się żona. — Jeśli chodzi o wiarę — zaczęła — powszechnie znany grzesznik został ekskomunikowany i zakazano mu wstępu do kościoła. Swoją żalność zaniósł w modlitwie do Boga. — Panie, nie chcą mnie wpuścić do kościoła, bo jestem grzesznikiem. Pan mu odpowiedział: — Na co więc narzekasz? Mnie też nie wpuszczają.

— Dobrze — rzuciłem krótko. — Za chwilę wreszcie siadamy i odpoczynek, zasłużony zresztą, a te opowiadania pochodzą z książki Anthony de Mello, „Modlitwa żaby”.

— I chwała Bogu, moja modlitwa została wysłuchana, a nie żaby — odpowiedziała żona.

Po dziesięciu minutach z ulgą nasze pupy rozsiadły się na zielonej trawie. Nogi cieszyły się błogim odpoczynkiem, tylko oczy z niedowierzaniem spoglądały w stronę skalistych szczytów Rozsuteca, na których co jakiś czas pojawiała się mała ruszająca plamka jakiegoś turysty. Czekala nas półtoragodzinna marszruta. Słońce stało wysoko i zbliżało się południe. Całe szczęście, że blisko czterdzieści minut drogi snuło się między skałami porośniętymi iglakami. Im bliżej szczytu, tym bardziej drzewa stawały się niższe. U samego wierzchołka zamieniały się w kosodrzewinę. Ostatni kawałek drogi był jednak odsłonięty, pozwalając promieniom słonecznym w bezlitosny sposób atakować ciało. Tam musieliśmy liczyć się z gorącem i potem zalewającym oczy. Póki co, oddawaliśmy się wspaniałej chwili odpoczynku. Z początku jedzenie i picie wypełniało czas darowany przez przewodnika. W miarę jego upływu wracały siły, a wraz z nimi chęć do rozmów. Znowu sypały się kawały, powróciła ochota do robienia zdjęć. Pięknie też wyglądał Mały Rozsutec, który był praktycznie w zasięgu niecałej godziny marszu. Nasz cel stanowiła jednak góra wznosząca się vis-à-vis kamiennego płaskiego wzniesienia. Jak zwykle zdjęcie grupowe z flagą PTTK-u

Skoczowa kończyło biesiadę i odpoczynek. Teraz przed nami rozpoczynało się strome podejście, na którym przyjdzie nam zostawić znaczną ilość potu i zdrowia. Nagroda jednak, jaką w zamian dostaniemy, z pewnością będzie dobrą zapłatą za te wszystkie trudy.

Tak też się stało. Około godziny pierwszej osiągnęliśmy szczyt. Czterdzieści minut za nami Krzysiek doholował Józka. Przywitaliśmy go gromkimi brawami. Od dawna nie chodził po górach, nie przypuszczał, że szlak jest tak ciężki, a jednak z pomocą kolegi dotarł na miejsce, zdobywając szczyt trochę czasu po nas. Ulokowaliśmy się z żoną w skalnej niecce ze wspinałym widokiem na wschodnią stronę. Teraz mogliśmy odpoczywać do woli i relaksować swoje zmęczone ciała. Jakby nie było, przed nami jeszcze niecałe trzy godziny czystego marszu, aby znów stanąć nogą na parkingu koło samochodów tam stojących. Niektórzy, korzystając z okazji, rozbierali się do przysłowiowego rosołu, wystawiając swoje spocone ciała na łaskę i niełaskę promieni słonecznych. Cudowne widoki warte były wysiłku całego organizmu. Pogoda dopisała, ukazując ziemię i szczyty sąsiednich gór po sam widnokrąg. Nad nami siedział Bartek z Anią. Osiągnęli górę chyba trzydzieści minut przed nami. Najważniejsze, że wszyscy dotarliśmy na szczyt. W dole przyciągała nasz wzrok zielona łąka przełęczy, przecięta pod kątem 90° dwoma szlakami, z których jeden wiódł do nas na szczyt, a drugi, w jedną stronę opasując dookoła górę od wschodu, a w drugą do miejscowości, skąd wyruszyliśmy o ósmej rano.

Zejsście południowym trawersem okazało się trudne. Przechodziliśmy nim drugi raz, ale kamieniste zbocze pokryte drobnym żwirkiem powodowało ciągle ujeżdżanie nóg. Na szczęście w górnym odcinku zaczepione do skał łańcuchy zapobiegały wypadkom dość skutecznie. Wysokie momentami skały stanowiły nie lada przeszkodę dla mojej żony i innych kobiet, z prostej przyczyny, że ich krótkie nogi, nawet wyciągnięte do granic możliwości, nie sięgały miejsc, w których mogłyby oprzeć swoje stopy na pierwszym wgłębieniu skalnym, jaki na to się nadawało. Kiedy tylko mogłem, podstawiałem swoją dłoń lub trzymałem ją, zabezpieczając przed upadkiem. Tak powoli i jednostajnie poruszaliśmy się w dół, podziwiając wspaniałe widoki. Wszyscy z zachwytem zatrzymywali się w połowie trawersu, aby wykonać kilka fotek znajdującego się na wprost odstańca, który piął się pionowo w górę, odchodząc od zbocza może na metr. Po czym znów wracaliśmy do zmuśnawego stawiania stóp w odpowiednie miejsca, aby uniknąć poślizgu i upadku.

Znajdowaliśmy się w połowie drogi do dolnej przełęczy, a już było na niej widać pierwszych z naszej grupy, jak zasiadają w punkcie, gdzie przecinają się szlaki. Po trzydziestu minutach i my dotarliśmy do tego miejsca. Kolejny odpoczynek był prawdziwym wybawieniem. Czuliśmy się szczęśliwi, patrząc na dopiero co zdobyty szczyt, z uznaniem podziwiając turystów wspinających się

dopiero w upalnym słońcu na górę. Uczucie to mieszało się ze zwyczajnym ludzkim współczuciem. Teraz szlak prowadził przez odcinek zalesiony świerkami, prosto do restauracji mieszczącej się w drewnianym domku na początku miejscowości, z której rozpoczynaliśmy naszą wędrówkę. Po chwilowym odpoczynku ruszyliśmy właśnie tam, wiedzeni zapachem i smakiem lanego słowackiego piwa. Nogi nie chciały już nas nieść, a jednak po półtoragodzinnej wędrówce dotarliśmy do wspomnianego wodopoju. Kto miał ubranie zamienne, szybko w nie wskakiwał, uwalniając się od spoconych rzeczy. Sam to zrobiłem z ulgą, a zamieniając buty trekkingowe na sandały, odczułem niesamowitą ulgę. Do celu z tego miejsca było może z dziesięć minut. Po uzupełnieniu płynów ostatni kawałek drogi minął w radosnych nastrojach.

Widok samochodu można porównać z widokiem oazy na pustyni, zwłaszcza że obok parkingu płynęła rzeka. Cudownie zimna, góraska rzeka, obmywając zmęczone stopy, zaszczepiła w krwiociąg ogromną porcję nowej energii. Każdy spoglądał na szczyt, nie wierząc, że wykrzesał z siebie tak dużo sił i był zdolny pokonać swoje słabości i zwątpienia. Jakby nie było, grupa wyzwalała siłę do pokonywania samych siebie. Tak działa się zawsze we wszystkim, o sile stanowiła jedność. Nawet Józek czuł się szczęśliwy, chociaż zarzekał się, że już nigdy nie pójdzie w góry takim szlakiem.

MARTA

Poniedziałek minął w pracy dość spokojnie i dobrze. Nie miałem sił na żadne bicie rekordów wydajności. Byłem szczęśliwy, kiedy wskazówka zegara dobiegła godziny trzeciej. Niczego ciekawego nie oczekiwałem dzisiejszego popołudnia. Carrefour, jako stacja przejściowa w mojej drodze na dworzec, zabrał mi dwadzieścia pięć minut. Zaraza z tym sklepem — pomyślałem, kupując jakieś pierdoły przydatne do jazdy na rowerze. Miałem wielką ochotę na popołudniową wyprawę rowerową do Szczyrku przez Rybarzowice i Buczkowice. Odkąd wzdłuż rzeki Żylicy wybudowano ze środków unijnych drogę rowerową, niektóre wolne chwile spędzaliśmy z żoną i wnukami, czasem i z synem, na takich eskapadach. Przyjemne powietrze, zapach wody, kontakt z przyrodą i brak samochodów na trasie naprawdę relaksowały po nużących zajęciach poświęconych zarobkowaniu. Po drodze zaliczyliśmy dwa, trzy postoje dla nabrania sił.

Teraz jednak maszerowałem jak w każdy roboczy dzień na stację. Codziennie te same widoki absorbowały moje spojrzenie, chociaż za każdym razem były inne, mnie wydawały się tymi samymi. Zawsze, kiedy przechodziłem obok pomnika, który znajdował się za rondem Solidarności po jego lewej stronie,

odmawiałem trzykrotnie „wieczne odpoczywanie racz im dać Panie”. W pierwszych dniach wojny Niemcy w tym miejscu rozstrzelali kilka osób, a pomnik upamiętniał tę bezsensowną zbrodnię i ofiary niemieckiego nazizmu. Potem już były tylko schody na końcu, których cały zgielek nateżonego ruchu drogowego panującego o tej porze nagle urywał się i cichł. Pod wiaduktem nawet wiatr wiejący na górze uspokajał swoje zapędy, stając się ciepłym zefirkiem.

Nie musiałem długo czekać na pociąg, który parę chwil później wjechał na stację. Lubiłem jeździć tym nowym składem wagonów. Zagłębiając się w czytanie, nie musiałem co jakiś czas zerkać przez okno, gdzie się znajduję. Głos spikerki ogłaszał, do jakiej stacji aktualnie się zbliżałem. Wsiadłem zadowolony, szukając jak zwykle wzrokiem miejsca do siedzenia. Nagle przeszył mnie dreszcz emocji. Tuż obok drzwi siedziała ta sama kobieta w czarnych okularach, z bladą jak kreda twarzą, a w dodatku obok niej pozostawało wolne miejsce. Zrządzenie losu? — pomyślałem.

Takie rzeczy przecież się nie zdarzają.

— Dzień dobry pani — pozdrowiłem, pochylając się w jej stronę. — Dzień dobry — odpowiedziała, kierując twarz w moją stronę. — Wolne? — zapytałem.

— Oczywiście, że wolne. Skądś ten głos już znam — zastanawiała się albo udawała.

— W zeszłym tygodniu spotkaliśmy się w pociągu... zbierałem wyposażenie pani torebki z podłogi — wyjaśniałem z uśmiechem. — Oczywiście, przypominam sobie. Wraca pan z pracy?

— Najwyższy czas — przytaknąłem, odpowiadając jednocześnie na jej pytanie. — Wczoraj byliśmy w górach na długim marszu, więc dzisiaj od rana marzyłem o tej chwili powrotu, zmęczenie nie pozwalało mi na uczciwą pracę, ale jutro wszystko nadrobię.

— Ile bym dała, aby stanąć na szlaku w górach i podziwiać te wspaniałe krajobrazy, które Bóg dla nas stworzył. Niestety, muszę je sobie wyobrazić, a to idzie mi teraz z trudem.

— Przykro mi, że panią zasmuciłem.

— Już dawno pogodziłam się z ciemnością i chociaż czasami brak mi cudownych promieni słonecznych odbijających się od każdej napotkanej rzeczy, to jednak w tych mrokach nauczyłam się dostrzegać inną stronę świata. Tę ukrytą przed człowiekiem, nie podaną na tacy, tę, o którą trzeba walczyć, wysilając swoje zmysły, woń, smak, uczucia. Będąc normalnymi ludźmi, nie poszukujemy ich, zadowolając się tym, co widzimy.

— Ma pani rację — potwierdziłem jej słowa.

Nagle spróbowałem zamknąć oczy, aby potwierdzić swoim spostrzeganiem zmysłów prawdziwość jej słów, jednak zaraz je otworzyłem, czując bezcelowość mojego przedsięwzięcia.

— Chociaż czuję to wszystko, chciałabym widzieć — milknie na dłużej.

Zastanawiałem się, czy mogę ją poprosić, abyśmy do siebie przestali mówić sobie na pan, pani. Jakoś dziwnie się z tym czułem i chociaż byłem starszy, to i tak to niczego nie zmieniało, poza skróceniem dystansu, który między nami zaczął się zmniejszać.

— Milczy pan? — zapytała, przerywając ciszę.

— Tak, zastanawiam się, czy moglibyśmy pomijać słowo pan? — zapytałem i zaraz dodałem. — Mam na imię Bronisław, proszę mówić po prostu Broniek.

— Miło mi, Marta — szybko odpowiedziała, przedstawiając swoje imię.

Uśmiechała się przy tym, a mnie wydawało się, że i jej oczy pod okularami rozbłysły uśmiechem, a ich blask przebił czarną tafłę okularów. Takie ogarnęło mnie odczucie, które wytworzyło się chyba gdzieś w sercu.

— Najtrudniejsze jest za nami — stwierdziłem.

— Co takiego?

— Prezentacja, to miałem na myśli — wytłumaczyłem pośpiesznie.

— A tak, rozumiem.

Dopiero teraz zauważyłem, że trzyma w rękach książkę, trochę opasłą. Była zamknięta, ale nie mogłem dojrzeć tytułu.

— Co masz na kolanach w swoich dłoniach? — zapytałem z ciekawości.

— Podręcznik, uczę się o komputerach.

— Jak to robisz? — drażyłem dalej.

— Podręcznik napisany jest językiem brajla — tłumaczyła, otwierając podręcznik, w którym widać było wyraźnie uwypuklone kropki. — Opuszkami palców dotykam delikatnie tych kropeczek i czytam zawartą w nich treść.

— Musisz mieć niesamowicie czułe opuszki palców.

— Najgorsze były początki, ale nic mnie nie goniło, miałam sporo czasu, do tego jestem bardzo cierpliwa.

— Nie wiem, czy dałbym sobie radę — pokręciłem głową. — Jestem ogromnie niecierpliwy. Wiem, życie uczy cierpliwości.

Powtarzała to moja babcia.

— Chcesz spróbować? — zapytała. — Daj mi swoją dłoń.

Wyciągnąłem prawą dłoń w kierunku podręcznika. W momencie, kiedy nasze dłonie się spotkały, przeszył mnie dreszczyk ekscytacji. Może to tylko emocje — pomyślałem. Miała delikatne palce, tak delikatne, że ich prawie nie odczuwałem. Wydawało mi się, że zareagowała podobnie jak ja na dotyk nieznanymi dłońmi.

— Ale masz spracowane dłonie — prawie westchnęła. — Co robisz?

— Naprawiam samochody — odparłem z zażenowaniem w głosie. — Niestety, taką mam pracę: smary, oleje, zużyte części, klucze, wkrętaki. Co ja ci będę gadał.

— Rozumiem, z takimi dłońmi obawiam się, że niczego nie przeczytasz, ale spróbujmy.

Cierpliwie oplotła swoimi palcami moje i poprowadziła wprost pod pierwszy, jak mi się wydawało, wyraz.

— Czujesz te punkciki? To słowo oznacza komputer. Po kolei, teraz jesteś na literce „k”, a następnie możesz sobie już wyobrażać w swoim umyśle.

— Dotykam, ale nic sobie nie wyobrażam — uśmiecham się. — To strasznie trudne.

— Na początku tak bywa, ponieważ tak naprawdę nie musisz ich poznać, nie masz takiego wewnętrznego zaparcia jak osoba, która nie widzi, która tylko przez ten dotyk znajduje wyrażenie treści ulokowanej tam przez autora.

— Już podziwiam twój upór, samozaparcie i wrażliwość.

— To wszystko, o czym mówisz, przyszło do mnie z czasem. Na początku nic nie wychodziło tak, jak chciałam. Nie wiesz, ile łez wylałam, nim znalazłam się w tym miejscu, gdzie obecnie jestem.

Po tych słowach zamilkła. Naprawdę ją podziwiałem i współczułem, chociaż wiedziałem, że współczucie to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje. Nagle ta krucha, błada istota urosła w moich oczach. Poczulem ogromny szacunek dla jej charakteru i pracy, jaką musiała wykonać, aby osiągnąć właśnie ten pułap samodzielności. W dodatku jeździła jeszcze do siostry z pomocą.

— Następna stacja Łodygowice Górne — odezwał się kobiecy głos, wrywając nas z własnych światów, które wytworzyliśmy sobie przez chwilę w czasie rozmowy. Wydawało mi się, że dopiero wsiałem do wagonu.

— Już Łodygowice? — zdziwiłem się na głos.

— Droga 15 kilometrów nie jest wielką odległością — zaśmiała się Marta. — Jeśli jutro jedziesz z pracy o tej samej porze, pewnie się spotkamy.

— Więc miłego popołudnia, do jutra — pożegnałem się.

— Oczywiście, jeśli nic się nie stanie — stonowała mój poprzedni optymizm. — W moim życiu od dawna liczy się tylko dzisiaj.

Wstałem z siedzenia, a że znajdowałem się przy wyjściu, nie musiałem przeciskać się w jego stronę. Jeszcze chwilę patrzyłem na Martę zaciekawiony. Zaintrygowała mnie jej osobowość, wydająca się całkowicie dystansować od ociemniałości, jaka ją spotkała. Wreszcie drzwi otworzyły się i musiałem wyjść na peron. Ledwie zrobiłem dwa kroki, w zamyśleniu opuszczając wagon, gdy natknąłem się na sąsiada z mojej ulicy. Ruszyliśmy spokojnym krokiem w stronę naszych domów. Jak zwykle treścią naszej rozmowy był sport i zbliżające się mecze naszej reprezentacji z Ukrainą i Anglią. Dostało się i naszym siatkarzom za przegrane mistrzostwa Europy. Przy rozmowie o sporcie odległość do domu znacznie się skracała. Sąsiad jako pierwszy skręcał do swojego domu, więc ostatnie

200 metrów maszerowałem w samotności.

O czym miałem myśleć, jak nie o spotkaniu w wagonie. Sylwetka kruchej kobiety, która okazała się niezwykle silnym człowiekiem, stała się dla mnie nagle wzorem walki z przeciwnościami losu. Nie wiedziałem zbyt dużo, ale tych kilka chwil wyniosło w moich oczach spotkaną kobietę do rangi bohaterki. Nagle też zaczęły nachodzić moje myśli kolejne pytania, które chciałbym jej zadać. Tak doszedłem do domu. Po obiedzie z żoną i synem zajęliśmy się ogrodem. Przy koszeniu trawy niesforne moje myśli kilka razy biegle do spotkanej w pociągu kobiecie. Byłem zdziwiony, że sama mogła podróżować, a samym tym wyczynem potwierdzała wielką odwagę, jaką musiała posiadać. Wróciłem też do chwili, w której próbowałem czytać brajlem i nasze dłonie się spotkały w delikatnym uścisku.

ZASADY CIEMNOŚCI

Następnego dnia w pracy zameldowałem się jako pierwszy. Sprawdziłem pocztę na stronie Wirtualnej Polski. Nic ważnego nie zalegało konta wypełnionego jedynie starymi wiadomościami. Chwilę później zaczęli zjawiać się kolejni pracownicy. Zbliżała się siódma rano, czas było rozpocząć pracę.

Myślałem o wczorajszym spotkaniu. Ciągle na swojej drodze spotykamy ludzi, którzy czegoś nas uczą. Czasem i my jesteśmy nauczycielami dla innych. Czego miała dotyczyć ta nauka? Nie wiem, na tym etapie niczego się nie domyślałem. Stwierdzenie, że w ogóle mnie ma czegoś nauczyć było chyba na wyrost na tym poziomie mojej wiedzy, jaką o niej posiadałem. Lubiłem zawsze doszukiwać się we wszystkim drugiego dna, może tu nie ma takiego. Często, to jak postrzegamy jakąś osobę zewnątrz, zupełnie nie odzwierciedla jej wnętrza, które zakrywane jest skrzętnie przed światłem dziennym. W mroku tajemnic okna są szczelnie zasłonięte, a emocje spakowane od wielu lat ciężą jak balast w łodzi podwodnej, opuszczając duszę w głąbiny, skąd nie ma już ratunku. Pytanie, co zrobić, aby wypuścić je na zewnątrz lub dostrzec je w porę, nim się osiadzie na mieliźnie lub dnie? Z biegiem lat wszystko zarośnie dywanem porostów, glonów, zamykając drogę powrotu. W przypadku Marty czułem zupełnie coś odwrotnego. Wydobywała się z niej czysta energia, pełna jasnych emocji, bez żalu na zły los. Nie znałem przecież wielu faktów z jej życia, skąd więc moja ocena? Polegałem na mojej intuicji, nie myliła mnie nigdy, a czy tym razem też tak będzie? Pokaże czas. Niecierpliwie czekałem na popołudnie.

Wiatr wiał niemiłosiernie, targał resztkami włosów, jakie ostały się jeszcze na mojej głowie. Podnosił proch i pierwsze opadłe liście, kręcąc nimi pomiędzy

jadącymi samochodami a stojącymi na przejściu ludźmi. Coś się dziwnego działo w powietrzu, coś, czego nie potrafiłem zdefiniować. Do tego słońce ciągle jeszcze mocno grzało. Wirujące powietrze bawiło się wszystkim, co napotykało. Ludźmi przede wszystkim, szamocząc ubraniami z niewiarygodną siłą. Konary przydrożnych drzew walczyły uparcie, nie poddając się ani na moment. Niesamowita kompozycja wiru stwarzała nadzieję na jakąś zmianę. Wyczuwałem ją gdzieś w podświadomości kłębiących się myśli. Chociaż wyjątkowo przepojony stagnacją i niemocą twórczą poczułem, że ten wiatr coś przyniesie ze sobą. Wywieje kończące się lato i sprawi nadejście pory deszczowej, pełnej urodzaju potrzebnego dla mojej więdnącej duszy artysty. Druga sprawa, czy w ogóle nim byłem? Wchodząc do pociągu, myślałem o niewidomej Marcie, czy tym razem znów się spotkamy.

Siedziała jak zwykle przy oknie, a na siedzeniu obok niej leżała wypakowana torebka. Trzymała miejsce dla mnie — pomyślałem. Nawet jej twarz odwrócona była w stronę środka wagonu. Kiedy znalazłem się bliżej, rozpoznała moją osobę, zanim zdążyłem wypowiedzieć słowa powitania.

— Wiedziałam, że to ty — zaczęła. — Witaj — dodała, zabierając torebkę.

— Dzień dobry, Marto.

— Wyczuwam twoje zdziwienie.

— Jak to zrobiłaś?

— Co? Jak wiedziałam, że podchodzisz do mnie?

— Właśnie, jak? — zapytałem, siadając koło niej.

Jej twarz promieniała. Dzisiaj włosy miała spięte w koka. Mogłem zobaczyć jej uszy. Tuż za nimi zobaczyłem kawałeczek blizny, która zniknęła w gęstwinie włosów.

— Szybko nauczyłam się twojego zapachu, a poza tym na tej stacji mało kto wsiada — wytłumaczyła szybciotko całą sprawę w dość jasny sposób.

Uśmiechała się szeroko, białe zęby wydostały się poza obrys czerwonych od szminki warg. Tylko czarne okulary zakrywały ukrytą przed światem radość oczu. Próbowałem je wyobrazić sobie.

— Jesteś wzorową uczennicą — pochwaliłem ją — i naprawdę pięknie dzisiaj wyglądasz.

— O, komplementy na początek. Lubię ich słuchać, jeśli płyną z serca i są poparte prawdą.

— Z pewnością są z serca i są prawdziwe — odpowiedziałem na jej sugestie.

— Dzisiaj mi powiesz coś o sobie — zaczęła. — Muszę wiedzieć, do kogo mówię, kto siedzi obok mnie, jakim jest człowiekiem i tak dalej...

— Przestraszyłeś się? — zapytała miękko.

— Nic podobnego — odparłem. — Jestem bardzo prostym facetem. Jak już wiesz po moich dłoniach, pracuję z samochodami.

— To już wiem, a dalej?

— Mam 53 lata, łysieję — uśmiecham się. — Od trzydziestu dwóch lat mam żonę, z biegiem lat przyszły na świat moje dzieciaki. Mam ich dwoje. Mieszkamy w Łodygowicach właśnie od tylu lat. Kocham moją żonę. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Pięknie. A co kryje się tam dalej, za granicą materialną? Muszę się przyznać, że po paru słowach potrafię zajrzeć głębiej, a w stosunku do ciebie to nie działa.

— I bardzo dobrze — ucieszyłem się. — Za dużo byś od razu wiedziała.

— I tak będę wiedziała — wyrzuciła z dużą dozą zuchwałości, a może tylko tak mi się zdawało.

— No dobra. Mam pasję. Ciekawe, czy zgadniesz, jaką?

— A jak zgadnę, uwierzysz w moje słowa?

— To zaczynaj — zaproponowałem, będąc pewny, że nie przyjdzie jej do głowy prawdziwa natura mojej pasji. Mechanik nie mógł być przecież w żaden sposób powiązany z tym, co lubiłem robić w wolnych chwilach.

— Wiem, że za tymi szorstkimi dłońmi kryje się wrażliwość.

— Cha, cha, skąd taka dedukcja, Sherlocku Holmesie?

— To akurat było bardzo proste. Pół roku jeżdżę pociągami, nikt, widząc mnie i moją białą łaskę, nie wykazał większego zainteresowania, poza zwyczajową pomoc w przejściu, wejściu, usadowieniu we właściwym miejscu. Ten odcinek drogi zawsze spędzałam w samotności. Ciemność i dźwięki wypełniały czas jazdy z Pszczyny do Żywca.

— Może to twoja torebka, która spadła na ziemię, sprawiła, że odezwałem się do ciebie. Jestem nieśmiały od dziecka i nie zaczepiam kobiet — próbowałem poddać w wątpliwość moją wrażliwość. — A jednak zaczepiłeś mnie — stwierdziła.

— Dobra, co dalej — starałem się wrócić tok rozmowy na dalsze tory, ciągle w duszy śmiejąc się z jej wysiłków.

— Z pewnością twoją pasją nie jest majsterkowanie — zaśmiała się.

— Taka jesteś pewna? W podstawówce należałem do sekcji modelarskiej, budowałem szybowce.

— Ile zbudowałeś do końca?

— Żadnego nie dokończyłem — spuściłem z tonu — tutaj masz rację.

— Zawsze miewam rację — chwaliła się. — Idąc dalej, twój głos nie nadaje się do Idola. Chyba się nie obrazisz?

— Coś ty, zresztą, tu też masz rację. Dyrektor, który prowadził chór w szkole podstawowej, po wysłuchaniu kilku dźwięków, jakie starałem się z siebie wydać, posłał mnie na boisko, żebym raczej w piłkę pograł. Prawdę mówiąc, ucieszył mnie tym bardzo.

— Teraz powiem coś, co cię zaszokuje — oznajmiła.
— Czekam niecierpliwie.
— Wydaje mi się, że... — przerwała.
— Że...
— Malujesz albo piszesz.
— Jestem w szoku, skąd wiesz, ktoś ci powiedział? — próbowałem doszukać się drugiego dna.
— Nikt — zaprzeczyła. — Przecież cię nie znam. Więc malujesz czy piszesz?
— Jak ty to wydedukowałaś? — usilnie starałem się dowiedzieć prawdy, którą przed chwilą wypowiedziała.
— Więc malujesz czy piszesz? — powtórzyła.
— Piszę — odpowiedziałem pełen zdziwienia.
— I proszę, jestem niezłą detektywką, cha... cha. Teraz już wiem, skąd twoja wrażliwość. Pewnie piszesz wiersze.
— Też — oznajmiłem zbity z tropu.
— Wygrałaś — przyznałem, godząc się z przegraną.
— A nie mówiłam, że znam się na tym. Chociaż jestem ociemniała, mam teraz większe możliwości niż kiedyś.
Byłem naprawdę pod wrażeniem. Jakoś słowo „ociemniała” w ogóle mi nie pasowało do niej. Raczej promieniała z niej jakaś nieznana mi dotąd energia, pełna pozytywnej mocy.
— Przyznaję się, że moją pasją jest pisanie. Wydałem dotąd dwa tomiki wierszy, jedną powieść, drugą mam przygotowaną, ale ciągle leży w szufladzie — streściłem pokrótce moje pisarskie wyczyny.
— Oczywiście, jeśli masz te książki, chciałabym je dostać od ciebie — poprosiła tonem nie znoszącym sprzeciwu.
— Pewnie, że ci dam, ale jak je przeczytasz? — zatroskałem się od razu.
— Mam auto lektora.
— Co to takiego? — zapytałem z ciekawości.
— Urządzenie, które pozwala mi na normalny kontakt z pismem, czyta książki, czasopisma, pocztę elektroniczną. Jest tylko problem, że nie mogę go nosić ze sobą, ale w domu użytkuję na bieżąco.
— Przyznam, że słyszę o takim urządzeniu pierwszy raz. Pewnie sporo za niego zapłaciłaś.
— O tak, kosztował 12 tysięcy złotych — odpowiedziała z dumą w głosie.
— Drogo — stwierdziłem. — Bardzo drogo.
— Takie gadzety pozwalają żyć. Mam wiele innych, dotknij mój zegarek — zaproponowała, wyciągając w moją stronę rękę, na której rzeczywiście zobaczyłem cacko dla niewidomych. — Nie bój się, dotknij go.

Zrobiłem, o co prosiła. Przyznam, że miałbym kłopoty z odczytaniem aktualnego czasu. Z pewnością, gdybym musiał, nie stanowiłoby to żadnego problemu.

— Świetny — stwierdziłem z uznaniem.

— Teraz coraz więcej takich urządzeń pojawia się na rynku. Moje mieszkanie wypełniłam przydatnymi dla mnie rzeczami. Uśmiechniesz się, jeśli powiem ci, że mam wagę, która mówi mi, ile ważę.

— Jesteś postępową, ale jeśli mogę zapytać, skąd masz pieniądze na taki sprzęt? Wybacz moją ciekawość — dodałem, gryząc się w język.

— Nic nie szkodzi. Sprzedałam domek po babci, która zmarła, a zapisała mi go w testamencie. To tyle. Teraz wierzysz, że przeczytam twoje książki?

— Wierzę. Jestem pełen szacunku dla twojej zaradności. Nie wiem, czy ja na twoim miejscu potrafiłbym się tak zorganizować.

— Na pewno tak. Życie zmusiłoby cię do reorganizacji wszystkiego, nawet swojej wiary.

— Wiary? — zapytałem.

— Wiary — stwierdziła. — Więc jutro podarujesz mi swoje książki?

— Tak, jeszcze dzisiaj je spakuję, jak tylko wrócę do domu.

— Dobrze mi się z tobą rozmawia. Naprawdę dobrze — powtórzyła.

— Niestety — stwierdziłem poważnym głosem. — Na dzisiaj to już chyba koniec.

— Coś się stało? — spytała z delikatnym lękiem w głosie.

— Dojeżdżamy do Łodygowic Górnych.

— Aha, myślałam, że coś innego. Jutro też jadę. Będiesz?

— zapytała, kierując twarz w moją stronę.

— Jak dzisiaj, dziękuję za rozmowę.

— Ja też ci dziękuję.

Dotknąłem delikatnie jej dłoni i wstałem szybko, drzwi już się otwierały. Jeszcze raz spojrzałem na nią. Cóż za spotkanie, jakieś zrządenie losu? Po chwili już ponownie maszerowałem do domu.

Dzień za dniem ulatywał, a wrzesień stawał się jakiś inny. Szara codzienność ustępowała miejsca czemuś nowemu, nieznanemu. Czyżby moje modlitwy znajdowały posłuch u mojego Boga? Może ulitował się nade mną, w końcu uprzykrzałem się mu codziennie, bez sensu maszerując do pracy i z powrotem. Sens był, tylko ja nie potrafiłem go zobaczyć.

Od teraz czekałem z jakąś tęsknotą na popołudniowy pociąg do domu, jakby od niego zależało coś bardzo ważnego w moim życiu. Czuję napływ energii otwierającej zapchane codziennością kanały myśli. Do płuc mojego ducha dostawało się świeże powietrze. Wydawało mi się, jakby wstąpiło we mnie dodatkowe ja, ukryte i przycupnięte w cieniu ciała, wykonującego schematycznie

codzienne czynności potrzebne, żeby trwać, a nie rozwijać się dalej.

Wieczorem spakowałem trzy książki, które zdążyłem wydać do tej pory. Byłem już teraz ciekaw, co mi powie po ich lekturze. W nocy w łóżku jeszcze raz moje myśli pobiegły w stronę Marty. Z jaką łatwością żyła w krainie ciemności. Nie rozumiałem tego. Być może kolejne rozmowy rzucą światło na jej postać, światło, które pozwoli zrozumieć i przejrzeć ją na wskroś.

NASTĘPNE SPOTKANIE

Rano padał deszcz, siedziałem w kuchni, spoglądając przez okno. Wszyscy w domu spali spokojnie. W rynnach słychać było szum spadającej wody. Nieciekawy poranek, do tego za parę chwil musiałem wyjść na pociąg. Miałem jeszcze moment, więc zajadając, czytałem gazetę. Jacy my ludzie właściwie jesteśmy. Jak można było zabijać tyle ludzi niewinnych w Syrii. Skąd taka nienawiść, pretensje i złość. Dlaczego świat wygląda tak beznadziejnie. U nas „Solidarność” organizowała kolejną pikietę przed Sejmem i nikt z rządzących nawet się do nich nie pofatygował. Dokąd zmierzamy? Dokąd zmierza świat i moja ojczyzna? Podzieleni na dwa obozy, PiSowski i POwski, zostaliśmy dokładnie podzieleni na nas i ich, jakbyśmy nie byli jednym. Podział utrwaliła w dodatku katastrofa samolotu prezydenckiego w Smoleńsku. Jak na razie nic nie zanosilo się, aby cokolwiek pozwoliło narodowi na pojednanie. Widać to było szczególnie podczas zeszłorocznego święta 11 listopada. Spojrzałem na zegar. Najwyższy czas już iść.

O piętnastej trzydzieści osiem na peronie słuchałem z telefonu wykładu noszącego tytuł „Nieskończoność”, oczywiście księdza Michała Hellera. Coś dzisiaj pociąg wyraźnie się spóźniał. Zdążyłem wysłuchać go w całości, nim na stację wtoczył się skład.

Niestety w jego wnętrzu nie spotkałem Marty. Przeszedłem dwa wagony, ale bez skutku. Wreszcie postanowiłem usiąść, nim wjechał na stację Bielsko-Biała Główna. Jakiś żal ogarnął mnie od środka i niepokój. Niepokój dotyczył raczej myśli, czy się jeszcze spotkamy, niż tego, że mogło się stać coś złego. Tym razem, wracając, patrzyłem przez okno pociągu. Krajobrazy zmieniały się, a ja niczego nie widziałem. Myślam wędrowałem gdzieś po minionym czasie. Gonilem słowa Marty i chłonałem jej nieprawdopodobną radość życia.

Niestety, kolejne dni były także bez Marty. Sobota i niedziela minęły na wycieczkach rowerowych. Nawet pogoda dostroiła się do tych wypraw. Nie było zbyt gorąco i organizm nie pozbywał się nadmiaru wody. W niedzielne popołudnie wybrałem się z najmłodszym wnuczkiem. Miał dopiero sześć lat, ale dzielnie

pedałował ścieżką rowerową do Szczyrku. W Buczkowicach zatrzymaliśmy się, jak zwykle to robimy, na placu zabaw koło rzeki. Obaj potrzebowaliśmy odpoczynku. W międzyczasie zadzwoniłem do żony. Dzisiaj, niestety, pracowała. Gdyby nie to, byłibyśmy z pewnością tutaj razem. Po drodze odwiedziliśmy jeszcze jego ciocię Agnieszkę, a potem z radością powróciliśmy do domu zmęczeni i zadowoleni. Niedziela faktycznie dobiegała końca. Wieczorem sprawdziłem pocztę, posłuchałem muzyki i zasnąłem.

Następnego dnia już z peronu w oknie składu wagonów zobaczyłem Martę. Ucieszyłem się gdzieś głęboko w sercu. Po paru chwilach już byliśmy koło siebie.

— Witaj, mam dla ciebie moje książki, o które prosiłaś. Muszę od razu powiedzieć, że śmiało możesz je krytykować. Potrzebuję tego jak ryba wody.

Od razu otworzyłem moją teczkę i wydobyłem wspomniane skarby na światło dzienne. Położyłem je delikatnie na kolana Marty. Uśmiechnęła się, chwytając je w swoje dłonie.

— Obiecuję, że to zrobię, ale delikatnie, nie jestem ekspertką w tej dziedzinie.

— Wiesz co?

— Co?

— Mówiłaś, że masz tyle gadżetów, więc komputer chyba też posiadasz? Mam nagrania moich recytacji. Jeśli mi podasz swój email, jeszcze dzisiaj wyślę je — zaproponowałem podekscytowany.

— Pewnie, że mam. Komputer jest moim oknem na świat. Cała gama programów wspiera moją ciemną stronę oczu, zamieniając wszystko, co popadnie, na dźwięki. Dobrze, że zaproponowałaś mi właśnie taką możliwość. Najlepiej zapisz sobie albo zapamiętaj, jak wolisz: marta.zywiec@wp.pl.

— Fajnie, nie muszę zapisywać — stwierdziłem szybko. — Łatwo zapamiętać. Mój jest podobny: bronislawm@poczta.onet.pl. Po takiej prezentacji, czy możesz mi powiedzieć, co się stało, że nie było cię w zeszłym tygodniu w pociągu?

— Szukałeś mnie?

— Oczywiście — przyznałem. — Boję się tego słowa, bo możesz mnie źle zrozumieć, ale tęskniłem.

— Mężczyźni nie lubią się przyznawać do takich uczuć, ty jednak jesteś inny — stwierdziła, wprawiając mnie w zakłopotanie. — Przyznaję — ja czułam podobnie. Na drugi dzień, kiedy mieliśmy się spotkać, pękła mi rura z wodą i zrobiło się ogromne zamieszanie. Dopiero wieczorem mogłam usiąść spokojnie i wszystko ogarnąć. Przyznam, że wtedy dopiero poczułem brak ciebie, a raczej naszych konwersacji, jakie moglibyśmy prowadzić w wagonowej przestrzeni.

— Siła wyższa.

— Teraz mamy adresy e-mailowe, więc nie grozi nam martwy czas. Ja się

z tego bardzo cieszę. Często jestem pogrążona w samotności — przycichła na chwilę. — Tak, będę słuchać twoich słów. Mam jeszcze komunikator Skype.

— Mam Skype, mam telefon, ale nie lubię tych środków komunikacji, zostanmy przy listach — zaproponowałem. — Tobie pewnie byłoby lepiej...

— OK, niech tak zostanie. Dam sobie radę. Z drugiej strony, rozmowy na Skype, jeśli nie jesteś sam, mogłyby być krępujące i dla ciebie i dla mnie.

— Więc zostajemy przy elektronicznej poczcie — stwierdziłem zadowolony. Wolałem pisać, zawsze pisanie szło mi lepiej niż rozmowa. Pomyślałem, że może jej o tym powiem.

— Wiesz, rozmowa w czasie rzeczywistym nie jest moją mocną stroną, nigdy mi nie wychodziła.

— Nie wierzę — pokręciła głową. — Przecież mówisz do mnie płynnie i dobrze nam się rozmawia.

— Może tak to wygląda, ale mam trudności z wysławianiem się — tłumaczyłem dalej moje poparcie dla decyzji o prowadzeniu korespondencji pisanej zamiast mówionej.

— Jeśli tak wolisz i czujesz się z tym lepiej, dobra.

— Co u siostry? — zacząłem z innej beczki.

— Siostra jest szczęśliwą mamą, a ja przy niej. Lubię słuchać jej maluszka, śpiewam mu i opowiadam bajki, które kiedyś czytał mi tata do poduszki. Nie mogę ci pokazać zdjęć, nie noszę, sama wyobrażam sobie chrześniaka, dotykając jego twarzy i słuchając dźwięków, które pochodzą od niego.

— Dla widzącego często jest trudno słowami określić czyjś wygląd, a co dopiero jeśli mamy wszystko określić tylko z dotyku.

Niewiarygodne, jak przystosowałaś się do ciemności.

— Nie przystosowałam się — zaprzeczyła.

— Ja to odczuwam inaczej. Czy możesz mi powiedzieć coś o swojej... — chciałem powiedzieć ślepcie, ale rozpaczliwie zacząłem szukać jakiegoś innego słowa. W myślach zobaczyłem tylko pustkę.

— O co chciałeś zapytać? — Zaczęła po chwili pauzy, nie mogąc się doczekać mojego pytania.

— O twojej chorobie oczu — z ulgą odpowiedziałem, kiedy dotarły do mnie właściwe słowa.

Milczała dość długo.

— Nie chciałabym o tym mówić — wyszeptała, wpadając w jakiś trans zamyślenia.

Poczułem, jak błędziła w nim, odłączając się od rzeczywistości. Czekałem spokojnie i nie torpedowałem kolejnym pytaniem, na które prawdopodobnie nie otrzymałbym odpowiedzi. Spojrzałem przez okno. Pociąg stał na stacji Bielsko-Biała Leszczyny. Znów moje spojrzenie ugrzęzło w jej twarzy. Kątem oka

zobaczyłem łzę spływającą po jej bladym policzku. Jej źródło było szczelnie zakryte czarnymi szklami okularów. Dłonie zaciskały się w sobie, a ja trwałem spokojnie, patrząc na to wszystko jakoś ubezwłasnowolniony. W końcu objąłem jej dłonie swoimi. Drgnęła, czując mój dotyk, po czym wyraźnie zaczęła wracać do rzeczywistości. Rozłączyła dłonie i sięgnęła prawą ręką do torebki, tej samej, z której kilka dni temu wysypała się cała jej zawartość. Wyjęła chusteczkę i przetarła policzek, sięgając pod oprawkę okularów.

— Przepraszam — wyszeptwała. — Myślałam, że potrafię już o tym mówić. Myliłam się.

— Powiesz, jak będziesz mogła — starałem się miękkim głosem uspokoić ją.

— To nie była choroba... To był wypadek — wyrzuciła z siebie i znów zamilkła.

— Mówiłaś o siostrze — po chwili zacząłem, aby wyjść już z tematu. — Siostra już pracuje?

— Pracuje, dlatego jej pomagam. Jej mąż też pracuje. Ona na pół etatu. Cztery godziny jestem sama, ale daję sobie radę. Dzieciak jest fajny, nie jest bojący i trzyma się mnie jak kociak psiego ogona.

— Nie drżysz, że stracisz go z pola swojego zasięgu?

— Mieszkanie jest zamknięte. Nigdzie nie uciekniesz, a do tego ślicznie już mówi i powie, czego potrzebuje. Od przyszłego roku idzie do przedszkola, więc ograniczę moje wycieczki pociągami, ale przyznam, że taka opieka pozwoliła mi bardziej otworzyć się na świat i przestać się bać. Potwornie się bałam wyjść z domu. Chodziłam zawsze z koleżanką, aż pewnego dnia postanowiłam zrobić to sama.

— Odważna jesteś — powiedziałem z uznaniem w głosie.

— Też byłbyś odważny, gdyby cię rzeczywistość do tego zmusiła.

— No, nie wiem. Wczoraj próbowałem zamknąć oczy i przejść po mieszkaniu. Naprawdę to były straszne chwile. Chciałem choć trochę poznać, co czuje osoba niewidoma, ale zrozumiałem, że żeby poczuć, musiałbym naprawdę stracić wzrok. Takie przymiarki widzącego są nie na miejscu.

— Masz rację. Mimo zamknięcia oczu, czuleś się bezpieczny. Nic ani nikt nawet na moment ci nie zagrażał. Zawsze mogłeś otworzyć oczy. Bóg mnie doświadczył, abym zobaczyła coś więcej, niż widziałam otwartymi oczami. Pogodziłam się, że nie będę już widzieć barw, kształtów, które stworzył, ale mam wiarę na ich otwarcie w nowym wymiarze, w jego doskonałym wymiarze — dodała.

Jej słowa były proste i zapadały w moją duszę. Coś kryło się za płaszczem odwagi, wrażliwości i siły, jaką reprezentowała swoją postawą. Skrywana tajemnica odbijała się delikatnym echem, którego nie potrafiłem jeszcze odczytać. Myślę, że to tylko kwestia czasu, jak oświeci mnie jej blask. Nie domyślałem się

jednak niczego więcej. Czekałem spokojnie aż otworzy mi siebie i poznam to, co niepoznawalne.

Paradoksalnie ona stawała się okazją do poznania samego siebie. Nie wiem, na czym to polegało, ale ta myśl zaczęła we mnie od tej pory kiełkować.

— Nic nie mówisz... — wyszeptała.

Szum jadącego pociągu mieszał się z gwarem ludzi wewnątrz wagonu. Dzisiaj jakby było ich więcej.

— Zastanawiam się, jak bardzo zraniło cię życie.

— Nie mówmy o tym. Lepiej opowiedz, co dzisiaj będziesz robił w domu?

— Dzisiaj? — podrapałem się głupio po głowie. — Robię dojazd i chodnik do domu, potem poklikam na komputerze. Może wieczorem jakiś film, jak codziennie.

— Nie tworzysz czegoś nowego?

— Od miesięcy nic mi nie przychodzi do głowy. Kiedy myślę, że zacznę jakiś nowy projekt, nic z niego nie wychodzi. Dopadła mnie niemoc, totalne dno, z którego nie mogę się podnieść.

— Jeśli masz talent, poproś Jęgo o pomoc. Poproś o łaskę tworzenia nowych słów. Ja zawsze proszę. Proszę, by pobłogosławił każdy dzień, który zaczynam.

— I pomaga?

— Pomaga. Jest ze mną, prowadzi mnie, jest moimi oczami, moją nadzieją i wiarą, nawet jeśli upadam, potykając się o jakiś przedmiot.

— Zazdroszczę ci. Mnie teraz nic nie pomaga. A może ty zaczniesz pisać? Opisz mi swoje zmagania z życiem, jeśli nie możesz mi o nich opowiedzieć.

— Zastanowię się — odparła, odwracając głowę do okna.

— Zrobię to, jeśli ty zaczniesz pisać. Obojętnie co, ale zacznij, a potem poproś swojego anioła o pomoc.

— Dobra, zaczniemy razem. Niech się dzieje wola nieba, jak u Fredry.

— Właśnie tak — odwróciła głowę w moją stronę. — Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba.

Na kolanach ciągle leżały moje trzy książki. Spojrzałem na nie trochę inaczej. Pierwsze, przysłała radość, że coś napisałem, a potem delikatny powiew strachu zwiastującego koniec mojej twórczości. Co zwycięży w mojej głowie? Jak w przypowieści o dobrym i złym wilku. Ten wilk urośnie, którego bardziej będę karmił. Musiałem się bardziej postarać, znaleźć karmę dla słów i pisać, pisać i jeszcze raz pisać. Poświęcić czas, żeby wszystko było lepsze, dokładniejsze, bardziej trafne i zawierało pierwiastek boski. Bez niego wszystko było do kitu. Słowa przemijały, głupie zdarzenia szły w niepamięć, wszystko, co szare, złe i pełne przemocy topiło się w błocie. Jak wszystko uduchowić, podnieść z ziemi do góry i przedstawić czytelnikom jako coś, co ich czegoś nauczy, pozwoli kroczyć do przodu w stronę przysłowiowego światła, do którego po śmierci podążymy?

— Milczysz?
— Zastanawiam się — stwierdziłem fakt, który rzeczywiście istniał w mojej głowie przez dość długą chwilę.
— Nad czym? Czy pisać razem ze mną? Zgoda, będę pisać z tobą, ale nie tak szybko. Nie mam talentu do pisania, muszę popробować.
— Będziemy próbować razem. Schowaj moje książki, żeby ci nie spadły.
— Zaopiekuję się nimi. Już się nie mogę doczekać. Zastanawiam się tylko, czy używać skanera, czy czytnika brajla.
— Jaka różnica? — zapytałem z ciekawości.
— W skanerze mogę użyć syntezy mowy, a z czytnika muszę czytać litera po literze. A może zrobię tak i tak — uśmiechnęła się.
— A teraz kolej na ciebie — dodała. — Z czym? — zdziwiłem się trochę.
— Ano z tym, że zaraz wysiadasz — stwierdziła dumnym głosem. — Tym razem pilnowałam za ciebie.
— No tak, zagadałem się i przy tobie zapomniałem o wszystkim.
— Nie zwalaj na mnie.
— Dzięki za przypomnienie i do jutra.
— Jutro nie jadę, ale pojutrze może się spotkamy. Pa — Na razie, hej.
Delikatnie znów dotknąłem jej dłoni i wysiadłem.

INTERNETOWE ROZMOWY

Po zajęciach domowych i kolacji usiadłem za stołem i włączyłem laptopa. Chwilę czekałem, aż ten powolny sprzęt z 2005 roku połączy mnie ze światem. Otworzyłem pocztę, a tu:

Od: marta.zywiec@wp.pl

Data: 9 września 2013 18:04 Do: bronislawm@poczta.onet.pl Temat: Pozdrowienia.

Nawiązując do naszej wagonowej rozmowy, chciałabym jako pierwsza przesłać do ciebie wiadomość. Dziękuję za podanie konta i informuję, że zaczynam czytać twój tomik wierszy pt. „W drodze do słowa”. Nie wiem, czy prześlę opinię jeszcze dzisiaj, ponieważ mam trochę zajęć w międzyczasie do wykonania. Dziękuję za książki i twoje towarzystwo w podróży.

*Masz moje błogosławieństwo twórcze. Pozdrawiam
Marta*

PS. Szepnę też słówko do Boga za ciebie.

Dostałem błogosławieństwo, zajmę się pisaniem, jak spłynie na mnie. Może to nie działa od razu — pomyślałem. Otworzyłem program pocztowy i nową wiadomość. Chwilę myślałem, co napisać, aż w końcu zacząłem.

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 9 września 2013 21:16

Do: marta.zywiec@wp.pl

Temat: Wieczorem

Witaj Marto. Dziękuję za słowa i błogosławieństwo. Na razie nie działa, ale może trzeba trochę czasu, aby spłynęło. Wszak do nieba jest daleko, trzeba przelecieć przez cały wszechświat. Tak poważnie, bardzo się cieszę, że czytasz moje teksty. W załączeniu przesyłam recytacje w wykonaniu mojej żony pt. „Wehikuł czasu” z podkładem muzycznym i życzę miłego słuchania. Staram się, jak mogę, aby coś napisać, jednak jeszcze nie potrafię, może pojawi się wreszcie jakaś iskra, która zapali moje myśli i klawiaturę laptopa. Czytam Biblię. W końcu postanowiłem chociaż raz w życiu przeczytać ją od deski do deski. Jakby to było, gdyby chrześcijanin nie znał tego tekstu. Pozdrawiam i miłych snów.

Bronisław

Wtorek był pracowity i w pracy i w domu. Jeszcze w zakładzie pomyślałem, że odbiorę maila od Marty. Byłem ciekawy, co też napisze po pierwszych przeczytanych słowach i po odsłuchaniu recytacji. W jadalni stał komputer, w czasie przerwy śniadaniowej wstukałem na klawiaturze adres Onetu w wyszukiwarce. Później zalogowałem się na pocztę, ale żadnego listu od niej nie było, tylko jakieś śmieci reklamowe. Postanowiłem jednak napisać.

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 10 września 2013 11:05

Do: marta.zywiec@wp.pl

Temat: Myśli przy śniadaniu

Witaj, mam przerwę śniadaniową, postanowiłem napisać do ciebie kilka słów. A tak po prawdzie sprawdzałem, czy napisałaś coś do mnie. Niestety, niczego nie znalazłem. Przesyłam pozdrowienia i wracam do pracy. Jeszcze jedno, przyłapuję się na tym, że myślę o Tobie. Dzisiaj wracam do domu z kolegą, jego samochodem. Mówiłaś, że nie jedziesz, więc poszukałem sobie innej drogi powrotu.

Bronisław

W domu postanowiłem zapomnieć o Marcie i wszystkich sprawach z nią związanych. Dobrze mi szło. Wykopywałem stare krawężniki i układałem na nowo, nieznacznie poszerzając drogę dojazdową. Odi, nasz pies, spoglądał na mnie z kojca i pojękiwał z nadzieją, że zostawię wszystko i zajmę się nim. Zrobiło mi się go żal. Kojec miał naprawdę duży, mógł swobodnie biegać dwadzieścia metrów w każdą stronę, Tylko wydeptane ścieżki pokazywały, że to robił, a robił po przekątnych i wzdłuż siatki ogrodzeniowej. Wszedłem do środka i usiadłem z nim na ściętym konarze jabłoni. Z początku szalał, jednak po chwili uznając harce za bezcelowe, usiadł obok mnie, poddając się pieszcotom. Zbliżała się jesień, a sierść dalej mu wypadła. Trwaliśmy tak chwilę, nie myśląc o niczym. Powoli zaczynało szarzeć. Posprzątałem narzędzia i wróciłem do domu. Po wiadomościach i kolacji otworzyłem laptopa i włączyłem Outlook expres. Skrzynka odbiorcza ukazała od razu tłustym drukiem nie przeczytany list. Kliknąłem na niego bezwiednie. Po chwili otworzyła się wiadomość.

Od: marta.zywiec@wp.pl

Data: 10 września 2013 20:15 Do: bronislawm@poczta.onet.pl Temat: Pozdrowienia.

Dziękuję za dwie wiadomości. Ucieszyłam się, słuchając twoich słów. Zmieniłam sobie lektora z kobiecego na męski głos. Cieszę się, że czytasz Biblię. Bardzo ważne jest poznanie swojej religii, a jak ją można poznać, nie czytając. Z pewnością przyjdzie czas, że to zrobisz. Wracając do dzisiejszego listu, podobało mi się twoje śniadanie ze mną w tle. Jutro będę wracała pociągiem jak zawsze. Jak to brzmi?! J a k z a w s z e?! Przesyłam pozdrowienia. Ja też myślę o Tobie.

Marta

Ani słowa o moich wierszach czy o recytacji, ale zdanie: „Ja też myślę o Tobie” dziwnie podniosło mnie na duchu. Czułem, że coś rodzi się we mnie. Nie była to miłość, tą przecież miałem już w sobie. Co to było? Nie wiem. Zostawię te narodziny dotąd, dopóki same się nie określą bardziej wyraźnie. Prawdą było, że zacząłem patrzeć inaczej na ten rok 2013, który był pierwszym po zwiastowanym przez media końcu świata. Początek wydawał się kiepski, ale tak bywa z początkami. Zacząłem rozumieć, że mam dobre i złe chwile do pisania, że potrzeba czasu, aby posegregować nowe wiadomości i zacząć z nich korzystać przy tworzeniu nowego projektu, chociaż nie miałem o nim zielonego pojęcia. Szuflada z wierszami też pozostawała zamknięta od jakiegoś czasu. Po śmierci mamy wszystko we mnie zamarło. Oczami wyobraźni ciągle widziałem ją leżącą

w szpitalu na intensywnej terapii. Gmatwanina przewodów, rura do tracheotomii, przez którą powietrze dostawało się do płuc, i oczy wpatrzone we mnie, oczy, które zastępowały usta. Musiałem z nich wyczytać jej słowa, wszystko, o czym chciała powiedzieć zanim odejdzie poza ten punkt wybuchu, w którym Bóg postanowił stworzyć świat. Słyszałem w uszach jej stwierdzenie: „Już chyba nie wyjdę ze szpitala, pójdę do Abrahama”. Po tych słowach wyszła jednak ze Szpitala Kolejowego w Wilkowicach do domu, jednak tylko na miesiąc. Cierpienie rozciągnęło się na kolejny długi miesiąc.

Ból towarzyszy nam od dziecka, aż do śmierci. Czy był to czynnik naszego grzechu pierworodnego, czy świat właśnie taki został stworzony? Nie potrafimy sobie wyobrazić świata, jakby wyglądał, gdyby był doskonały. Każda walka o doskonałość rozbijała się o szklany mur niemożliwy do sforsowania. Coś w naszych genach parło ciągle do walki, wzajemnej destrukcji i chociaż pojawiały się przykłady odmienne, nie przeważały szali. W ostatni dzień życia mamy oczy wyraźnie przygasły. Widać było, jak ciało nie słucha już ducha i unicestwia się pogrążone przez raka. Ta świetlista istota, która zamieszkiwała i niejako dzierżawiła ciało, myślała już wyraźnie o powrocie w wymiar, z którego przyszła powołana do życia w materii. Widzialny wszechświat wyglądał jak poligon doświadczalny Boga. Kiedy zawiodły z własnej, nieprzymuszonej woli jego pierworodne stworzenia, wysłała im na pomoc część samego siebie, wcielając w ludzkie ciało wojownika nad wojownikami — Jezusa. Pokazał nam drogę, o której ciągle zapominamy. Tarzając się w materii, myślimy jak ona.

Dochodziła dwudziesta druga wieczorem. Pomyślałem o modlitwie wieczornej. Przyszły mi na myśl jej cztery etapy: Ja mówię, On słucha — On mówi, ja słucham — Żaden z nas nie mówi, obaj słuchamy — Żaden z nas nie mówi, żaden nie słucha, panuje cisza.

Było już wyraźnie po dziesiątej w nocy, kiedy do pokoju weszła żona.

— Widzę, że wróciłeś do pisania — zaczęła uśmiechnięta. — Dzisiaj mieliśmy dużo gości do samego wieczora. Widziałam, jak ładnie układasz płytki. Będziemy mieli wreszcie dobre dojscie do domu.

— Mnie też się podoba — odpowiedziałem na jej pochwałę, zamykając laptopa. — Szkoda, że nie ma pieniędzy na coś lepszego.

— Nie marudź, na tyle nas stać.

— Jasne.

— Napijemy się po lampce wina? — zaproponowała.

— Oczywiście — stwierdziłem, wyciągając z witryny szkło i butelkę czerwonego wina.

— O czym piszesz? — zapytała zaciekawiona.

— Jeszcze o niczym, szukam tematu, ale jakoś się nie klei.

— Musisz się zakochać — wyrzuciła z uśmiechem.

— Jasne, zakochanie mi w tym pomoże — rzuciłem z grymasem na ustach.

— Mam ci przypomnieć?

— Nie musisz.

Włączyłem telewizor, aby rozmowa przeszła w jakąś inną stronę. Prawie zaczął się jakiś film. Chwilę siedzieliśmy w milczeniu, delektując się winem.

— Dobrze jest — przerwałem ciszę.

— Mnie też smakuje, ale chyba pora już na sen.

RĄBEK TAJEMNICY

Nazajutrz pociąg do Bielska-Białej wjechał opóźniony około trzydziestu minut. Myślałem, że będzie gorzej, ale spóźniłem się do pracy tylko 15 minut. Wtedy przyszło mi do głowy, abym pojechał za Martą do Żywca i zobaczył, gdzie mieszka i jak sobie radzi w rzeczywistości. Nie wiem, skąd ta myśl. Na przemian usuwałem ją z głowy i znów się pojawiała jak natrętna mucha. W końcu udało mi się ją wywalić z mózgowicy i zacząłem normalnie pracować. Nie miałem czasu na sprawdzanie poczty i tak musiałem popracować dłużej, ale zdążyłem wyrwać się na pociąg, ten przed szesnastą. Marta jechała w nim, tak jak powiedziała. Ucieszyłem się na jej widok. Ona również wyraźnie tak samo zareagowała na moje powitanie, jak zwykle zabierając torebkę z wolnego siedzenia. Oboje byliśmy wyraźnie podekscytowani jednodniową przerwą.

— Jak minął dzień w pracy? — zapytała miłym głosem.

— Pracowicie. Dziękuję za list. Nie odpisałem, było już późno, kiedy go przeczytałem. Potem naszły mnie myśli o mamie i wreszcie wróciła z pracy żona. Wypiliśmy po lampce wina i do spanka. — Co z twoją mamą? — zapytała przejęta.

— Moja mama już nie żyje prawie dwa lata — stwierdziłem fakt.

— Przepraszam, wyrazy współczucia.

— Dziękuję — odparłem. — Tak jakoś wczoraj moje myśli powędrowały do niej.

— Pewnie przejmujesz się twoim życiem na ziemi.

— Tak myślisz? Może masz rację, zawsze strasznie wszystkim się przejmowała, hodując sobie tarczycę ponad miarę. Kiedyś czytałem, że osoby o takim usposobieniu częściej zapadają na tę chorobę.

— To prawda — potwierdziła. — A tata?

— Tatko mieszka sam w Straconce. Jakoś daje sobie radę. A twoi rodzice? — zapytałem, spoglądając na jej twarz. Chciałem też czegoś się o niej dowiedzieć. Przyznam, że już o tym myślałem.

— Moi rodzice nie żyją już dawno. Nie wiem, czy przypominasz sobie

tragedię lotniczą, która wydarzyła się w 1987 roku.

— Nie, nie pamiętam, ale mów dalej.

— 9 maja w Lasach Kabackich. IŁ 69 „Tadeusz Kościuszko” lecący z Warszawy do Nowego Jorku rozbił się. Zginęły wtedy sto osiemdziesiąt trzy osoby. Jednymi z nich byli moi rodzice. Dla mnie wtedy świat przestał istnieć po raz pierwszy. Razem z siostrą byliśmy u babci. Rodzice wylatywali na miesiąc, który okazał się całą wiecznością.

— Współczuję. Ogromnie mi przykro.

— Od tamtej pory każdą obecną chwilę celebрую tak, jakby była ostatnia w moim życiu. Dlatego z nikim się nie kłócę, wszystkim życzę dobra. Nie wiedziałam wtedy, że wszystko w moim życiu będzie się powtarzać.

— Powtarzać? — zapytałem przejęty.

— A tak, ale to już inna sprawa — zamilkła na chwilę. — Teraz już wiesz, dlaczego jestem, a raczej staram się być pogodna. Dawno pogodziłam się z ich śmiercią. Żałuję, że przed ich wyjazdem nie pożegnałam się tak, jak przystoi kochanej córce. Stroiłam fochy, bo nie dostałam na urodziny tego, o co prosiłam. Teraz z perspektywy czasu wiem, jakie to było głupie. Nawet tłumaczenie, że byłam dzieckiem, niczego nie zmienia. Byłam kapryśna, niegrzeczna, ale wiedziałam, że mama i tata bardzo mnie kochają. Byłam pewna ich miłości, nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy, że zostanę pozbawiona tego uczucia w tak drastycznych okolicznościach, nagle i bez prawa odwołania. Tego, co było, już nie zmienię w żaden sposób.

— Przykre, ale byłaś młoda — starałem się tłumaczyć jej zachowanie, które przecież miało miejsce tak dawno temu. Jak mogła się za cokolwiek obwiniać?

— To nie jest tłumaczenie, codziennie wyrzucałam sobie mój egoizm z tamtych lat. Codziennie się go wyzywałam, chodząc później na cmentarz. Siadałam na ich grobie i opowiadałam o każdym ważnym zdarzeniu, jakie przyszło mi przeżyć bez ich udziału. Po tych rozmowach zawsze było mi lżej.

— Wyobrażam sobie — wtrąciłem.

— Siostra była jeszcze mała. Niczego nie rozumiała. Nie jest tak obciążona przeszłością jak ja. Minęło już 26 lat.

— Szmat czasu — stwierdziłem, chwytając jej dłonie.

Nie odsunęła ich, a raczej przyjęła uścisk, odwzajemniając go delikatnym zaciągnięciem palców.

— Niby tak, ale ja to odbieram ciągle, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj. Ze śmiercią rodziców, jak już mówiłam, jestem pogodzona, tylko ze sobą nie we wszystkim, ale tak to jest z naszymi emocjami i uczuciami. Pewnie wiesz po sobie. Co ja ci będę mówiła.

— Bolesną masz zadrę z przeszłości — potwierdziłem słuszność jej wywodów. Nie mogłem na szybko znaleźć innego wyrazu określającego ten stan...

— Powoli pozbywam się bólu z tym związanego. Zdaję sobie sprawę, że gdy już się uporam, przyjdzie kolejny. Dlatego często się modlę, rozmawiam z Bogiem i czytam ostatnio brajlem KKK. — A cóż to?

— Nie wiesz? Katechizm Kościoła Katolickiego — odparła z dozą dumy w głosie.

— Nie czytałem, ale z pewnością to zrobię. Pamiętam tylko katechizm z podstawówki. Znałem go prawie na pamięć.

— Pierwsze wydanie tego katechizmu nastąpiło w 1992 roku, a w 1994 w naszym języku. Jan Paweł II podjął w latach 80. decyzję o przygotowaniu we współpracy z wszystkimi biskupami świata książki, w której przeciętny katolik mógłby znaleźć odpowiedź na pytania dotyczące swojej wiary. W duchu posoborowym postanowiono napisać obszerne dzieło wyjaśniające, w co wierzy współcześnie Kościół. Koordynatorem przedsięwzięcia wybrany został ówczesny kard. Joseph Ratzinger.

— Ale powiało religijnością dzisiaj w naszej rozmowie.

— Tak jakoś zesłiśmy na takie tematy, sama nie wiem czemu.

Ty mnie tak nastroiłeś.

— Ja? — zdziwiłem się.

— Nie, duch święty — zaripostowała. — Pytanie o rodziców doprowadziło do tego.

— Zmieńmy lepiej temat — zaproponowałem.

— Na jaki? — zapytała szybko.

— A chociażby, jak podobała ci się przesłana recytacja?

— Naprawdę bardzo mi się podobała. Twoja żona ma świetny głos, a do tego ten podkład, bardzo ładnie dopasowany. Całość naprawdę rewelacyjna, pełna nostalgii, jakiegoś wewnętrznego żaru — rozprawiała jak natchniona, zapominając o poprzednim bolesnym temacie...

— A tekst? — zapytałem.

— Tekst jest trochę słabszy, może dlatego — tłumaczyła — że nie znam uwarunkowań, w jakich powstały twoje słowa. „Wehikuł czasu”. Sam tytuł wprowadza we wszystkie czasy, które doprowadziły do powstania tych wierszy: wspomnienia, terażniejszość i oczywiście marzenia jako przeszłość.

— Cieszę się, że nie przeszłaś obojętnie przez teksty wierszy, próbowałaś w nie wejść, jak wchodzi się do pokoju, a potem rozglądałaś się za meblami, wyposażeniem i osobami go wypełniającymi. Oczyma wyobraźni szukałaś emocji, moich i osoby recytującej, a że nie wszystko rozumiałaś, bo nie mogłaś z prostej przyczyny. Relacje autor-recytatorka są dość ściśle i powiązane ze sobą, nie mogłaś w pełni ocenić wartości każdego słowa. Odbija się w nich ich wspólne życie: moje i jej życie. Inni też mają z tym tomikiem problem. Dzięki.

— Za co? Powiedziałam tylko kilka słów.

— Dla mnie powiedziałaś bardzo dużo.

— Dzisiaj postaram się dokończyć lekturę, a później „Reguła”. Jestem strasznie ciekawa, co napisałeś w tej powieści. Oczywiście, nic nie uprzedzaj.

— Jakże bym śmiał cokolwiek mówić. Zresztą nie potrafię opowiadać o swojej literaturze. Miałem już wieczory autorskie i jawią mi się jak zły sen, wielka kłapa.

— Chyba przesadzasz — wtrąciła się.

— Nie przesadzam — ciągnąłem dalej. — Okropnie się denerwuję, jestem nieśmiały w kontaktach z otoczeniem, zwłaszcza jeśli chodzi o swoją autoprezentację.

— Jakoś w kontakcie z tobą nie odczuwam tego.

— Nie wiem, dlaczego tak łatwo mi się z tobą rozmawia. Sam odczuwam zdziwienie.

— Jak wyglądał twój pierwszy wieczór autorski? — zapytała, dotykając najczulszej mojej struny.

— Okropność, nie chcę do tego wracać. Może innym razem — zaproponowałem.

— Na pewno nie okropność, co do innego razu, z tym muszę się zgodzić.

— Dlaczego?

— Ponieważ musisz wysiadać — zakomunikowała.

— O kurcze. Już Łodygowice — wzdrygnąłem się nerwowo.

— Miłego popołudnia.

— Tobie również — odpowiedziałem, wstając i kierując się do wyjścia.

Rozmowa z Martą wciągała mnie za każdym razem tak, że zapomniałem o Bożym świecie. Ona jednak, chociaż niewidoma, czuwała nad wszystkim, co ją otaczało, panowała nad chwilą, czasem i mną.

Zawładnęła wszystkim, odciągając od reszty świata. Byłem tego pewny, zwłaszcza wtedy, kiedy wysiadłem z pociągu i wsiadłem kilka metrów dalej do tego samego składu. Moje poranne myśli nagle zamieniły się w czyn. Pociąg ruszył, a ja biłem się z myślami, które bombardowały mój umysł. Chyba mi odbiło — pomyślałem, ale pociąg już znalazł się w wałach na wysokości szkoły. Musiałem wypić piwo, jakiego sobie nawarzyłem. Jechałem. Wsiadę na następnej stacji — pomyślałem szybko. Nie wysiadłem. Tak było w Pietrzykowicach. Chwilę później pociąg wtoczył się na stację w Żywcu. Wsiadłem zaraz jak tylko skład zatrzymał się na stacji. Ludzie spieszyli się z opuszczaniem wagonów i kierowali na kładkę wiszącą nad torami prowadzącą w stronę miasta.

Stałem dość długą chwilę, nim w drzwiach zobaczyłem białą laskę, a potem wolno schodzącą po stopniach Martę. Pierwszy raz zobaczyłem ją, jak stoi swobodnie na płycie peronu. Miała ładną figurę. Stała spokojnie, bez oznak paniki czy zdenerwowania. Po jakimś czasie obróciła się w stronę kładki i wolno ruszyła

przed siebie. Dopiero po chwili zobaczyłem, jak pewna pani schodzi po schodach. Kobieta przyśpieszyła i prawie zbiegła po ostatnich stopniach, szybciotko dochodząc do Marty. Przywitały się i razem pod rękę ruszyły do góry po schodach.

Spiker zapowiedział, że na tor drugi wjedzie pociąg osobowy ze Zwardonia do Bielska. Nie miałem dużo czasu na zastanowienie. Musiałem podjąć decyzję szybką i podjąłem. Nie miało sensu towarzyszyć Marcie, skoro przyjaciółka zabrała ją prosto z peronu. Pociąg wtoczył się na tor i równocześnie ruszył ten, którym przyjechałem. Zapakowałem swoje ciało do wagonu i tylko przez okno spoglądałem za nimi, jak znikają na kładce z drugiej strony dworca.

Wróciłem do domu po siedemnastej. Spóźniony i zły na siebie za to, że uległem podszeptom podświadomości, oczywiście tej spod ciemnej strony. Nie mogłem pojąć, dlaczego pojechałem za nią do Żywca. O co mi chodziło?

Jakby niewidzialne klapki opadły na moje empiryczne i dociekające myśli. Wyglądało oględnie na to, że jestem w tej dziedzinie głupi i bezradny jak małe dziecko. Dobrze, że miałem zaplanowane zajęcia. Czas szybciotko pomknął do przodu.

Niespodziewanie była już godzina ósma wieczorem. Usiadłem w dużym pokoju z kolacją na talerzu i włączyłem telewizor. Przeleciałem po kanałach z nadzieją na jakiś dobry film, a potem spojrzałem do programu. Na dwójce zaciekałem się niemiecką produkcją pt. „Kadisz dla przyjaciela”. Wołałem obejrzeć ten dramat obyczajowy niż kolejne powtórki z bezsensownymi strzelankami lub naciąganyimi filmami o katastrofach, potworach i innych okropieństwach. Intuicja mnie nie zawiodła. Półtorej godziny później, może trochę więcej, rozmyślałem nad przekazem obrazu, który stał się moim udziałem. Okazało się, że jest to poruszająca historia dziwnej przyjaźni, która rodzi się na zgliszczach starej jak świat nienawiści między rasami ludzkimi. Na skutek niezwykłego splotu wydarzeń dochodzi do zderzenia dwóch, wzajemnie znienawidzonych światów. Młody Palestyńczyk jest uchodźcą z Libanu. Aby się wykazać w środowisku rówieśników tworzących miejscowy gang, bierze udział we włamaniu do mieszkania 84 letniego Żyda z Rosji, Alexandra. We wzajemnych bólach i oskarżeniach, z tych znienawidzonych dla siebie światów, powoli rodzi się nadzieja i poruszająca przyjaźń, która wznosi się nad podziałami i odwieczną wrogością. Wzruszył mnie obraz niezwyklej przyjaźni i doprowadził do niespodziewanego wybuchu emocji, poruszających moją duszę do głębi. Wieczorem wróciła żona z pracy i jak zwykle usiedliśmy, podsumowując dzisiejszy dzień.

— Pamiętasz o sobocie? Idziemy na urodziny do znajomych.

— Oczywiście, mamy być w strojach z lat siedemdziesiątych. W co się ubrać? — zapytałem, zapominając o filmie.

— Masz takie szerokie dżinsy, będą dobre. Do tego koszula w kratę i ten

pasiasty krawat z melodyjką. Będzie super.

— A ty?

— Ja jeszcze zobaczę. Mam parę sukienek do przymierzenia, pomyślę. Wiesz jak dojechać do tej restauracji? — zapytała, czekając na moją odpowiedź.

— Szukałem w Internecie i znalazłem restaurację PRL KLUB. Nawet ma stronę na Facebooku. W dodatku jest tam napisane o naszej sobocie. Jest rezerwacja, pewnie będzie fajnie. Pokażę ci wystrój i gdzie znajduje się w Żywcu — żywo odpowiadałem na jej pytanie.

W międzyczasie otworzyłem laptopa i poszukałem na portalu owej strony. Przejrzeliśmy kilka wpisów poprzedzających sobotnią imprezę. Urodziny Alana zapowiadały się bardzo ciekawie. Klub obwieszony był plakatami z minionej epoki. Prawdę mówiąc, sam PRL spędzał sen z moich powiek. Okres dość ideologicznie ciemny, za to towarzysko wykazywał się odmiennością. Ludzie i ich rodziny stanowili prawdziwy kręgosłup, przeciwstawiający się szarości życia na zewnątrz, jakby przeciwwagę. Co z tego, że wszystko było na kartki, że trzeba było organizować żarcie prawie z niczego, biegać do kwiaciarni po wszechobecne goździki, skoro każda impreza miała smak. Ludzie nad wyraz chętnie odwiedzali się wzajemnie, na przeszkodzie nie stała wszędobylska obecnie zazdrość i kariera, chęć bycia lepszym od innych. Wtedy wszyscy wzajemnie sobie pomagali, a w budowy domostw angażowali wszystkich bliskich i dalszych. Nie chwalebę PRL-u, daleki jestem od tego, ale kapitalizm wywrócił wszystkie relacje międzyludzkie do góry nogami. Na twarzach ludzi pojawiły się maski, których nie można podejrzeć, czy zerknąć, co kryją pod sobą.

Po refleksjach noc nadeszła szybciotko. Nie sprawdziłem nawet poczty, czy Marta coś napisała.

ŻYDÓWKA

Rano obudziłem się z potwornym bólem głowy. Pierwsze, co zrobiłem po wstaniu, to poszedłem do spiżarki, gdzie na półce leżały lekarstwa. Nie zastanawiając się, wyłuskałem z opakowania dwie tabletki i popiłem zimną, wczorajszą herbatą. Nie miałem ochoty wychodzić nigdzie z tym wszechobecnym bólem, który wciskał się w mój mózg, Moje migreny często kończyły się niezbyt przyjemnie. Ostatnim stadium były okropne wymioty. Nie można było ich powstrzymać, dlatego, kiedy poczuję pierwsze symptomy, gaszę ten wstrętny pożar bezzwłocznie. Dopiero po dwóch godzinach zacząłem wracać do rzeczywistości.

Dobrze, że zleceń w pracy było wyraźnie mniej i dzień mijał na cichej rekonwalescencji. Przytłumiony ból utrzymywał się jeszcze do południa. Po

dwunastej myślałem już wyraźnie jasno i czekałem na spotkanie z Martą. Sprawdziłem też pocztę, tym razem nie napisała nic. Trzy godziny przeleciały jak z bicia strzelił. Ku mojej radości nawet pociąg przyjechał wyjątkowo punktualnie.

— Witaj Marto! — pozdrowiłem przyjaciółkę, siadając koło niej.

— A witaj Bronku! Jak minął dzień?

— Strasznie, dzisiaj bolała mnie głowa — zacząłem od narzekania.

— Fatalnie, a teraz? — zapytała z troską.

— Teraz jest dobrze. Cieszę się, że jedziesz.

— Ja też się cieszę. Ostatnio przyłapuję się na tym, że czekam z niecierpliwością na kolejne spotkanie. Jak to się stało?

— Widocznie mamy sobie coś do zaoferowania, nie widzę innego wytłumaczenia. Nie obrazisz się, jak przytoczę pewną przypowieść, ale ona pasuje do ciebie jak ulał?

— Nigdy się nie obrażam, wyrosłam z tego już bardzo dawno temu. Możesz śmiało mówić, nauczę się czegoś nowego.

— No dobra. Stary rabin stracił wzrok i nie mógł ani czytać, ani widzieć twarzy tych, którzy przychodzili, aby go odwiedzić. Zjawił się kiedyś lekarz uzdrawiający wiarą. I rzekł mu: „Zdaj się z ufnością na moją opiekę, a ulecę cię ze ślepoty”. „Nie trzeba — odparł rabin. — Widzę wszystko, co chciałbym widzieć”.

— Znam to. To de Mello.

— Tak, a morał? — zapytałem zbity z tropu. — Myślałem, że cię zaskoczę.

— Morał? Według mnie jest taki: nie każdy, którego oczy są zamknięte, śni, i nie każdy z otwartymi oczami może widzieć.

— Świetne — stwierdziłem. — Muszę to sobie zapamiętać. To też jego? Właśnie taka treść pasuje do ciebie. Jakby szyte na twoją miarę.

— Jego. Nie zawsze jednak widzę z zamkniętymi oczami. Czasem chciałabym je otworzyć.

Zamyśliła się na chwilę.

— Skąd to znasz? — zapytała po chwili.

— Czytałem — odparłem, szukając w myślach chwili, w której owe słowa dotarły do mojej mózgowicy i po namyśle dorzuciłem: — Nie wiem, kiedy...

— Kiedyś sobie przypomnisz — zapewniła swoim ciepłym głosem.

— A ty skąd znasz ten tekst? — spytałem o jej znajomość przypowieści.

— Jestem Żydówką — stwierdziła stanowczo. — Szkoda, że nie mogę zobaczyć twojej miny.

— Marto, nie masz czego żałować. Nie mam uprzedzeń rasowych. W mojej drugiej powieści jedna z postaci była Cyganką.

— Nic mi nie mówiłeś, że napisałeś drugą powieść.

— Mówiłem, może przeoczyłaś.

— Też chcę ją przeczytać, nie zapomnij mi jej dostać — położyła akcent na

ostanie słowo.

— Nie mogłem znaleźć wydawcy, więc leży sobie w szufladzie. Może mi się tylko wydawało, że o niej wspominałem. Więc twoi rodzice byli Żydami? Wiesz, dobrze się składa, oglądałem wczoraj fajny film, co jest rzadkością w naszej telewizji. Wywarł na mnie niesamowite wrażenie. To skomplikowana historia starego 84-letniego Żyda i 14-letniego chłopca pochodzącego z Libanu.

Nie będę ci całości opowiadał, chyba że będziesz się upierała.

— Będę się upierała — zareagowała od razu.

— Dobrze, opowiem, ale za chwilę. Odpowiesz mi na moje pytanie?

— Oczywiście, pytaj — odpowiedziała bez zastanowienia.

— Wy tłumacz mi słowo: kadisz.

— Jest wiele znaczeń, ale powiem ci, czym jest dla mnie.

— Zamieniam się w słuch.

— W judaizmie jedna z najważniejszych modlitw, będąca składnikiem wszelkich żydowskich modłów zbiorowych. Jest to doksologia w języku aramejskim, wysławiająca Imię Boże, wyrażająca poddanie się Jego woli oraz wzywająca rychłego nadejścia Królestwa Bożego. Często ludzie mylnie sądzą, że jest modlitwą za zmarłych. Odmawianie kadiszu wymaga obecności minjanu. Łączy poszczególne części nabożeństwa, a ponadto jest odmawiany przez żałobników. Z zasady poza żałobnikiem kadisz odmawia kantor. — Ale nagadałaś, jak encyklopedia. Teraz rozumiem trochę więcej, skąd ten tytuł.

— Jaki był tytuł?

— Kadisz dla przyjaciela.

— Aha, czyli modlitwa dla przyjaciela — dodała zaraz.

— Film kończy się sceną pogrzebu Żyda, który dostał prawdopodobnie zawału, ratując młodego libańskiego uchodźcę przed deportacją z Niemiec. Zresztą sąd niemiecki traktuje młodego delikatniej, nakazując mu dodatkową pracę w domu opieki społecznej. Na samym końcu, kiedy staruszek umarł, wokół grobu gromadzą się ludzie na ostatnie pożegnanie. Jeden ze starszych woła chłopca, który stoi gdzieś z daleka, a on podchodzi. Na wyraźną prośbę powtarza modlitwę po hebrajsku za czytającym. Po czym zrzuca tradycyjnie małą łopatkę ziemi na złożoną w grobie trumnę i tyle.

— Ta modlitwa właśnie nazywa się kadisz.

— Znasz ją? — zapytałem bez chwili namysłu.

— Znam.

— Na pamięć?

— Tak, jak chcesz mogę ci szeptem do ucha powiedzieć — uśmiechnęła się.

— Jeśli możesz — zaproponowałem, nachylając się w jej stronę.

Poczułem jej ciepły oddech, taki, że ciarki przemknęły po moim karku, a zaraz potem jej słowa.

— Niech będzie wywyższone i poświęcone Imię Jego, wielkie w świecie, który Sam stworzył według Swej woli. Niechaj ustanowi Swe królowanie, niechaj sprowadzi wyzwolenie, niechaj ześle już wkrótce Mesjasza, za życia waszego i za dni waszych i za życia całego domu Izraela, szybko i w bliskim czasie. Amen. Niechaj

Jego wielkie Imię będzie błogosławione na wieki wieków. Niechaj będzie błogosławione i pochwalone, opiewane i wywyższone, wyniesione i uświetnione, uwielbiane i sławione Święte Imię Jego, niech będzie błogosławiony ponad wszystkie błogosławieństwa i pieśni pochwalne, hymny i dziękczynienia wypowiedane na tym świecie. Amen. Niechaj zapanuje niebiański pokój i szczęśliwe życie dla nas i dla całego Izraela. Amen. Ten, który sprawił pokój na wysokościach, oby zesłał pokój i dla nas i dla całego Izraela. Amen.

Zapanowała cisza. Tekst modlitwy był przyjemny dla ucha. Połączyłem go z filmem i pojąłem jeszcze bardziej głębię jego zakończenia. Nie wyprostowałem się, trwając w nachyleniu, jakbym chciał jeszcze poczuć dłużej ciepło tych pięknie wyszeptanych modlitw.

— A gdzie chodzisz do synagogi? — wypaliłem nagle ni stąd, ni zowąd.

— Nie chodzę — odparła, dodając: — piękny ten tekst.

— Zgadzam się — potwierdziłem jej słowa. Naprawdę przecież był piękny.

— Nie wyznaję judaizmu — oświadczyła.

— A co?

— Jestem chrześcijanką, jak ty — stwierdziła jednoznacznie.

— Skąd wiesz?

— Domyślam się, czytasz Biblię, KKK.

— Tak, masz rację. A twoi rodzice wyznawali judaizm?

— Tak, i mamusia, i tata. W tym dniu, kiedy samolot uległ wypadkowi, lecieli do Stanów Zjednoczonych, mieli odwiedzić także rodzinę mamy, która musiała wyjechać z Polski w 1969 roku. Czytałeś o tych latach? — zapytała, jakby podnosząc twarz w moją stronę.

— Czytałem o tym niechlubnym okresie naszej powojennej państwowości.

— Wyemigrowało wtedy około 20 tysięcy Żydów. Co mieli robić? Gomułka postawił znak równości między Żydem a syjonistą.

Wielu ludzi straciło pracę, posadę, stanowiska partyjne w PZPR. Wyjechali nie tylko ze względów politycznych, ale i materialnych.

— Wiem, przygotowywałem kiedyś pracę na ten temat. W latach siedemdziesiątych wielu ludzi z pochodzenia żydowskiego poparło ówczesną opozycję, widząc w tym skuteczną walkę o demokrację, w której Żydzi mogliby normalnie z nami współistnieć. — Mówiła mi o tym babcia, Modzelewski, Michnik, Geremek. — Jak to się stało, że zostałeś katoliczką?

— Zawdzięczam to mojej zmarłej babci. Była katoliczką, jedyną w rodzinie.

Po śmierci rodziców wzięła nas razem z siostrą do siebie na wychowanie i tak przyjęliśmy chrzest, komunię, a potem bierzmowanie i wreszcie sakrament ślubu.

Tutaj nastąpiła cisza. Nie chciała mi o tym mówić. Wyraźnie wszystko chowała głęboko w swoim sercu. Wychowana w dwóch religiach miała szerokie spojrzenie na aspekt duchowy naszego życia. Boleśnie napiętnowana przez życie, starała się zachować przysłowiową twarz, na zewnątrz emanującą radością z każdej chwili, którą celebrowała w swoisty sposób. Obawiałem się, że pod tą maską zagrzebany jest ból, żal, który kiedyś wybuchnie z podwojoną siłą. Nie wiedziałem jednak, czy moje rozumowanie naprawdę ma swoje uzasadnienie. A jeśli się myliłem, wtedy ta kobieta byłaby naprawdę kimś wyjątkowym.

— Tym razem ja zapytam, co dzisiaj będziesz robiła?

— Dzisiaj odwiedzi mnie koleżanka. Robimy sobie taki tygodniowy spowiednik.

— Co robicie? — zapytałem z uśmiechem.

— Spowiednik — powtórzyła z uśmiechem, kręcąc głową. — Opowiadamy sobie historie z całego tygodnia, pijemy kawę, czasem drinka, plotkujemy. Bądź pewny, będziesz na naszych językach. Oczywiście i twoje książki. Jola, tak ma na imię, często czyta mi teksty, o które ją proszę. Teraz mamy ciebie. Więc jeśli będziesz miał czkawkę, pamiętaj, to my.

— Z pewnością, jeśli się pojawi, napiszę zaraz do ciebie maila z informacją i prośbą.

— Jaką? — zdziwiła się trochę.

— Żebyście ze mnie zeszyły — zaśmiałem się delikatnie.

— Obiecuję. Często w mieszkaniu bywam sama, dlatego cieszy mnie, jak ktoś do mnie wpadnie na pogaduchy.

— Niestety, za chwilę będę musiał wysiąść. Dziękuję za rozmowę. Jak zwykle była niesamowita, tak niesamowita, jak moja rozmówczyni.

— Ja też dziękuję.

Promieniała na twarzy, jej blade dotychczas policzki nieznacznie poczerwieniały, ale również można było to przypisać duchocie, jaka panowała w wagonie. Stary skład jeszcze z epoki PRL-u nie posiadał klimatyzacji. Nie przeszkadzało mi jednak ani ciepło ani starość wagonu. Jednak cel, jakim była moja stacja w Łodygowicach Górnych, zbliżał się nieubłaganie szybko. Słysząc już było włączone hamulce, które tarły o tarcze koła.

— No to pa — zdążyłem jeszcze skierować w stronę Marty i wstałem, przeciskając się do drzwi wagonu.

Na peronie powiało trochę chłodniejszym powietrzem. Nie myślałem o niej, jak o Żydówce, ale czy to miało jakieś znaczenie? Urodziła się w rodzinie żydowskiej, a teraz jest katoliczką. Nie mogłem jej rozgryźć. Jej ciekawa postać pojawiła się w moim życiu nagle, jak piorun w czasie burzy, błysnęła, chociaż

huku jeszcze nie słyhać. Odgłos z pewnością powróci jak fala uderzeniowa po jakimś nieokreślonym czasie albo jak szum odrzutowca. Oby obudził coś pozytywnego w moim życiu i nie zaraził innych jego sfer syndromem destrukcji czegoś, co byłoby dobre i poukładane.

Wiem, że wszystkie spotkania, do jakich dochodzi w życiu, mają swój cel i zadanie do spełnienia, a lekcje wyciągane dadzą pozytywny efekt. Jaka droga w tym wszystkim czekała na mnie? Jaka by nie była, trzeba mi z radością kroczyć, ponieważ innej nie będę miał, a jeśli sobie ją obrzydzę, dokąd dojdę i w jakich katuszach ją pokonam?

Natychmiast przypomniałem sobie przypowieść o starym pielgrzymie, który w mroźny dzień szedł wolno na szczyt góry, za którą znajdowało się sanktuarium. Zaczął padać śnieg i wiać wiatr. Przechodząc koło gospody, spotkał jego właściciela. Ten zapytał go: Jak tam zdołasz dotrzeć w taką pogodę, dobry człowieku?. Pielgrzym odwrócił w jego stronę głowę i radośnie odrzekł: Moje serce pierwsze tam dotarło, a więc reszcie łatwiej jest iść za nim. Proste, a zarazem trudne. Trudne dla tych, którzy nie wkładali w swoją drogę serca i miotają się od jednej przecznicy do drugiej, pogrążając się, czasem grzęznąc niczym mucha w smole.

Czy ja wkładałem serce w moją drogę? Z pewnością popełniałem błędy, nie byłem doskonały w swoim dążeniu, ale brnąłem do przodu, lokując serce daleko przed sobą, na celu mojej wędrówki. Często wydaje nam się, że żyjemy bez celu, że brak nam pod stopami drogi, czepiamy się świata, który nas otacza, a tymczasem wszystko od nas zależy i tylko od nas. Marta wydawała się podążać właściwą drogą, przyjmować każdy dzień, jakby był ostatnim i stanowił cel sam w sobie.

W BLASKU I CIENIU PRL-U

Zbliżała się sobotnia zabawa w Klubie PRL-u. Rozrywka jest nam potrzebna, każdemu: i bogatemu i biednemu. Pozwala nam zapomnieć na chwilę o troskach, spojrzeć na świat innymi oczyma. W piątkowy wieczór czytałem „Alef”, Paulo Coelho. Czasem wracam do jego książek, chociaż ostatnio coraz bardziej dystansuję się od jego treści. Po prostu męczyły mnie, ale tym razem postanowiłem przeczytać wspomnianą pozycję. Nie bardzo mi szło to czytanie. Po dwudziestu stronach zamknąłem książkę, po czym otworzyłem laptopa i sprawdziłem pocztę. Kilka listów od przyjaciół od razu wpadło mi w oczy. Przeczytałem od a do z. I wtedy pojawił się list od Marty.

Od: marta.zywiec@wp.pl

Data: 13 września 2013 22:07

Do: bronislawm@poczta.onet.pl

Temat: Wieczorne rozmyślenia

Dzisiaj zobaczyłeś mnie w pełnym świetle, nikomu obcemu tyle nie opowiedziałam, co tobie. Niektórych spraw nie mogę pojąć. Czasem wydaje mi się, że znamy się już od dawna, ale wiem, że to nie jest prawda. Ktoś z góry postawił mi ciebie na mojej drodze, dając trochę radości i wytchnienia. Borykam się z wieloma trudnościami, walczę z uśmiechem, czasem jednak muszę się przyznać, że brakuje mi sił. Właśnie, kiedy czułam największy brak sił, a ty stanąłeś mi na drodze, znów się śmieję, czytam. Świetne są twoje wiersze i nie dlatego, że się znamy. Z koleżanką obgadywałyśmy cię cały wieczór, opisywała mi twoją stronę na Facebooku i oczywiście zabrała jedną książkę do czytania. Życzę ci miłej nocy, pogadamy znów w poniedziałek, nie, we wtorek. Mam wizytę u lekarza właśnie jutro.

PS. Zaczęłam pisać, może ci się spodoba, ale dopiero jak skończę, otrzymasz tekst.

Kliknąłem na odnośnik: odpowiedz nadawcy i otworzył się szablon nowego listu. Chwilę zastanawiałem się, co napisać. Czas ten przedłużył się dość znacznie, wreszcie nacisnąłem pierwszy klawisz, a za nim kolejny.

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 13 września 2013 22:23

Do: marta.zywiec@wp.pl

Temat: Re: Wieczorne rozmyślenia

Trochę mnie zasmuca wiadomość o wizycie u lekarza. Myślę, że mi jeszcze dzisiaj albo jutro odpiszesz, co się dzieje? Zdaję sobie sprawy z tego, z jakimi borykasz się trudnościami w życiu, albo raczej staram się zrozumieć. Jak to mówią: syty nigdy nie zrozumie głodnego, a zdrowy chorego. Nie chcę cię męczyć wieczorem nadmiarem treści. Jutro z żoną idziemy na urodziny do Klubu PRL w Żywcu. Jesteśmy podekscytowani całą sprawą.

Postanowiliśmy się dobrze bawić, czego tobie również życzę.

Bronisław

Sobotnie popołudnie zamieniło się po troszku w przygotowania do wieczornej zabawy. Żona ciągle nie była zdecydowana, w czym pójść. Wreszcie po konsultacjach z córką wybrała dwie sukienki, które ubierze jedną na drugą, a potem

ściągnie tę wierzchnią. Ubiór z epoki PRL-u przysparzał kłopotu, jednak wybrnęliśmy z tego, idąc na kompromis. Ubrany w dżinsy, białe skarpetki, koszulę w kratę i oczywiście czerwony krawat z pulsującą diodą, zasilany małą baterią, usiadłem na rogówce, czekając na doszlifowanie ostatnich szczegółów przez moją drugą połowę. Potem jeszcze oczekiwanie na telefon od przyjaciół, który wreszcie zabrzmiał melodyjką z głosowym powiadomieniem, od kogo przychodzi rozmowa. Krótka informacja, że wyjeżdżają i spotkamy się przed rondem, postawiła nas w stan gotowości. Kurtka, płaszcz i już można było schodzić po schodach do samochodu. Po drodze do Żywca zabraliśmy syna, który z zespołem Magurzan kwestował w markecie Biedronka na rzecz biedniejszych rodzin z naszej gminy. Nastął trudny okres, nie każdego było stać, aby godnie żyć. Kryzys zagościł w naszych stronach, pozbawiając część naszego społeczeństwa pracy, a co za tym idzie, zmniejszając dochody tych, co jeszcze ją mieli. Solidarność społeczna trochę kulała, ale serce nabierało rumieńców, widząc napełniające się koszyki żywnością o dłuższym terminie do spożycia. Po jego podwieszeniu, wjechaliśmy na ulicę Żywiecką. Po kilku minutach minęliśmy oczekujących na nas przyjaciół i przez most na Sole wjechaliśmy do centrum Żywca, a potem przed lokal.

Niektórzy naprawdę wzięli sobie do serca przebranie. Piękne peruki znalazły swoje miejsce na roześmianych głowach. Zanim wysiedliśmy z samochodów, wszyscy ubraliśmy swoje ogromne okulary. Ostatnie poprawki fryzur i mogliśmy ruszyć w stronę wejścia do klubu. Krzysiu i Manio poszerzyli sobie spodnie, wstawiając kliny, wyglądali przy tym, jakby żywcem wyjęci z tamtej epoki. Piorunujące wrażenie dawały peruki, zwłaszcza czarna u Mariana. To było naprawdę ekstra. W holu klubu powitała nas reszta towarzystwa z samym jubilatem na czele. Alan niczego się nie domyślał. Wszystko naprawdę zostało zakamuflowane i dało efekt zaskoczenia. Uśmiechy na ustach zagościły na stałe.

W Klubie PRL przywitał nas prawdziwy stylizowany na epokę wystrój. Zwłaszcza hasło: „pijemy razem z proletariatem”, plakaty: „pracujemy we trójkę — budujemy za 12-tu”, „strzeż tajemnicy państwowej” wprowadzały delikwenta do tego ciemnego okresu z naszego życia. Teraz raczej wszystko sprowadzało się do uśmiechu i ogólnej radości. Kto przeżył ciężkie chwile w tamtym okresie, teraz coraz mniej pamiętał całe zło systemu, próbując wydobyć raczej radość ze wszystkich nonsensów epoki socjalistycznej budowy kraju i społeczeństwa. Wracaliśmy do niej z humorem. Nieduży pokoik usytuowany na uboczu od dużej sali, gdzie stoliki były zarezerwowane, stał się naszą bazą na najbliższe godziny. Od razu postanowiliśmy też złączyć stoliki razem. Oczywiście na stole znalazła się sławna oranżada i wódka czysta żytnia z czerwoną kartką. Krzysiek przyniósł stare radio tranzystorowe, wzbudzając zainteresowanie męskiej części urodzinowego spotkania. Pomimo uruchomienia, z głośnika wydobywały się tylko trzaski. Zakres fal rzeczywiście był peerelowski.

Po złożeniu życzeń urodzinowych i wręczeniu prezentów, jak to bywa na uroczystym zebraniu, głos zabrała towarzyska Grażyna, czytając słowa życzeń, które znalazły się na dołączonej do głównego prezentu kartce. Prezent nie był zresztą byle jaki. To namalowany własnoręcznie przez towarzyszkę Grażynę obraz. Będąc artystką, korzeniami sięgającą owych czasów, wywiązała się znakomicie z powierzonego jej obowiązku. Styl naszych wypowiedzi, chociaż dość oryginalny i ekstrawagancki, pewnie znalazłby się w ogniu krytyki ruchów narodowościowych. W tym jednak wypadku nie było to celebrowanie zamierchłej epoki, ale raczej jej wyśmianie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby powrotu tych mrocznych czasów. Jakby nie było, to jednak okres naszego dzieciństwa, dorastania, nauki, pierwszych miłości i poszukiwania swojego miejsca w tym wszystkim. Na wprost nas, na ścianie znajdowało się malowidło na wskroś przypominające wodza rewolucji, witającego się z proletariuszem. Z biegiem czasu wizualizacje rewolucyjne bombardujące oczy przestały zaczepiać swoją arogancją pełną minionej epoki. Tylko muzyka płynęła z głębi sali, z miejsca koło pulpitu DJ-a, lubiana przez starsze pokolenie, do którego należeliśmy, muzyka była pełna rock'n'rolla i piosenek rodzimych wykonawców. Każdy wraca do młodych lat jak do oazy spokoju, delektując się atmosferą, która w tamtym czasie nie była taka happy, ale nabrała barw dzięki upływającemu czasowi. On przyniósł dorosłym już ludziom sporo problemów do rozwiązania, wyrastających jak z podziemi, piętrzących się trudności. Gdzie wtedy wracać? Do przeszłości, kiedy nie musieliśmy się troszczyć o wiele spraw.

— Towarzysko Grażyno, proszę jeszcze raz przeczytać słowa mowy urodzinowej — poprosił Manio.

Grażyna uciszyła panujący gwar i rozpoczęła czytać słowa mowy urodzinowej.

— Towarzyszu Alanie, dostojny jubilate, załóż swe odświętne gacie, przyczesz czuprynę, włóż pelerynę, buty z noskami, koszulę z kwiatami. Pędź do PRL-u, gdzie czeka cię przyjaciół wielu. Zdrowia, szczęścia winszujemy, z serca toast twój wzniesiemy. Sto lat życia albo dwieście — to się pobawimy jeszcze... Dzisiaj — z nami baluj na parkiecie. Ciufcia — uraduje cię w stulecie!

Towarzysze, STO LAT!

Rozległy się oklaski i wszyscy powstaliśmy z miejsc, podnosząc kieliszki z toastem, śpiewając stare jak imprezy na tym świecie „sto lat” Po odśpiewaniu hymnu ruszyliśmy na parkiet. Peruki na głowach i ogromne okulary dawały niesamowity efekt. Zabawa nabierała barw razem z policzkami, które stawały się coraz bardziej czerwone. Jak tu się nie bawić? Dzisiaj można było się naśmiewać z tak znieawidzonego stroju, chociaż i znajdowali się ludzie, którzy za nim tęsknili. Okres przełomu był wyraźnie czasem sprzyjającym robieniu fortuny przez nomenklaturę, czerwonych baronów, mających więcej gotówki i dysponujących

siecią znajomości. Pozostali musieli obejść się smakiem, dalej oddając swoją pracę za grosze. Czemuś biedny? Boś głupi. Czemuś głupi? Boś biedny. Maksyma, która sprawdzała się wiele razy w życiu, i w tym okresie, chociaż były od niej wyjątki, znów istniała i miała się dobrze.

Dzisiaj już minęło ponad dwadzieścia kilka lat od tego okresu. Sklepy się napełniły towarem, którego na próżno było szukać w czasach peerelowskich. Wtedy miałeś w portfelu jakieś marne pieniądze, a teraz często portfel pustoszał. Ceny europejskie wydobywały z niego każdy grosz. Niestety, płace w żaden sposób nie mogły dogonić naszych zachodnich partnerów. Pewnie, że żyło się lepiej, ale tym, co mieli, nie tym, co z trudem wydrapywali gołymi rękami pieniądze z przysłowiowej ziemi.

Jako że zabawa trwała w klubie PRL-u, czasem i rozmowy musiały dotyczyć tego okresu.

— Patrzcie, co mam — zaczęła właścicielka, wydobywając jakiś papierek z okolic biustu.

— Co masz? — zapytała Grażka.

— Kartkę na mięso — odparła, pokazując prawdziwy stary, pożółkły bon na mięsiwo.

Dzielił się na kwadraciki, które w sklepie były odcinane i później naklejane na kartki. Sprzedawca musiał się rozliczyć z towaru i kartek. Ilości musiały pasować. Pracownicy fizyczni otrzymywali większe kartki niż umysłowi. Ta segregacja niby sprawiedliwa, trochę dzieliła ludzi. A jeśli do tego dołożyć kartki na buty, alkohol i cukierki, można było się zorientować, jak niewydolny okazywał się system socjalistycznego podziału dóbr.

— Coś ty? — rzuciła Jadzia z niedowierzaniem, zabierając papierek w swoje dłonie.

Wszyscy oglądaliśmy go jak drogocenny eksponat w muzeum osobliwości. Na to właścicielka lokalu przyniosła prawdziwy egzemplarz „Misia”, czasopisma dla dzieci. Świetnie oprawiony, przeniósł nas od razu do dzieciństwa wypełnionego zabawą na podwórku i czytaniem właśnie tej broszury. Także „Płomyczka” jako jedynej rozrywki pisanej i sprzedawanej przez kioski RUCH małym obywatelom Polski. W raczkującej czarnobiałej telewizji było podobnie. Wieczór zegnała nas dobranocka „Jacek i Agatka” albo „Gaska Balbinka”, ale któż teraz z rozrzewnieniem nie wspomina tych archaicznych bajek.

— Słuchajcie — zacząłem — fajne są te gadzety. Jeśli w młodości otaczani byliśmy miłością, to bańka przez nią wytworzona otaczała wszystkie złe chwile, jakie były. I czasy, które doskwierały dorosłym, u dzieci poszły w zapomnienie, a jeśli nie, to nabierały przyjaznej barwy.

— Tylko gdy nie dotykały prześladowań — wtrącił się Janek.

— Z tym wszyscy pewnie się zgadamy — stanąłem za nim.

— Pracowałem w BEFIE i należałem do „Solidarności”.

— Mój teść także pracował tam, na modelarni — dodałem.

— Zawsze byłem niepokorny — ciągnął dalej. — Zostałem nawet zatrzymany przez milicję obywatelską.

— Jak to się stało? — zapytałem.

— Wezwano mnie do dyrektora. Miałem się stawić ubrany, ale myślałem, że wrócę do pracy. Niestety, musiałem się przebrać i zabrali mnie na przesłuchanie, całe szczęście, że dzień wcześniej pozbyłem się ulotek. Byłoby krucho.

— Mój szwagier też kolportował ulotki. Mam wielki szacunek do niego za te akcje. Milicja i u nas przeszukiwała dom — wtrąciłem zaciekawiony jego historią.

— Słuchajcie, jest zabawa — przerwała nasze wywody jego żona Jadzia.

— Czasem trzeba niektóre sprawy sobie i innym przypomnieć, ale skoro dzisiaj jest zabawa, niech będzie zabawa — poparłem po zastanowieniu jej słowa...

— Idziemy się bawić — zaproponowała Jadzia, która z mężem Andrzejem siedziała bliżej przesuwanych drzwi, prowadzących do głównej sali klubu, skąd po ich uchyleniu jeszcze głośniej dobiegała do uszu muzyka lat siedemdziesiątych. Andrzej miał czerwony krawat z napisem „przodownik pracy”, który do czegoś zobowiązywał.

Ruszyliśmy na parkiet, poddając swoje ciała genialnej muzyce zapamiętanej z młodości. Strofy piosenek, jak i melodie, pozwalały nam na moment zapomnieć, że lata tak szybko pomknęły wraz z nami do przodu, a czas jak złodziejskie nasienie, które zakiełkowało z naszymi narodzinami, przez okres dorastania kradł niezauważalnie i nieodwracalnie, nie okazując żadnej litości, nasze młode lata. Mimo upływu tych lat, nasze ciała potrafiły się wyginać w rytm niezapomnianych przebojów ABBY, Boney M oraz innych, także rodzimych, wykonawców. Wymęczeni wracaliśmy po kilku minutach do naszego biesiadnego pokoju.

Ledwo rozsiedliśmy się, kelnerki wniosły wspaniałą tort, na którym paliło się sześćdziesiąt świeczek i płonęła niewielka fontanna. Alan w okularach o pomarańczowych oprawkach, jeden raz większych od twarzy, z peruką na głowie, nabrał powietrza w płuca i zdmuchnął wszystkie płomienie naraz. Zabrzmiały oklaski i powtórne sto lat.

Obok stała Renia, już bez fartucha i przepaski, z kilkoma rolkami szarego papieru toaletowego. Wyraźnie oboje byli szczęśliwi. Zrobiłem zdjęcie, po czym wszyscy usiedliśmy na swoich miejscach.

Alan rozpakował jeden z prezentów. Był to obraz namalowany przez Grażynkę. Długo mu się przyglądał, nim go odłożył, i otworzył kolejną paczuszkę, w której znajdowała się ciufcia na baterie, to właśnie o niej wspominała w swojej urodzinowej mowie Grażka. Ogólnie zapanował rozgardiasz werbalny. Co jakiś czas jednak ktoś, a był to chyba Krzysiu, intonował piosenkę Smolenia i Krawczyka, którą ochoczo wszyscy podejmowali, jednocząc swoje głosy. Ty!

A może by tak jeszcze raz

Już na to chyba nie stać nas
Nikt nam nie daje szans
Słomiany ogień zgasł
To nie te lata nie ten czas
Za mało sił za dużo słów
Przepraszam lecz za siebie mów
Ty umiesz łączyć jak z nut
Bo mnie się marzy cud
Daremne żale próżny trud
Dziewczyny, które mam na myśli
Powychodziły za mąż już Jedynie my recydywiści
Trzymamy samotny kurs.

Po chóralnych śpiewach wznieśliśmy kolejny toast i wróciliśmy do rozmów, delektując się pokrojonym już tortem. Był naprawdę świetny i nie tylko ja tak sądziłem.

— Może jakiś kawał? — zapytałem, przekrzykując całe towarzystwo.

— Powiedz — powtórzyło kilka głosów naraz.

— Może być brzydki, nieelegancki? — zapytałem jeszcze raz, tym razem upewniając się, czy będę wysłuchany, uprzedzając o moim zamiarze.

Towarzystwo było już lekko wstawione, więc delikatnie nieprzyzwoite kawały można było z powodzeniem zaaplikować bez narażania się na krytykę.

— Wal — krzyknął Krzysiek.

— Sami chcieliście. Wchodzi starsza babka do autobusu i siada naprzeciwko starego dziadka, rozszerzając nogi. Na to dziadek mówi: „Zamknij ten grobowiec...”. A babcia odpowiada: „A co, trup się poruszył”.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Po chwili, gdy wszyscy się uspokoili, swój kawał opowiedziała Grażka, a potem Krzychu. Potem kilka chwil na rozmowę, która przeciągnęła się znacznie w czasie. Następnie znowu ja przypomniałem sobie kawał, który dostałem mailem od Franka.

— Słuchajcie — przekrzyczałem towarzystwo. — Są cztery stopnie odwagi mężczyzny. Pierwszy: O trzeciej nad ranem wracasz pijany do domu. Na progu stoi żona z miotłą, a ty pytasz: Zamiatasz czy odlatujesz? Drugi: O trzeciej nad ranem wracasz pijany do domu. Żona leży w łóżku, nie śpi. Bierzesz krzesło i siadasz przy niej. Na pytanie: Co to ma znaczyć?, odpowiadasz: Chcę siedzieć w pierwszym rzędzie, jak zacznie się ten cyrk.

Znów było słycać śmiech.

— A dalej? — zapytał Manio.

— Dalej będzie następnym razem, teraz idziemy się bawić — zaproponowałem.

Andrzej rozsunął drzwi i powoli przemieściliśmy się w stronę parkietu. Kiedy osiągnęliśmy cel, wszyscy rozstąpili się, tworząc krąg wokół Alana. Solenizant stanął w środku, Grażyna zawiązała mu oczy szalikiem i po chwili, przytrzymując go na moment, pomogli mu założyć ciepłe reformy. Śmiechu było przy tym co niemiara. Tam, gdzie mieściło się przyrodzenie, przyszyte były dwie bańki choinkowe, a między nimi zwisał sopel. Nad nim przyszyta była kartka z napisem. Firma AREN życzy miłej zabawy. Alan nie przejmował się tym żartem, bo i dlaczego? Tańczył w miejscu, a my wokół niego. Po chwili dostarczono mu pociąg na baterie, który pobłyskując kolorowymi światłami, jeździł i odbijał się od nóg. Wtedy Alan ściągnął opaskę i usiadł na ziemi, bawiąc się nim jak małe dziecko. Reszta zaczęła mu w tym wtórować. Dobra zabawa i śmiech towarzyszyła nam do końca imprezy.

Koło drugiej na parkiecie ruszył pociąg do taktu piosenki Maryli Rodowicz „Wsiąść do pociągu byle jakiego”. Śpiewając głośno znajome teksty piosenki, objechaliśmy całą salę kilka razy.

Na wszystko jest czas. Usiadłem po tej zabawie za stołem i przypomniałem sobie słowa z Biblii. Wszystkie rzeczy mają swój czas i swym zamierzonym biegiem przemija wszystko pod słońcem. Czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono, czas zabijania i czas leczenia, czas rozwalania i czas budowania, czas płaczu i czas śmiechu, czas narzekania i czas tańczenia, czas rozrzucania kamieni i czas zbierania, czas uścisków i czas wstrzymania się od uścisków, czas nabywania i czas tracenia, czas chowania i czas odrzucania, czas darcia i czas zszywania, czas milczenia i czas mówienia, czas miłowania i czas nienawidzenia, czas wojny i czas pokoju. Można było tę wyliczankę prowadzić chyba w nieskończoność, Cóż więcej ma człowiek z pracy swej? Powinien się cieszyć i bawić, jak my dzisiaj. Ten czas był dany nam właśnie na to.

O trzeciej nad ranem jechaliśmy samochodem do domu. Gdy wjeżdżałem na rondo przed mostem nad Sołą, moje myśli pobiegły w stronę niedawno poznanej przyjaciółki, Marty. Pewnie spała już w najlepsze w ten niedzielny, prawie już, jakby nie było, poranek. Byłem zmęczony, więc w domu szybko zająłem się toaletą i wskoczyłem do łóżka, zasypiając natychmiast.

LEK

W poniedziałek wieczorem usiadłem przed komputerem. Marta nie jechała pociągiem, więc z nadzieją na jakąś wiadomość zajrzałem do wirtualnej poczty. Nie było żadnego listu. Ciekawe, co się mogło stać. Mówiła coś o lekarzu, ale wyglądała całkiem zdrowo. Z drugiej strony, często nasze choroby nie uwydatniają się na twarzy. Funkcjonujemy normalnie, nie pokazując swoich dolegliwości innym. Korciło mnie, by napisać kilka słów, może czekała na nie, jak na zbawienie, albo to ja sam sobie wyobrażałem, jak ważny stałem się w jej życiu, że potrzebowała moich wiadomości, aby istnieć. Przecież znaleźliśmy się od niedawna. W końcu przełamałem się i napisałem.

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 16 września 2013 21:35

Do: marta.zywiec@wp.pl

Temat: Kilka słów

Nie było cię dzisiaj w pociągu. Miałem przygotowane opowiadanie o sobotniej zabawie w Żywcu, ale kiedy zobaczyłem, że nie jedziesz, zaniepokoiłem się o ciebie. Wspomniałaś o wizycie u lekarza. Myślałem, że wyślesz mi jakąś informację, chociaż krótką, może wieczorem. Pewnie jesteś zajęta. Zniecierpliwiością czekam na jutrzejsze spotkanie. A teraz miłych i spokojnych snów. Karaluchy pod poduchy.

Bronisław

Kliknąłem na słowo wyślij i wiadomość pomknęła w przestrzeń wirtualnego świata, zatrzymując się pewnie w tym samym momencie na serwerze Wirtualnej Polski. Nic wielkiego nie napisałem. Zaglądałem jeszcze kilka razy na stronę z pocztą, oczekując nadejścia odpowiedzi, a kiedy nie pojawiła się, zająłem się czytaniem. Czytałem może godzinę, aż poczułem zmęczenie oczu. Zdjąłem okulary, odkładając je na stolik. Wróciła myśl, znów ta sama uporczywa myśl, która w tym roku nie dawała mi spokoju. Dlaczego nie piszę, dlaczego się nie rozwijam twórczo. Jeden główny powód, który dominował, był moim lękiem. Lęk działa destrukcyjnie na wszystko, czego się chwycimy w naszym życiu. Pierwszym i podstawowym jest lęk przed ośmieszeniem się. Od dziecka mnie on prześladował. Jak to mówią, lęk otwiera drzwi, a wiejący przy tym powiew cofa nas, niweczy nasze marzenia. Zamiast posuwać się do przodu w realizacji swoich celów, błądzimy w ciemności, poddając się walkowerem. Lęk jest złem, które nawet w Biblii znajduje swoją krytykę i negację. Już dawno zdałem sobie sprawę z tego, że muszę z nim walczyć. Jeśli czegoś się lękamy, sprowadzamy prędzej czy

później jego realizację w nasze realne życie. Często boimy się o pracę, lękamy o nasze dzieci, przyciągając do siebie najgorsze rozwiązanie, które właśnie dzięki strachowi materializuje się w naszym życiu.

Przypomniałem sobie Piotra idącego po wodzie do Jezusa. Nie lękał się stanąć na tafli jeziora i ruszyć do swego Pana. Szedł spokojnie naprzód, dopóki nie zawiął wiatr i nie przeszył go lęk. W jednym momencie wiara jego rozsypała się, rozpadła na kawałki jak rozbity dzban i Piotr wpadł do głębi otaczającej go wody. „Dlaczego zwątpiłeś, małej wiary” — zwrócił się do niego Jezus. Tak ja ciągle wątpię, drepcząc w miejscu. Przewyciężanie lęków staje się moim głównym zadaniem od jakiegoś czasu. Najtrudniej jest się osądzić, potwierdzić: tutaj w tym miejscu działa we mnie strach, jeśli to znajdę i nazwę po imieniu, będę mógł się temu przeciwstawić, walcząc z nim do przysłowiowej ostatniej kropli krwi.

Czy czasem nie mamy ochoty dać jakiejś większej kwoty na biednych? A zaraz potem nachodzi nas strach, że możemy mieć mniejszą wypłatę, że nie damy rady wyżyć, i właśnie wtedy zwycięża w nas lęk. Współczesne media bombardują nas wiadomościami, które uwalniają strach: to kryzys, to wojna, to nowa choroba. Chcą wzbudzić w nas lęk i strach, który nas w końcu niszczy, kawałek po kawałku. Często też po prostu boimy się ludzi, co o nas powiedzą, jak wyjaśnią nasze zachowanie, nasze wypowiedzi. Doszedłem do wniosku, że często usprawiedliwiam swoje lęki: a to, że mnie źle inni rozumieją, a to, że tak będzie lepiej dla mnie, myśląc, że to rozsądek mną kieruje.

Jak z tym walczyć, jakie podejmować kroki? Jedynym rozwiązaniem jest działanie, wbrew pojawiającemu się strachowi. Muszę sobie uzmysłwić, że porażka jest porażką i nie powinna wzbudzać we mnie strachu, a jedynie wzmacniać siły do walki z kolejnym wyzwaniem, jakie sobie postawię. Nie muszę być we wszystkim najlepszy. Strach jest często ukrytym szantażystą, niwelującym nasze poczynania idące w stronę wzrostu. Jego terroryzm obezwładnia nas i wysadza wszystkie możliwe marzenia, obracając je w pył. Przypomniałem sobie natychmiast słowa Paulo Coelho. Sięgnąłem po książkę na półce i wertując kartki, odszukałem wytłuszczone przeze mnie żółtym flamastrem wartościowe spostrzeżenia: „Istnieją dwa powody, które nie pozwalają ludziom spełnić swoich marzeń. Najczęściej po prostu uważają je za nierealne. A czasem na skutek nagłej zmiany losu pojmują, że spełnienie marzeń staje się możliwe w chwili, gdy się tego najmniej spodziewają. Wtedy jednak budzi się w nich strach przed wejściem na ścieżkę, która prowadzi w nieznaną, strach przed życiem, które rzuca nowe wyzwania, strach przed utratą na zawsze tego, do czego przywykli.”

Właśnie o takie refleksje mi chodziło. Toczyłem walkę z własną słabością, która kiełkowała we mnie od dziecka, którą pewnie wyniosłem z rodzinnego domu. Był tam nawet strach przed mikrofonem. Ostatnio na wieczorze autorskim jednak za niego chwyciłem, przeciwstawiając się lękowi, bo tylko walka z nim

z pewnością popchnie moje życie do przodu.

Nagle zrobiłem się senny i dalsza debata z własnymi myślami nie miała już sensu. Ostre dotąd i jasne przemyślenia zaczęły się plątać we własnym sosie. Musiałem zakończyć moją debatę na temat lęku i strachu. Jeszcze przed zaśnięciem postawiłem sobie najważniejsze pytanie: Kim jestem? I kim mogę być?

Na zakończenie dnia, modląc się do Boga, ofiarowałem mu cały dzień i zasnąłem.

IN VITRO W POCIĄGU

Następnego dnia po południu radość zawitała do mojego serca. Marta siedziała w wagonie, w wygodnej pozie przy samym oknie, jednak chwilowo nie miałem gdzie usiąść. Miejsce obok niej było zajęte przez grubego jegomościa, może w moim wieku.

Nachyliłem się tylko w jej stronę i rzekłem:

— Witaj, cieszę się, że jedziesz.

— Witaj, miło słyszeć twój głos — odpowiedziała, podnosząc twarz do góry, skąd usłyszała mój głos.

— W Bielsku robi się luźniej, to sobie poklechamy — zapewniłem, przyglądając się uważniej niż zwykle jej twarzy i sylwetce.

Poza tym, że była blada jak zawsze, nie zauważyłem jakichś oznak choroby. Po kilku chwilach pociąg wjechał na stację i spora część ludzi zaczęła wysiadać. Gruby współpasażer podniósł swoje szlachetne ciało i dosłownie pokulał się do wyjścia z wagonu. Ledwie zrobił miejsce obok Marty, ja już wśliznąłem się i czując jej zapach obok siebie, odetchnąłem.

— Dawno cię nie widziałem — starałem się nawiązać rozmowę, nie mogąc doczekać się jej głosu.

— Ale już jestem i możemy w końcu pogadać. Nie pisałam, ponieważ wróciłam wczoraj bardzo późno do domu — tłumaczyła.

— A sobota, niedziela?

— Dwa dni byłam u siostry — tłumaczyła. — Ona nie ma tych wszystkich urzędzeń, których potrzebuję do pisania, a nie chciałam jej angażować w swoje sprawy. Zresztą opowiedziałam jej o tobie i naszych wagonowych spotkaniach.

— To prawie jak randki, te nasze spotkania — stwierdziłem z uśmiechem.

— Prawie robi różnicę — odparła szybko. — Zresztą siostra czytała mi twoją „Regułę”.

— I co? — zapytałem pełen obaw.

— Wciągnęła mnie. Pierwsze czytałam sama w domu, ale szło mi to ciężko,

dlatego zabrałam książkę do siostry. Zresztą, koleżanka też mi trochę poczytała, i tak wspólnymi siłami brniemy przez mongolski step w poszukiwaniu Dakyo i twojej reguły, która rządzi światem. Wciągnęło nas czytanie. Koleżanka zabrała ją na noc i do rana sama ją dokończyła.

— A ty w którym miejscu jesteś?

— Na przełęczy przed celem wyprawy. Prawdę mówiąc, pomedytowałabym tak z tobą jak Ri-szun.

— No z tym byłoby trochę problemów.

— Dlaczego? — zapytała trochę zdziwiona.

— Ponieważ książka jest fikcją literacką, a ja nie podjąłbym się takiej medytacji w tej formie, jaką zaprezentowałem w książce z inną kobietą, niż moja żona...

— Szkoda, mnie właśnie odpowiadałaby taka, dwoje nagich ludzi połączonych dłońmi, przyroda i Bóg, który ich stworzył.

— Mnie też, ale gdybym był wolnym człowiekiem — tłumaczyłem, czerwieniejąc na twarzy. Dobrze, że nie mogła tego zobaczyć. — Jak wiesz, jestem zajęty.

— A ja nie widzę — stwierdziła, jakby to miało w tym wypadku jakieś znaczenie. — Nie zobaczę twojej nagości.

— I całe szczęście — dorzuciłem po chwili.

— Zmieniamy więc temat — zaproponowała. — Ale miej na uwadze, że mi gdzieś po głowie chodzi taka myśl.

— Dobra, będę miał na uwadze — przytaknąłem, zamykając wąż, ale jak to faceci, pobiegłem myślami właśnie do takiej sceny. Potrząsnąłem jednak głową, uciekając w popłochu przed takim zamysłem.

— Zabawa się udała?

— Świetnie było, wybawiliśmy się. Chciałem cię o coś zapytać?

Byłaś u tego lekarza?

— A już myślałam, że zapomniałeś.

— O nie, w porę wspomniałem. Zagadałaś mnie, ale nie na tyle. Więc jak?

— To były badania rutynowe, które co jakiś czas muszę przejść, ale wszystko jest w porządku. Mogę spokojnie funkcjonować. Wystarczy taka informacja? — zapytała, szukając dłońmi moich rąk, a znalazłszy je, pogłaskała. — Cieszę się, że myślisz o mnie.

— No dobrze, uspokoiłaś mnie. No to zapytam z innej beczki.

Skąd miałaś babcię katoliczkę.

— Ale przeskoczyłeś — uśmiechnęła się. — To wspaniała osoba. Ciągle myślę o niej jako o żyjącej. Odpowiedź jest bardzo prosta. Miłość. W młodości zakochała się w pewnym przystojnym chłopcu, który był katolikiem i miał ogromny dar przekonywania. Z początku ukrywała fakt posiadania chłopaka przed

rodzicami, ale jak to bywa, życzliwi Żydzi donieśli w końcu jakąś plotkę do ich uszu i zaczęła się wielka awantura. Z prawdziwą, głęboką miłością jednak nikt jeszcze nie wygrał. Uciekła, a że była już pełnoletnia, zamieszkała u rodziców wybranka. Po jakimś czasie ochrzciła się i przyjęła wszystkie sakramenty. Chociaż mogli wziąć ślub cywilny, nie poszli na łatwiznę. Ich ślub odbył się w kościele w Żywcu. Był niezłym wydarzeniem jak na owe czasy. Rodzina wyklęła ją, ale później stosunki powróciły do względnej normalności, chociaż już nigdy nie były normalne. Myślę, że los postąpił z nimi okrutnie.

— To znaczy? — zapytałem ogromnie ciekawo tej historii.

— Nie mogli mieć dzieci.

— Przykre — stwierdziłem. — Tyle wyrzeczeń, tyle miłości...

— Niestety nie doczekali się owoców, co zakrawa na okrutny żart losu. Niektórzy mówili wręcz o karze dla obojga, ale nie widzę w tym żadnej kary. Ludzie od dawna nękani są bezpłodnością.

W dzisiejszych czasach mogliby liczyć na medycynę.

— Jesteś za in vitro?

— Jest to ogromny problem moralny dzisiejszego społeczeństwa — zaczęła z zastanowieniem w głosie.

— Ale gdybyś była bezpłodna i tak bardzo tęskniła za możliwością posiadania dziecka, czy wybrałabyś taki sposób leczenia?

— Po pierwsze, in vitro nie jest leczeniem bezpłodności.

— Jak to — zapytałem zdziwiony.

— Przypuśćmy, że kobieta urodzi jakimś cudem i po porodzie ona, jak i jej partner, pozostają dalej ze swoją bezpłodnością. Według mnie, człowiek to ktoś więcej niż rzecz, nie można jej kupić, nie jest zachcianką ani zabawką. I nikomu się z góry nie należy.

— Ciekawe spojrzenie, prawdziwie katolickie, jednak ty chyba nie musiałś się mierzyć z takim dylematem? — zapytałem, jakbym znał odpowiedź, ale opierałem się tylko na domysłach, oczywiście moich wyimaginowanych.

— Może tak, może nie, nie możesz tego wiedzieć, a ja przemilczę na razie twoje sugestie. Ale wracając do zagadnienia, czy wiesz, że genetycy przekonują i dowodzą, że wtrącanie się do natury, bawienie się w producentów ludzi, ma już swoje genetyczne konsekwencje. U dzieci wyprodukowanych w szkle ujawniają się wady i choroby czasem dopiero po 5-tym roku życia.

U niektórych ujawnią się dopiero w drugim pokoleniu. Kto za to weźmie odpowiedzialność?

— Rodzice — odparłem.

— Nie można zrzucać na nich całej odpowiedzialności — chyba to rozumiesz.

— No tak, są jeszcze lekarze i media. Rodzice nie są do końca świadomi

zagrożeń, pragną tylko spełnienia się w macierzyństwie i chcą tego spełnienia, nie myśląc o kosztach, jakie poniosą.

— In vitro jedno życie daje, drugie zabija. Nie wspomnę o narażeniu życia kobiety, uszczerbku na jej zdrowiu fizycznym i psychicznym.

— Jak to rozumiesz?

— Część zapłodnionych embrionów stanowi przecież powstałe już życie, maleńkiego człowieczka, który nie może się w żaden sposób obronić. Lekarz często eliminuje powstałe życie, powoduje jego śmierć. Z premedytacją, na drodze selekcji. A to już jest eugenika.

— Ale nasza rozmowa stała się ciężka — przerwałem jej etyczne rozważania.

— Dużo o tym kiedyś czytałam, zanim pogrążyłam się w ciemności. Zresztą moja siostra długo nie mogła mieć dziecka, ale w końcu otrzymała ten dar, wytrwale poddając się terapiom.

— Trudny temat, jak na dzisiejszy dzień, ale podzielałam twój sposób patrzenia na całą sprawę. Nie możemy ingerować w kompetencje Stwórcy, a raczej chodzi mi o inną sprawę, w zabijanie poczętego życia w drodze selekcji, ten się nadaje, a tamten embrion nie. Tylko natura może dokonywać takiej działalności. Jeśli lekarze ograniczą ilość embrionów tylko do tych, które zostaną podane matce, to byłbym może skłonny poprzeć tę sprawę. Świat ciągle ewoluuje, prawa boskie razem z nim. Dla ludzi było prawo oko za oko, ząb za ząb, dopóki wszystkiego nie zmienił Mesjasz i jego przykazanie: „Miłuj bliźniego jak siebie samego”.

— Wiem, że wszystko zależy od światopoglądu, który się wyznaje. Nie mamy na to rady. A jeśli chodzi o wcześniejszy odpowiednik przykazania miłości bliźniego, można znaleźć go w Księdze Kapłańskiej i brzmi chyba tak: „Nie będziesz szukał pomsty, nie będziesz żywił urazy do synów twego ludu, ale będziesz miłował bliźniego jak siebie samego”.

— Jesteś obeznana w Biblii. To może na koniec moja sugestia, pomagaj, ale nie zabijaj — dodałem, zamykając nasze wywody. — Jutro jedziesz?

— Z pewnością tak — odpowiedziała bez namysłu. — Jutro pomówimy sobie o przyjemniejszych rzeczach.

— Na przykład?

— O malarstwie — odpowiedziała spontanicznie.

— Jak to o malarstwie? — zapytałem zmieszany.

— Odpowiem ci jutro. A teraz już chyba wjeżdżamy na stację w twoich Łodygowicach.

— Rzeczywiście — stwierdziłem, patrząc przez okno. — Jak ty to robisz?

— Moja słodka tajemnica. Pa.

— Pa.

Dotknąłem jej dłoni i wysiadłem.

Nasze rozmowy zaczynają zahaczać o poważne problemy natury moralnej, ale i o tym potrzebna jest dyskusja, aby wyrobić sobie zdanie i pogląd na niektóre zagadnienia współczesnego świata. Prędzej czy później z pewnością nas dotkną.

Po południu wszyscy całą rodziną wybraliśmy się na basen do Bielska. Woda okazała się wybawieniem od codziennych trosk. Z dziećmi zjeżdżaliśmy rurą prawie do znudzenia, potem mniejszy basenik, którego temperatura wynosiła 28 stopni, a na końcu jacuzzi ze swoimi bąbelkami i gorącą słoną wodą. Było cudownie ciepło. Odchyliłem głowę do tyłu i zdjąłem czepek.

Pomyślałem o dzisiejszej rozmowie z Martą. Dalej sprawiała wrażenie nad wyraz zrównoważonej kobiety, jakby brak wzroku nie sprawiał jej żadnego problemu, a inteligencja jaśniała w jej wypowiedziach, zaskakując mnie trafnością wyrobionych opinii. Dalej jednak uważałem, że coś się za tym spokojem kryje. Nie wiem tylko co? Z jaką elokwencją broniła embrionów, wydobywając moje niedouczenie na zewnątrz. Nie miałem sobie nic do zarzucenia, nie interesowałem się takim problematycznym tematem, ocierając się tylko o medialne wycinki usłyszane lub przeczytane w gazecie.

Jutro pomówimy o malarstwie. Nie znałem się zupełnie na tej sztuce, chociaż w podstawówce zbierałem zdjęcia reprodukcji znanych malarzy z ukrytą nadzieją, że może dostanę się do liceum plastycznego. Jednak życie potoczyło się inaczej. Zamiast artysty, wyrósł ze mnie mechanik budowy i naprawy maszyn. Jakby nie było, wyuczony zwód zapewnił jakąś stabilizację materialną. Nie były to wielkie cuda, ale żyłem z moją rodziną całkiem normalnie.

Moje rozmyślenia zakończyły się prysznicem i powrotem do domu w dobrym humorze.

KAWIARNIANY PRZERYWNIK

Kolejny dzień przywitał nas deszczem i wiatrem. Zrobiło się nieprzyjemnie na zewnątrz i wewnątrz ciała. Dopadały mnie dziwne dreszcze. W dodatku w pracy przyjąłem zgiętą pozycję, podnosząc jakąś część samochodową, i nie mogłem się podnieść. Dość długą chwilę walczyłem, aby się wyprostować. Zagryzłem wargi i z ogromną trudnością wyprostowałem się, trzymając się dłońmi za plecy. Dobrze, że dochodziła jedenasta godzina. Pora śniadaniowa przyniosła ulgę oraz znaczące uśmierzenie ogromnego bólu. Po piętnastominutowym odpoczynku wróciłem do zajęć, nie czując już żadnego dyskomfortu ruchowego, jakby wszystko nagle wróciło do normy. W pełnej kondycji stanąłem po południu na peronie stacji.

Pociąg wjechał punktualnie razem z Martą, która dzisiaj wyglądała nad wyraz pięknie. Nie wiem, co sprawiało takie wrażenie. Po prostu, jakby emanowała

z niej jakaś jasność i promieniowała na zewnątrz radością. Usiadłem pośpiesznie koło niej. Pachniała również wyjątkowo, tak że chciałoby się do niej jeszcze bardziej przybliżyć, a nawet objąć ją swoimi ramionami i przytulić. Wiedziałem, że nie mogę tego zrobić w żaden sposób na siedząco, ale może kiedyś, kto wie. Pociąg wtoczył się na dworzec Bielsko-Biała Główna i wtedy usłyszeliśmy głos spikera:

— Tu stacja Bielsko-Biała Główna. Pociąg osobowy z Katowic do Zwardonia, który wjechał na tor pierwszy przy peronie pierwszym, odjedzie z półtoragodzinnym opóźnieniem w wyniku uszkodzenia trakcji. Za utrudnienia przepraszamy.

Głos jeszcze raz powtórzył ten sam komunikat, a ludzie siedzący dotąd w wagonie pojedynczo zaczęli go opuszczać.

— Mamy pecha — zwróciłem się do Marty.

— Będiesz czekał czy pojedziesz autobusem? — zapytała, obracając twarz w moją stronę.

— Sam nie wiem, półtora godziny to długo, zostanę z tobą, jeśli będziesz czekać — zaproponowałem.

— Poczekam — odparła. — Zadzwońię do koleżanki, żeby na mnie nie czekała i przysłała później — po czym pogrzebała w torebce i wydobyła telefon.

Zbliżyła go do ust i wypowiedziała imię przyjaciółki. Chwilę trwała cisza, aż do momentu, kiedy nawiązała połączenie.

— Witaj kochana, dzwonię, ponieważ pociąg jest opóźniony o półtora godziny. Przepraszam cię, ale czy przysłabyś, jeśli możesz, później? Strasznie ci dziękuję. To do zobaczenia. Pa.

— Przyjdzie później — zwróciła się do mnie, chowając telefon do torebki. — Ty nie dzwonicz do domu? — zapytała zdziwiona.

— Nie — odparłem stanowczo. — Żona pracuje do dwudziestej drugiej, syn idzie na zajęcia zespołu regionalnego Magurzanie. Mają dzisiaj próbę do wieczora, więc praktycznie mam czas wolny.

— Świetnie, możemy pójść do jakiejś kawiarni — zaproponowała. I dodała: — Jestem głodna i napiłabym się kawy z tobą. Co ty na to?

— Oczywiście, możemy iść na kawę. Muszę tylko pomyśleć, gdzie?

— Pewnie coś wymyślisz. Ja już się cieszę na tę kawę, którą wypiję razem z tobą.

— Więc chodźmy — zaproponowałem, wstając z miejsca.

— Wspaniale, idę z tobą. Mam już dość randek wagonowych.

Przyda nam się trochę świeżego powietrza.

— Wiesz, że zaczyna padać? — poinformowałem ją, ukradkiem spoglądając na tworzące się mokre plamy na peronie.

— Nie szkodzi, nie jestem z cukru, a ty, jak się orientuję, także nie. Do tego masz parasol.

— Mam.

Wstała z siedzenia, zabierając torebkę. Podała mi swoją dłoń i powoli skierowaliśmy się w stronę wyjścia. Byliśmy ostatnimi pasażerami feralnego pociągu, którzy opuszczali jego wnętrze.

— Szkoda, że nie możesz zobaczyć dworca w Bielsku, jaki jest piękny — zacząłem, otwierając parasol.

— Słyszałam, że po remoncie odzyskał swoją dawną świetność. Pamiętam tylko jego żółte mury za czasów, kiedy chodziłam do szkoły.

— Chodziłaś do szkoły w Bielsku? — zapytałem zaskoczony.

— A tak, chodziłam do Liceum Plastycznego. Mogę chwycić cię pod pachę? — zapytała, jakby trochę niepewnie, z lekkim zażenowaniem.

Pomyślałem, że to przecież nie nowość, pewnie często korzysta z takiej formy pomocy, nie tylko na spacerze z nieznanym.

— Oczywiście — stwierdziłem. — Tak będzie nawet lepiej. Będę miał cię pod kontrolą przez całą drogę. Pójdziemy pomału i ostrożnie — zapewniłem. — To mój pierwszy raz.

— Nie krępujesz się? A jak cię ktoś znajomy zobaczy, jak idziesz z kobietą pod rękę?

— To mnie zobaczy i już. Masz laskę w prawej ręce, więc na pewno nie pomyśli nic złego ani nie będzie miał skojarzeń, że tak powiem, niemoralnych.

— No tak, uspokoiłeś mnie, już się nie martwię, co inni pomyślą o tobie. Teraz bądź moimi oczyma. Ja będę blisko ciebie. Na pewno mnie czujesz.

— O tak, czuję cię doskonale — zapewniłem ją i ruszyliśmy w stronę pomieszczenia z kasami, przez które można wyjść na splot ulic 3 Maja, Warszawskiej i Piastowskiej.

— Dworzec wykonany jest z pięknej wypalanej cegły — zacząłem opisywać jej obrazy, które wyłaniały się przede mną.

— Tak właśnie, proszę, bądź moimi oczyma — powtórzyła wcześniejsze swoje słowa.

Była wyjątkowo piękną kobietą i spacer z nią wydawał mi się bardzo przyjemny. Czulem, jak zacieśnia uchwyt swojej lewej ręki na moim ramieniu, tworząc ze mną jakby całość. Taka jedność gdzieś wewnątrz rozgrzewała moją świadomość.

— Piękne nowe okna dodają uroku ceglanej ścianie — zacząłem mój nieporadny opis. — Budynek został, o ile pamiętam, zaprojektowany przez Karola Schulza.

— Dobrze pamiętasz — przerwała mi. — Rysowałam go kiedyś, ale chcę posłuchać, jak ty o nim opowiadasz. Proszę, mów dalej, nie będę przeszkadzać.

— Dobrze. Powstał w rekordowym czasie, w ciągu 140 dni roboczych, wybudowany przez Karola Korna w 1889 roku. Pamiętam to dlatego, że w tym

roku urodziła się moja prababcia Stefania Chrobak z domu Straub. Ale dlaczego ci o tym mówię?

— Chcesz, abym wiedziała, i tyle — skwitowała moje pytanie.

Po jej odpowiedzi drzwi do sali dworcowej samoczynnie otworzyły się i oboje znaleźliśmy się we wnętrzu dworca. Kiedy doszliśmy do jego centralnej części, zatrzymałem się, i podnosząc głowę do góry, ciągnąłem moje opowiadanie dalej.

— Tego nie mogłaś widzieć. Nad nami jest przepiękny sufit. W czasie remontu odkryto tutaj freski w stylu pompejańskim.

Są po prostu cudowne. Wiesz, co jest ciekawostką?

— Nie

— Herb Bielska. Nie wiem, skąd się to wzięło, ale zostały pomyłone tła pól. Tyle ciekawostek, o których z pewnością nie wiedziałaś. Ale jak może się orientujesz, czas przejazdu na przykład do Czechowic nie zmienił się od stu lat i wynosi prawie osiemnaście minut.

— Niestety, w tym względzie utknęliśmy w miejscu. Sporo czasu tracę na dojazdy z Żywca do Pszczyny i z powrotem. Idziemy dalej? W takim tempie nie zdążymy wypić kawy — rzekła z lekkim niepokojem w głosie.

— Miałem być twoimi oczyma — zaprotestowałem bez nacisku.

— Cieszę się, że nimi jesteś — przytuliła się bardziej, tak blisko, że na nowo poczułem zapach jej perfum.

— Dobrze, wychodzimy już na zewnątrz. Wiesz, ile ma długości tunel, przez który codziennie jeździmy?

— Ile? — zapytała krótko.

— Dwieście sześćdziesiąt osiem metrów i został wykonany z naturalnego kamienia wydobytego z kamieniołomu znajdującego się w mojej rodzinnej wiosce, Straconce.

— Wiedziałaś, że dzisiaj pociąg będzie miał spóźnienie i pójdziemy na spacer? Przygotowałeś się specjalnie?

Zacząłem się śmiać. Zresztą Marta też parsknęła śmiechem, tak miło i ciepło w moim odczuciu.

— Coś ty, gdybym wiedział, przygotowałbym się lepiej.

Na zewnątrz padał deszcz. Otworzyłem parasol i ruszyliśmy w stronę podziemnego przejścia. Starłem się omijać kałuże, sam wchodząc czasem w ich środek, aby Marta mogła przejść suchą nogą. Z tego omijania po chwili miałem już mokro w butach, ale temperatura przekraczała dwadzieścia stopni i nie sprawiało to żadnego problemu. Ot, taki mały letni prysznic, chociaż to już wrzesień.

— Po lewej stronie mamy szereg małych kiosków z ubraniami, a po prawej, jak się orientujesz, biegnie ulica 3 Maja. Zaraz dojdziemy do przejścia podziemnego i z pewnością po drugiej stronie znajdziemy jakiś lokal. Jak ci się

idzie ze mną? — zapytałem ciekawy, spoglądając na moją partnerkę w nieplanowanym spacerze. — Jesteś świetnym przewodnikiem — oznajmiła z uśmiechem.

— Tylko przewodnikiem? — zapytałem z nutą rozczarowania w głosie.

— Nie tylko — dodała po chwili.

— Cieszę się, że nie tylko. Uważaj, zaraz będą schody — ostrzegłem.

Prawą rękę z białą laseczką przesunęła do przodu, a napotykając pierwszy stopień, postawiła na nim nogę.

— Dziękuję za ostrzeżenie.

Po kilkudziesięciu schodach wydostaliśmy się na ulicę Jana Matejki. Chwilę zastanowiłem się, co dalej. Ruszyliśmy w stronę ulicy Mickiewicza. Nagle przypomniałem sobie o cukierni.

— Wiem już, gdzie pójdziemy — wykrzyknąłem niezbyt głośno, ale z radością w głosie.

— Jestem ciekawa, co wymyśliłeś.

— Zaraz skręcimy w lewo na Mickiewicza. Na skrzyżowaniu z ulicą Sixta znajduje się niewielka cukiernia. Często, jak chodziłem na lekcje angielskiego, przychodziłem tutaj na kawę, a czasem na ciasteczko.

— Chodziłeś na angielski? Jest tutaj jakaś szkoła? — zaciekawiała się.

— Nie tak dawno chodziłem na kurs do My Speed i skończyłem go egzaminem, ale muszę przyznać, ciężko mi przychodziła nauka.

Lekcje prowadził lektor, za każdym razem inny. Jeden z Anglii, drugi z Kanady, a jeszcze inny ze Stanów. Jak wiesz, albo nie wiesz, mam słaby słuch i często słówka przekręcałem, ale mimo wszystko warto było, zwłaszcza że całość była sfinansowana przez Unię Europejską.

— Fajnie, a może ja bym spróbowała. Słuch mam dobry i konwersacje bardzo by mi pasowały. Z angielskim jeszcze mam trochę problemów.

— Jesteśmy już na ulicy Mickiewicza. Wybrukowana jest czerwoną cegłą klinkierową układaną w choinkę. Teraz uważaj, wchodzimy na chodnik i jeszcze jakieś sześćdziesiąt metrów. Naprawdę niedaleko — zapewniłem.

W niedługim czasie dotarliśmy do cukierni. Drzwi znajdowały się po skosie bordowej elewacji, nad którymi wisiał napis:

CUKIERNIA, pod nim S.ZDROWAK rok założenia 1991.

— I dotarliśmy — oświadczyłem zadowolony. — Teraz uważaj, przed tobą są trzy schody.

Zamknąłem parasol i razem powoli pokonywaliśmy kolejne progi. Lewą ręką otworzyłem drzwi i wprowadziłem Martę do środka. Zapach ciastek i kawy podrażnił moje nozdrza.

— Pójdziemy na wprost do samego końca — zaproponowałem.

— Prowadź mnie — poprosiła.

— Jest wolny stolik i słomiane foteliki, w sam raz dla nas.

Przeprowadziłem Martę przez cukiernię, zręcznie omijając inne stoliki. W rogu pod ścianą usadowiłem ją wygodnie na foteliku i zapytałem:

— Jaką chcesz kawę, parzoną czy z ekspresu?

— Z ekspresu, ze śmietanką.

— To tak jak ja, a do kawy może być tiramisu ?

— Oczywiście — stwierdziła — lubię to ciasto, chętnie zjem do kawy.

Po chwili siedzieliśmy już przy stoliku, delektując się kawą i ciastem oferowanym przez cukiernię. Jakby nie było, na dotarcie tutaj straciliśmy dwadzieścia pięć minut. Spojrzałem ukradkiem na telefon.

— Mamy czterdzieści pięć minut na rozmowę — oznajmiłem. — Dużo czy mało?

— W sam raz — oznajmiła. — Prawdę mówiąc, chciałam tylko wypić z tobą kawę i tyle.

— Chodziłaś do liceum plastycznego — stwierdziłem. — Dlatego mówiłaś wczoraj, że dzisiaj porozmawiamy o malarstwie?

— Malarstwo to moja pasja od dziecka. Całymi dniami potrafiłam siedzieć i rysować, kolorować i bawić się farbami. Wszyscy mówili o wielkim talencie, jaki otrzymałam od losu.

— Musi ci być teraz wyjątkowo ciężko? Jak sobie z tym poradziłaś?

— Malarstwo i rysunek są nadal głęboko w moim sercu zakorzenione i nic ich nie wyrwie, nawet moja ślepotą.

— Wiesz co? A właściwie kiedy chodziłaś do plastyka?

— W latach osiemdziesiątych, a co?

— W tym okresie bywałem w plastyku.

— Chodziłeś do mojej szkoły?

— Nie — zaprzeczyłem. — Nie uczyłem się. Zapłaciłem na obiady i chodziłem na stołówkę. Być może nawet spotkaliśmy się, nie wiedząc o tym.

— A to ciekawe. Uczyłam się do osiemdziesiątego dziewiątego roku. Choćbym natknęła się przypadkiem na ciebie i tak teraz już bym nie mogła rozpoznać twojej sylwetki z oczywistych powodów.

— Moja teściowa była tam kucharką i dlatego dostałem się tam na obiady w stołówce szkolnej. Pamiętam Miss Polonia z 1986 roku, Monikę Fatłę. Czasem natknąłem się na nią w stołówce i oczywiście na braci Golców. Wtedy jeszcze nie byli znanymi postaciami i nie zwróciłem na nich uwagi, ale oni chodzili do szkoły muzycznej z internatem, do plastyka przychodzili tylko na obiady.

— Monikę pamiętam, byłam wtedy w pierwszej klasie. Piękna dziewczyna, nie dziwię się, że została wybrana na miss. Odległe czasy i do tego tyle się jeszcze wydarzyło.

— Opowiedz mi o swoim malarstwie — zaproponowałem.

— Skończyłam liceum i dostałam się do Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie.

— Super — stwierdziłem. — Musiałaś być utalentowana, a do tego mieć marzenia i pasję.

— Właśnie tak, malarstwo było moją ogromną pasją — po tych słowach posmutniała, ale tylko na moment. — Wiesz, jak się dowiedziałam o tym, że jestem na liście przyjętych, normalnie zwariowałam ze szczęścia. Babcia pozwoliła mi wyjechać z koleżankami nad morze pod namioty. Piękne czasy. Akademia Malarstwa istnieje w Krakowie od 1818 roku. Studiował w niej Matejko, Wyspiański, Malczewski, a wtedy miałam studiować i ja, w dodatku moją życiową pasję.

— Wyobrażam sobie — wrzuciłem dwa słowa w jej wypowiedź, widząc, jak bardzo się podekscytowała, wyraźnie chciała mi o tym opowiedzieć.

— Mój świat barw istniał w rzeczywistości i mógł dzięki moim zmysłom znaleźć się na malarskim płótnie. Stworzyłam własny świat i swój styl. Naprawdę byłam dobra. Ukończyłam Akademię z najlepszym wynikiem.

— Czy mogę gdzieś zobaczyć twoje obrazy? — zapytałem pełen nadziei.

Poczułem wewnętrzną potrzebę zetknięcia się ze światem jej wyobraźni, która stawała mi się coraz bardziej bliska. Powoli dostawałem się do jej przeszłości, ale tylko na tyle, na ile pozwoliła otwarta przez nią furka.

— Większość sprzedawałam na aukcjach. Potrzebowałam pieniędzy nie tylko teraz, po tym, jak straciłam wzrok — tłumaczyła spokojnie. — Część rozdałam na aukcje charytatywne dla potrzebujących. Mnie wystarczy to, co mam. Jestem w pewnym sensie szczęśliwa i chyba choć trochę spełniona.

— Mam do ciebie prośbę, ale nie wiem, jak na nią zareagujesz. — Mów, inaczej się nie dowiesz, jak zareaguję.

— Czy mogłabyś dla mnie ściągnąć okulary? — zapytałem niepewnym głosem. — Chociaż na chwilę — dodałem.

— Mogę, czemu nie — spokojnie odpowiedziała na moją prośbę, zdejmując pomału swoje czarne okulary. Wyprostowała się przy tym, kierując spojrzenie prosto w moje oczy. Spojrzenie, którego nie było w realnym świecie, lecz w świecie jej wyobraźni, tam było.

Zobaczyłem jej ładną twarz w pełnej krasie. Niebieskie oczy w pięknej oprawie niewątpliwie dodawały jeszcze bardziej blasku i energii emanującej z fizjonomii ciekawego i nietuzinkowego oblicza kobiety, prawie anioła. Śmiało można było właśnie tak określić jej wygląd.

— I co? — zapytała po chwili, zakładając okulary, jakby przez ułamek minuty poczuła się naga i poddana publicznej ocenie, a może nawet chłóście niechcianych spojrzeń.

— Szczerze? Jesteś piękna i masz cudowne oczy. Dlaczego chodzisz

w okularach?

— Nie chcę, by ktoś patrzył w moje oczy, ponieważ nie mogę odwzajemnić spojrzenia. Przeciwstawić swoją reakcję na agresję ciekawskich spojrzeń. Dobrze czuję się za tym czarnym murem, chociaż wiem, że nie chroni mnie do końca. Tobie pozwoliłam na sforsowanie przeszkody, która dla wielu jest nie do przebycia. Dziwna sprawa, z tobą jest inaczej, jakbyś otwierał dla mnie moje wewnętrzne blokady, które nabyłam z utratą wzroku.

Zobaczyłem, jak prawą ręką sprawdziła aktualny czas na zegarku, a potem poszukała talerzyka z ciastem. Delikatnie namierzyła ostatni kawałek, nasuwając go palcem na widelczyk i podniosła do ust. — Muszę powiedzieć, że mają tutaj dobre ciasto.

— Mnie też smakowało — oświadczyłem zadowolony ze swojego wyboru. — Dziękuję, że wypitaś ze mną kawę.

— Wiem, musimy powoli zbierać się do wyjścia — stwierdziła, jednoznacznie rozumiejąc moje podziękowanie za kawę.

— Spostrzegłem, jak sprawdzałaś czas na zegarku.

— Ja też bardzo ci dziękuję. Trochę poplotkowaliśmy, więcej o mnie niż o tobie, ale wszystko nadrobię innym razem — zapewniła ze spokojem, przygotowując się do wyjścia. — Wspaniale spędziłam czas. Wyślę dzisiaj podziękowanie do PKP i poproszę o jeszcze.

— Nie przesadzaj, o której będę wracał do domu? Żona wystawi mi walizki przed dom. Przyjmiesz mnie potem do siebie?

— U mnie nie ma miejsca — uśmiechnęła się szczerze po tych słowach. — Ale jak poprosisz bardzo ładnie, to kto wie, może znajdę jakiś materac dmuchany.

— Niezła perspektywa. Uważaj na schody — dodałem, przytrzymując ją mocniej za rękę.

— Nie gniewasz się na to, co powiedziałam? — zapytała, opierając się na moim ramieniu.

— Przecież oboje żartujemy. O, przestało padać — stwierdziłem zadowolony. — Nie muszę rozkładać parasola.

— Fajnie, powrotna droga na pociąg będzie przyjemniejsza.

Ruszyliśmy powoli w stronę przejścia podziemnego. Jej biała laska wyprzedzała nas o parę centymetrów, penetrując przestrzeń przed następnym krokiem. Zejście po schodach było już pestką i szybko dostaliśmy się w okolice dworca. Nasz pociąg stał na pierwszym peronie w tym samym miejscu, w którym go zostawiliśmy, udając się na wyprawę do cukierni. Doszliśmy do drugich drzwi wejściowych, wtedy Marta obróciła się w moją stronę i przytuliła. Poczułem, jak jej ciało szczelnie przywiera do mojego. Trwało to może chwilę, po czym odsunęła się trochę i podnosząc twarz do góry, wyszeptwała:

— To najfajniejszy dzień w mojej ciemności od kilku lat.

Dziękuję ci.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Pomogłem jej wejść po schodkach do wagonu, a potem zaprowadziłem do pierwszego wolnego miejsca. Pociąg był już wypełniony pasażerami. Nie mogłem usiąść, dlatego stanąłem obok niej. Pociąg ruszył zaraz potem i wjechał do tunelu. Światła lamp przelatywały z okna do okna. Szarość zagarniała resztki barw. Jakiś smutek wypełził z zakamarków myśli i chociaż za chwilę światło wdarło się na końcu tunelu, pozostał we mnie jeszcze jakiś czas potem. Zza chmur wydobywały się promienie słońca.

Co to wszystko znaczy? Zadawałem sobie pytanie i żadna odpowiedź nie przychodziła. Czemu to wszystko ma służyć? A może zjawilo się tak zwyczajnie, aby tylko zaistnieć, sprawić, bym bardziej mógł poczuć wielowymiarowość boskiego stworzenia, w którego jestem częścią od samego początku, już jako broniony przez Martę embrion. Miałem się rozwijać, urodzić, powiedzieć słowo mama. Poznawać stworzony świat i wreszcie nauczyć się kochać. Tak milcząc, oboje dojechalśmy do kolejnej stacji. W końcu nachyliłem się i zapytałem.

— Czy mogę liczyć na twój obraz, może być malutki. Chciałbym mieć coś twojego, żeby kiedyś po latach spojrzeć na niego i móc zobaczyć w nim ciebie i tę chwilę, która teraz mija, chwilę, która uzmysłowiła mi, jak wielowymiarowe i trudne jest ludzkie życie.

— Mam coś takiego — odezwała się po chwili.

— Świetnie — westchnąłem uradowany.

— Namalowałam go jeszcze w Krakowie dla mojej babci. Po jej śmierci zabrałam obraz do mojego mieszkania i chociaż moje oczy nie mogą nic zobaczyć, moje myśli potrafią wyobrazić sobie wszystkie jego szczegóły z barwami włącznie.

— Jakże mogłoby być inaczej, jesteś jego twórczynią. Kiedy mogę liczyć, że zobaczę twoje dzieło?

— Zabiorę je jutro, jak nie będzie padać.

— Jak sobie z tym dasz radę? — zaniepokoiłem się na myśl, że będzie nieść obraz, torebkę i laskę. — Lepiej wymyślmy inny sposób — zaproponowałem.

— Spokojnie, obraz jest mały i zmieści się w dużej reklamówce — skwitowała moje obawy.

— Jeśli tak mówisz, dobrze. Będę niecierpliwie czekał na twoje dzieło.

— Jakie tam dzieło, delikatny obraz olejny. Po roku od namalowania pokryłam powierzchnię werniksem.

— Czym? — zapytałem, chcąc więcej dowiedzieć się, o co właściwie chodzi.

— Werniks jest substancją konserwującą i zabezpieczającą obraz przed szkodliwym działaniem otoczenia.

— Aha. Opowiesz mi o tym jutro. Muszę już wysiąść. Dziękuję bardzo za towarzystwo. Nie spodziewałem się, że takie będzie dzisiejsze popołudnie.

— Też ci dziękuję.

— Pa — po tych słowach wyprostowałem się, pozostając jeszcze chwilę obok Marty.

— Pa — westchnęła i zamyśliła się.

Wysiadłem i wróciłem do domu podekscytowany tym, że będę miał obraz, prawdziwy obraz malowany olejną farbą. Moja żona już miała swój na ścianie w holu. Namalowała go Grażynka, z którą niedawno byliśmy na zabawie urodzinowej Alana. Obraz przedstawiał kwiaty i naprawdę nam się podobał. Teraz jednak myśl o tym, że będę miał swój, napawała mnie radością. Właściwie zaraz po wejściu do mieszkania szukałem miejsca, gdzie go powieszę. Miałem kilka ścian do wyboru, ale nie było łatwo. Na jednej wisiał już wspomniany obraz, na drugiej Matka Boska Nieustającej Pomocy. W holu więcej wolnych ścian nie było. W pokoju dziennym też nie było lepiej. Piękny obraz Jana Pawła II, dwa obrazy wnuków naszkicowane kiedyś nad morzem przez miejscowego rysownika i obraz domku na wsi. Nie miałem czasu nawet się przebrać, chodząc między pokojami. W końcu doszedłem do wniosku, że przesunę obraz z kwiatami w lewo, w stronę wejścia do kuchni, tym samym zrobię miejsce na mój nowy.

OBRAZ

Wieczorem trochę poczytałem i posurfowałem w Internecie. Nie miałem czasu obejrzeć wiadomości w telewizji, dlatego poszperałem na portalach internetowych, co ciekawego wydarzyło się w świecie. Znalazłem post o zeznaniach ekspertów Macierewicza, które ich praktycznie dyskredytowały jako fachowców. Cała ta sprawa denerwowała mnie od jakiegoś czasu. Wszystko już dawno powinno być zamknięte, a jednak niektórzy politycy szukali w tym tragicznym wydarzeniu dla Polski jakiegoś drugiego dna, choć może i było, mienili się patriotami, w dodatku jedynymi na pierwszej linii ognia. Denerwował mnie przede wszystkim sam przewodniczący zespołu parlamentarnego. Wydawało mi się, że ten człowiek niczego nie potrafi zbudować, niczego, co łączyłoby nas jako naród, a ciągle coś rozwała i dzieli, podsycając nienawiść do sąsiadów, zwłaszcza ze Wschodu. W tym swoim nieugiętym szukaniu spisku, tam, gdzie go nie mogło być, przysparzał punktów procentowych Platformie Obywatelskiej. Takie miałem odczucie i brało mnie na wymioty, słuchając kolejnych kompromitujących wypowiedzi tego oszalałego z nienawiści do swoich przeciwników człowieka. Z drugiej strony, każdy może wyrażać swoje poglądy, a ja mogę się mylić. Co było jeszcze ciekawego? Polska odznaczyła pośmiertnie sierżanta armii Stanów Zjednoczonych, który własnym ciałem osłonił polskiego żołnierza w Afganistanie.

Przeczytałem jeszcze o nominacji przez komisję oscarową filmu Andrzeja Wajdy o Wałęsie, który będzie reprezentował naszą kinematografię na tym prestiżowym festiwalu. Dalej nie miałem już ochoty na czytanie.

Sprawdziłem jeszcze pocztę i ku mojej ogromnej ucieście, zobaczyłem wyłuszczonego grubą czcionką maila od Marty. Nie zastanawiając się, kliknąłem, otwierając list.

Od: marta.zywiec@wp.pl

Data: 18 września 2013 20:15

Do: bronislawm@poczta.onet.pl

Temat: Jeszcze o dzisiejszej kawie

Witaj Bronku. Musiałam napisać do ciebie. Pociągnęła mnie do tego moja ogromna wewnętrzna potrzeba. Jak wróciłam do mieszkania i zostałam sama, zagościła w moim sercu tęsknota za chwilą spędzoną z tobą przy kawie. Przypomniały mi się dawne dobre czasy, o których już, jak mi się wydawało, zapomniałam. Ty jednak sprawiłeś i utwierdziłeś we mnie wrażenie, że pewne uczucia są ponadczasowe i w każdej chwili mogą znów się narodzić, chociaż, jak mi się zdawało, pochowałam je na wieki wieków. Siedziałam tak bez ruchu na fotelu może z godzinę, przypominając sobie dzisiejsze popołudnie. Było mi z tym dobrze. Zaczęłam się obawiać, abyśmy nie przekroczyli granicy, która wyznacza przyjaźń kobiety i mężczyzny. Pamiętaj, że nie wolno nam tego zrobić. Niech tak zostanie, jak jest. Jesteśmy i musimy zostać przyjaciółmi. Przed chwilą ściągnęłam obraz dla ciebie ze ściany i przygotowałam na jutro.

Marta

PS. Nie wiem, skąd znalazłeś się na mojej drodze, na której nie świeci już żadna latarnia, oprócz oczywiście tej zesłanej przez Boga... Myślę, że to opatrność, nie wierzę w przypadek losu.

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 18 września 2013 21:47

Do: marta.zywiec@wp.pl

Temat: Re: Jeszcze o dzisiejszej kawie

Co do losu, zgadzam się z tobą, nie jesteśmy od niego uzależnieni. Chociaż czasem nachodzą mnie sprzeczne myśli, jak we fragmencie , który znajduje się na odwrocie „Reguły”, o Judaszu, osobie wyznaczonej przez Boga do wydania Zbawiciela w ręce żołnierzy. Już na ostatniej wieczerzy przyszłość jego była znana

Jezusowi.

Jeśli chodzi o granicę przyjaźni kobiety i mężczyzny, od wieków była bardzo płynna. Często kończyła się miłością, ale w naszym wypadku, myślę, że nie przekroczymy jej, byłoby to katastrofą nie tylko dla nas.

Dzisiejsze popołudnie i dla mnie okazało się bardzo miłe, w dodatku spędzone w miłym towarzystwie. Okazuje się, że jesteś ciągle obecna w moich myślach i ogromnie cieszę się obrazem, który przygotowałaś dla mnie. Już znalazłem nawet miejsce dla niego na jednej ze ścian i wyczekuję niecierpliwie jutra.

Bronisław

List wydawał mi się trochę chaotyczny, ale postanowiłem go wysłać.

Następnego dnia pociągi od rana kursowały normalnie. Wszystko toczyło się jak w szwajcarskim zegarku. Czekałem na mającą pojawić się dzisiaj Martę z obrazem, już od momentu otwarcia oczu i odmówienia porannej modlitwy, połączonej z prośbą o błogosławieństwo w nowym dniu. Jeśli na coś się czeka, minuty i godziny wydłużają się niemiłosiernie. Wyglądało to, jakby czas wpłynął na równinę, wyhamowując swój normalny pęd, leniwie odtąd pokonując kolejny wyznaczony odcinek drogi.

Tym razem Marta była ubrana inaczej. Zastanawiałem się, jak wykonuje poranną toaletę. Jak układa włosy, maluje twarz, ubiera się w pasujące do siebie ciuszki, że wszystko jest idealnie połączone, dopięte na ostatni guzik. Często kobiety, które widzą, wyglądały raczej na zupełnie ślepe, podejmując nieudane próby własnej prezentacji światu, chociaż mogły spojrzeć przed wyjściem do lustra. Mogły popatrzeć na każdy szczegół swojego ubioru, na swoją twarz. Nie robiły jednak tego tak perfekcyjnie jak niewidoma Marta.

— Pięknie wyglądasz, witaj — powitałem ją, siadając już bok niej.

— Dobrze, że już jesteś. Jakiś pan chciał obok mnie usiąść, ale powiedziałam, że zajęte. Dzięki za komplement. Nie musisz mnie tak chwalić.

— Nie muszę, stwierdzam tylko fakt, jaki ujrzałem.

— I co takiego zobaczyłeś? — naciskała na mnie, abym uściślił swój komplement.

— Piękną kobietę, ładnie ubraną, z miłym uśmiechem, promieniującą radością, której próżno szukać w tym ponurym wagonie. Jak wiesz, dzisiaj jedziemy starym składem wagonów. Wszystkie te panie, które tutaj siedzą, mogą ci jedynie pozazdrościć elegancji. Zastanawiałem się jeszcze przed chwilą, jak uzyskujesz ten efekt?

— Skoro nie widzę? — wtrąciła.

— Właśnie, skoro nie możesz sprawdzić efektu końcowego, przeglądając się

w lustrze.

Było mi trochę głupio, że zacząłem temat, który podążył w innym kierunku, niż myślałem.

— Wcale nietrudno być dobrze ubraną — oświadczyła bardzo pewnym głosem. — Już wieczorem przed wyjściem z domu zastanawiam się, co mam ubrać. W szafie i na półce wszystko mam poukładane i wiem gdzie co leży, jaki ma kolor, gdzie mam bieliznę, praktycznie ubieranie w takich warunkach jest proste.

— A ja myślałem, że to prawdziwe wyzwanie.

— Stanowiło wyzwanie na początku, kiedy byłam zrezygnowana i nie widziałam sensu ani celu życia. Płakałam, rzucałam ubraniami, nie mogłam się odnaleźć. Ty pewnie zrobiłbyś to samo.

Siostra pomogła mi się otrząsnąć z tego chorego stanu.

— Masz wobec niej dług.

— Dlatego teraz często ją odwiedzam, pomagam, jak umiem najlepiej. Nie jestem już zagubioną Martusią. Jestem pewna siebie i coraz więcej postrzegam innymi zmysłami.

— Właśnie widzę i doceniam, jak poradziłaś sobie w tym swoim prawdziwym kryzysie. Tak naprawdę dopiero w kryzysowych sytuacjach dowiadujemy się, kim jesteśmy.

— Z ust mi to wyjąłeś — potwierdziła mój sposób rozumowania. — Tak właśnie jest, w obliczu kryzysu stajemy wobec samych siebie i Boga, i albo przekuwamy tę sytuację na swoją korzyść, wychodzimy z niej zwycięsko, albo rozmazujemy się jak plama na płótnie, bez celu i sensu.

— Słuchałem kiedyś wykładu księdza Fabiana Błaszkiwicza właśnie o sytuacjach kryzysowych w naszym życiu, o tym, jak musimy sobie uzmysłować, kim naprawdę jesteśmy, wypowiadając głośno przed światem swoje prawdziwe imię. Wtedy możemy stoczyć walkę z przeciwnościami losu. Oczywiście możemy wygrać albo poleć, ale w chwale, okrywając się dobrym imieniem.

— Bronku, mam dla ciebie obraz.

— Super, czekałem na niego od samego rana.

Wydobyła reklamówkę, którą przyciskała do ściany zewnętrznej wagonu, podając mi prosto w dłoń.

— Mogę wyciągnąć i rozpakować? — zapytałem, przejmując pakunek.

— Pewnie, że możesz.

Zaraz też zabrałem się do wyciągania obrazu z reklamówki. Był zawinięty w szary papier sklejony przeźroczystym przyklepcem na rogach. Miał może ze czterdzieści kilka centymetrów długości i niewiele mniej wysokości. Delikatnie odlepiłem taśmę i odgąłem papier. Ukradkiem zobaczyłem, jak pasażerowie z przeciwnej strony naciągali szyję, żeby zobaczyć, co się kryje za szarością opakowania. Sam byłem niecierpliwy.

STWORZENIE ADAMA

— Łał! — wyrzuciłem podekscytowany. Na płótnie zobaczyłem motyw z Kaplicy Sykstyńskiej w Bazylice św. Piotra w Watykanie, który kiedyś umieściłem na okładce tomiku swoich wierszy, noszącego tytuł „W drodze do słowa”. Kilka lat temu miałem okazję zobaczyć ten wspaniały fresk Michała Anioła na żywo, pokazujący moment stworzenia Adama przez Boga. Uformowane ciało Adama, będące zupełnie nagie, znajdowało się nieco poniżej Stwórcy w pozycji półsiedzącej. Wyglądał prawie na wpół omdlałego w tej pozycji. Świat, który go otaczał, był również jakby surowy. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, ale z oczyma patrzącymi z głęboką ufnością w swojego Ojca. Adam wyciągał rękę, jakby nie miał jeszcze sił życiowych, podpierając ją na kolanie, a swoją dłoń z wysiłkiem kierował do swojego Stwórcy, nieznacznie unosząc palec wskazujący w oczekiwaniu na życiodajną porcję energii. Naprawdę to pięknie uchwycony moment stwarzania i jednocześnie samej najważniejszej chwili, ożywiania pierwszego człowieka na Ziemi.

Michał Anioł posłużył się tu wyjątkowym kontrastem postaci, słuchałem kiedyś polskiej przewodniczki, oprowadzającej nas po Sekstynie, a i w rzeczywistości, chociaż łączy ich niesłychane podobieństwo, to jednak są różni naturą. Bóg jako Stwórca znajdował się powyżej Adama, jego potęga obejmowała towarzyszące mu anioły. A dłoń podążała w stronę swojego stworzenia, aby zasilić go swoją życiodajną, stwórczą energią. Wszystko zawisło jakby w czasie i przestrzeni. Cudowne spotkanie palca Bożego z palcem Adama nie następuje, pozostawiając między nimi niewielką przestrzeń. Michał Anioł uchwycił tym samym moment przed uduchowieniem człowieka. Adam na wizerunku wygląda już na żywego, jednak z jego postaci nie emanuje coś, co uczłowieczało stworzenie. Adam według mnie jeszcze nie ma duszy na tym malowidle. Ujęcie postaci Boga jest nad wyraz ekspresyjne, pełne dynamizmu, co może symbolizować tylko moc energii życiowej i duchowej tej wyjątkowej postaci.

Teraz, jak patrzę na dłonie zbliżające się do siebie na obrazie Marty, zauważyłem symetrię albo jakąś równowagę. Moc potęgi Boga równoważyła słabość stworzenia. Ciało Adama przeczuwa zbliżające się prawdziwe życie. Świat ujęty na malowidle stał się uczcią dla moich oczu, ponieważ zawarta w nim jest doskonałość, która jest uniwersalną własnością i harmonią doskonałą cechującą Boga.

— Świetna kolorystyka — po długiej zadumie pochwalilem Martę. — Pięknie namalowałaś tę wspaniałą scenę. Stonowane i ciepłe barwy uspokajają

moje oczy.

— Mówią, że fresk Michała Anioła jest największym cudem, ponieważ wyraził w nim nieodgadnioną tajemnicę stworzenia z niewiarygodną łatwością i mocą. Niestety, nie było mi dane zobaczyć na własne oczy tego cudu.

— Nie musiałaś, ty naprawdę go zobaczyłaś, malując ten obraz. Strasznie ci dziękuję. To ci dopiero podarunek — powiedziałem podekscytowany, trzymając w dłoniach jej obraz.

— Mówisz tak, jakby to był obraz Michała Anioła.

— Nie, to stworzenie Adama przez Martę — podałem swoją propozycję nazwy, a ona uśmiechnęła się.

— Cieszę się, że sprawiłam ci ogromną radość moim malowidłem. Werniksowałam go dwa razy półmatowym czynnikiem.

Werniksy półmatowe łączą w sobie zwiększenie głębi i ożywienie barw z jednoczesnym uniknięciem uzyskania warstwy wysokiego połysku, czegoś w rodzaju „lustra”, niedobrej dla obserwatora. Nakładałam go dziesięć lat temu. Aby uzyskać jednolitą powierzchnię, pokrywałam obraz cienką warstwą w kierunkach krzyżujących się i używałam do tego celu szerokiego pędzla o miękkim włosiu. W trakcie werniksowania i schnięcia należy zadbać, by w pomieszczeniu nie unosił się kurz, który będzie się przyklejać do werniksu. Tak oto powstał ten twój cud świata i tyle — znów zapanował na jej twarzy uśmiech. Była wyraźnie podekscytowana moim zachwytem.

— Nie śmieję się ze mnie, nie jestem fachowcem, ale potrafię docenić jakość swoją intuicją.

— Wierzę w twoją intuicję, jesteś przecież artystą, jak Michał Anioł, tylko w innej dziedzinie. Wszystkich nas cechuje wrodzona wrażliwość.

— Jestem artystą? Wątpię — odpowiedziałem pytaniem, poddając w wątpliwość uwagę Marty.

— Nigdy nie obniżaj swojej wartości, zapamiętaj to sobie.

Mówię całkiem serio i poważnie.

Zacząłem pakować obraz z powrotem w papierowy płaszcz. Żał było mi to robić, ale lepiej go zabezpieczyć, zwłaszcza że gdzieś w oddali na jednej ze stacji słychać było grzmoty, chociaż przez okno nie było nic widać.

— W tym tygodniu już nie pojedę do siostry. Będziemy musieli się obejść bez naszych wagonowych spotkań.

— Jak to? — zapytałem szybko. — A w poniedziałek? Co z poniedziałkiem?

— Napiszę ci maila, jak będę wiedziała. Cieszę się tym, co mam teraz, a teraz jedziesz ze mną i trzymam cię za rękę.

Poszukała moich dłoni i objęła je swoimi. W sercu czułem jakiś żal, że nie wiem, kiedy znów się spotkamy. Próbowałem pozbyć się tego natrętnego uczucia i cieszyć się, jak mówiła, chwilą, która trwa. Czułem, jak narasta we mnie

uzależnienie od Marty. Miałem ją obok siebie, a już brakowało mi jej osoby i nie mogłem się z tym pogodzić, bo stanowiło to jawną sprzeczność z rzeczywistością. Uświadomiła mi wiele ważnych rzeczy, zwłaszcza swoim życiem i postawą zmusiła naturalnie do powtórnego przewartościowania. Jeszcze tylko jedna stacja dzieliła mnie od Łodygowic. Nie wiem, dlaczego milczeliśmy. Sytuacja wyglądała raczej na pogrzeb niż radosne spotkanie przyjaciół.

— Nic nie mówisz? — przerwałem milczenie.

— Dobrze mi się milczy przy tobie. Nie zawsze ma się ochotę na pogaduszki, często milczenie przynosi ulgę większą niż gadanina.

— A ja zastanawiam się, dlaczego na mojej drodze stanęła Marta?

Spojrzałem na nią kątem oka. Nie drgnęła, patrząc w okularach gdzieś przed siebie. Błada twarz odbijała promienie słoneczne, które wyrwały się nagle przez wyrwę w chmurach. Teraz dopiero można było zobaczyć, jak daleko na horyzoncie kłębią się czarne jak noc obłoki.

— Nie ma się nad czym zastanawiać — zaczęła po chwili. — Zapomniałeś, jak zderzyliśmy się głowami w poszukiwaniu moich kłopotów z torebki? — Pamiętam dokładnie.

— Mieliśmy się spotkać, więc spotkaliśmy się. Nie wiem, dlaczego. Ty też nie wiesz i niech tak pozostanie. Poszłam twoim śladem i sama piszę, ale to jakby moje wspomnienia. Mierzę się w nich z moim życiem, z moimi lękami i losem. Jak skończę, dostaniesz pierwszy mój tekst do sprawdzenia.

— Oczywiście, mogę być twoim redaktorem.

— Losy ludzkie są pokręcone jak warkocze twojej papuszy. Całe życie je rozplatamy, a one na nowo splatają się, nawet, jeśli nie chcemy tego robić. No cóż, do następnego razu. Musisz wysiadać.

— Muszę, pa — pożegnałem się i wypuszczając dłoń Marty, wstałem.

— Pa — usłyszałem jej słaby głos.

NIEUDANY LOT

Okazało się, że cały następny tydzień miało nie dojść do naszego spotkania. W poniedziałek otrzymałem jednego zdawkowego maila.

Od: marta.zywiec@wp.pl

Data: 23 września 2013 6:42

Do: bronislawm@poczta.onet.pl

Temat: Smutno mi

Chociaż wrzesień za pasem, wyjeżdżam z siostrą do rodziny na Mazury na dwa tygodnie. Będę tęsknić za naszymi wagonowymi rozmowami w toku. Nie wiem, czy tam w domu mają Internet. Odezwę się, jak wrócę. Wzięłam wszystkie twoje książki, więc będziesz ze mną na pewno bardzo blisko. Pozdrawiam.

Marta

Dzień za dniem mijał prawie tak szybko, jak z bicza strzelił. Pracowałem w domu, w zakładzie. Znalazłem jeszcze czas, aby skosić trawę w ogrodzie u taty. Chociaż jesień już zawitała, trawnik nie dawał za wygraną, ciągle wzrastając ponad miarę. Jabłka też nadawały się do obrania. Wyraźnie dojrzały, aby znaleźć się w piwnicznej spiżarni.

W piątek po pracy odwiedziłem tatę i od razu zabraliśmy się do obierania. Po godzinie brakowało nam skrzynek, chociaż tegoroczne zbiory nie były tak okazałe jak ubiegłoroczne, z których w maju jeszcze czerpaliśmy owoce pełnymi reklamówkami z piwnicznej przechowalni.

Wróciłem do domu koło dziewiętnastej. Pierwsze, co zrobiłem, to sprawdziłem pocztę, ale tu nie było nic nowego. Trochę posmutniałem, brak informacji doskwierał mi coraz bardziej. Czy to była tęsknota za jej słowem, może za jej obecnością? Z nudów przeczytałem poprzednie jej listy. Wieczorem wróciła z pracy żona. Wypiliśmy po lampce wina i przyszła oczekiwana noc. Jakoś nie mogłem zasnąć. Ostatnio nic mi się nie śni. Myślam szukałem w pamięci zapamiętanej wizji. Był taki sen, którego nie mogłem sobie przypomnieć. Wiedziałem, że był ważny, ale brakowało mi choćby jednego punktu zaczepienia, który pozwoliłby mojej pamięci dorwać się do całej zakamuflowanej w podświadomości reszty. Znałem techniki zapamiętywania snów i pozwoliłem sobie do nich wrócić. Może nawet zasnąłem na jakąś godzinę, potem zmogło mnie w końcu męczące oczekiwanie i razem z pojawiającym się ziewaniem zapadłem w odrętwienie i odpłynąłem. Ocknąłem się około piątej rano. Zegar ustawiony na telewizorze wyraźnie zielonymi cyframi informował mnie o długości snu. Moje oczy zaspane nie bardzo chciały się otworzyć. Dzisiaj nie musiałem iść do pracy, co dawało mi jakieś większe pole manewru w zakresie czasu porannego wstawania.

Gdy tak leżałem, nagle, jak grom z jasnego nieba otworzyły mi się szare, zacementowane czasem komórki. W czarnej świadomości pojawiło się światło, ukazując jak na zwolnionym filmie, kadr za kadrem, zapomniany sen.

Promienie opadały z góry, podobnie jak słoneczne światło, które przedostawszy się przez dziurę w czarnych jak noc chmurach, wstęgami jasności docierało na scenę. Teraz dopiero zauważyłem na niej dwie postacie. Byli nimi kapłani podnoszący hostię wysoko ponad swoje głowy. Kiedy już ręce osiągną pułap swoich możliwości, wypada ona z zaciśniętych palców. Kapłani pochylają

się i podnoszą z powrotem z wielką czcią wcieloną w opłatek postać Jezusa. Jedna hostia była w monstrancji, w której pękło tylko szkło okalające ją z dwóch stron, a druga nie była osłonięta i została podniesiona z ziemi. Nagle światło zgasło. Otworzyłem świadomie oczy i wtedy wszedł we mnie dziwny niepokój. Po chwili zamienił się w dreszcz i wypłynął na zewnątrz, pozostawiając rozdygotane myśli samym sobie.

Nie wiedziałem, co może oznaczać ta wizja, która nawiedziła moje zmysły ponad dwa tygodnie temu. Taki sen nie jest przypadkowy, nie stanowi wypadkowej zapomnianych przeżyć, przez które musiałem przejść. Od razu widać, że jest czytelnym przekazem, który należy odszyfrować, znajdując jego prawdziwą wymowę i sens. Miałem cały dzień na rozmyślania i odnalezienie rozwiązania tej zagadkowej wizji. Zaintrygowany nie potrafiłem już zasnąć. Błądziłem myślami chaotycznie, jakby poraził moje nerwy prąd z paralizatora. Nie wiedziałem, do czego mam przypiąć ten dziwny przekaz obrazów.

Nie miałem ochoty szperać w starym senniku, który od jakiegoś czasu leżał bezużytecznie na jednej z półek. W końcu przed południem jednak zabrałem go z regału i usiadłem przy stole. Poszukałem hasła: „hostia”. Znalazłem krótką informację mniej więcej taką: oznacza przeważnie, iż odnajdziemy w sobie wewnętrzny spokój, który pogodzi istniejące w nas sprzeczności, natomiast monstrancja w snach zapowiada, że spadnie na nas cios, który jednak szczęśliwie wytrzymamy.

Cóż to mogło oznaczać? Już zacząłem się lękać, ale jak to sny i ich tłumaczenie, nie zawsze się zgadzały z rzeczywistością. Może i tym razem tak będzie. Myślą wybiegłem daleko wstecz, kiedy czytając Biblię, natrafiłem na sen Józefa. Oczywiście nie było tutaj mowy o jakimś podobieństwie, a jednak zainteresowało mnie dziwne ureligijnienie obrazu sennego, jaki zobaczyłem parę tygodni temu. Zacząłem sobie go tłumaczyć na różne sposoby, potem dopasowywać do wydarzeń, które od tego czasu już zaistniały, szukając swojego miejsca w tym, ale nic z tego nie wynikało. Zwyczajnie nic.

Po obiedzie poszliśmy obierać jabłka z synem do ogrodu. Potem jednak zostałem sam i wtedy wdrapałem się na jabłoń po drabinie. Najpiękniejsze owoce, jak zwykle, rosły na najwyższych gałęziach. Opuściłem więc ostatni szczebel, dostając się do samej korony drzewa. W drugiej ręce trzymałem wiaderko na ekstra owoce. Czerwieniały i kusily jak prawdziwe zachcianki. Postanowiłem chwycić się ręką z wiaderkiem jednej z gałęzi, a drugą dosięgnąć tych pięknych pokus. Wcale nie było to łatwe. Musiałem się wyciągnąć jak przysłowiowa struna i wtedy nastąpiło coś, nad czym już nie byłem w stanie zapanować. Gałąź, którą z całej siły trzymałem lewą ręką, nagle oderwała się od grubszego konaru. Tracąc równowagę, rozpocząłem nienaturalny lot, opadając z ogromną prędkością i przyspieszeniem w stronę ziemi. W tych ułamkach sekund nie byłem w stanie zrobić niczego. Co

przebiega przez myśli, kiedy wiemy, że dzieje się coś złego i nie mamy żadnego wpływu, aby się od tego uchronić? Pomyślałem tylko, że mam przewalone. I nagle ogromny wstrząs przeszył moje ciało na wskroś. Byłem już na samym dole, na trawiastym, jak mi się zdawało, betonie. Dopiero dość długą chwilę po zderzeniu z ziemią rozpocząłem próby nabierania powietrza do płuc, ale okazały się nieskuteczne. Próby zaciągnięcia oddechu łączyły się z niesamowitym bólem, który zaciskał się wokół całego tułowia i nie dawał wytchnienia. Ogarniała mnie niemoc. Spojrzałem na nogi, aby upewnić się, że nie złamałem kręgosłupa, upadając na plecy. Podjąłem próbę poruszenia nimi. Ruszały się, a ja odczułem ulgę, która spłynęła na mnie, na chwilę łagodząc ból, który powoli opuszczał tors i przenosił się na lewy staw skokowy. Kiedy po czasie powrócił oddech, podjąłem próbę wstania na równe nogi, ale nic z tego nie wyszło. Zostałem w pozycji półleżącej z podpartymi o ziemię łokciami. W cierpieniu zacząłem oddychać szybko, ale bardzo płytko, aby nie wzniecać szalejącego bólu. Po dwóch, trzech minutach, postanowiłem jakoś jednak dostać się do mieszkania na pierwszym piętrze. Wokół nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. W końcu dotarłem do niego, próbując opanować całą sytuację. Doczołgałem się na czworaka do szafy w sypialni, ściągając z półek czyste ubranie i ręcznik. Potem przez dwa pokoje porazkowałem do łazienki i nalałem wody do wanny. Pomimo kłopotów z wstaniem, wślizgnąłem się do ciepłej wody, ale ulgi żadnej nie poczułem. Szybko umyłem się, potem powoli ubrałem i siadając na krześle, zadzwoniłem po córkę.

Nie było wyjścia, trzeba jechać do szpitala. Skręcona kostka nabrzmiała jak balon. Nie namyślając się, sięgnąłem za szafę, za którą leżał kij na flagę. Zabrałem go jako laskę do podpierania. Mogłem już, chociaż z problemami, przyjąć postawę stojącą i oprzeć ciężar ciała na prawej nodze. Po trzydziestu minutach jazdy dotarliśmy do szpitala wojewódzkiego w Bielsku-Białej. Tego dnia, jakby na złość, sporo osób siedziało w izbie przyjęć. Dołączyłem do oczekujących zaraz po zarejestrowaniu. Usiedziałem jakoś na krześle, czekając na przyjęcie, może około jednej godziny, co i tak wydawało mi się rekordem, jak na polskie warunki. Wreszcie po długo wyczekiwanym czasie otworzyły się drzwi ambulatorium i mogłem wejść. Lekarz bez zastanowienia skierował mnie na prześwietlenie nogi i lędźwiowego odcinka kręgosłupa. Grzecznie poczekałem na wywołanie super zdjęcia rentgenowskiego i z wynikiem pokuśtykałem z powrotem do lekarza. Musiałem odczekać oczywiście znów na swoją kolej. Doktor przyjmował tych, co byli przede mną. W końcu uradowany z bólem usiadłem na krześle, a klisza powędrowała na podświetlaną tablicę. Lekarz tylko zerknął i już zrobił się szum. Diagnoza była fatalna. Kompresyjne złamanie podstawy jednego z kręgów lędźwiowych. Bez namysłu popłynęły jego stanowcze polecenia do stojącego obok sanitariusza, które powaliły mnie. Deska i łóżko od razu znalazły się obok mnie oraz skierowanie na tomografię komputerową dla potwierdzenia rozmiarów

złamania.

Dalej wszystko działo się szybko. Po pół godzinie pielęgniarz wwoził mnie na jedną z sal oddziału ortopedycznego na czwartym piętrze szpitala. Sala znajdowała się niedaleko głównego korytarza. Minęło zaledwie dziesięć lat od ostatniego pobytu w takim ośrodku, a znów zaszczyliłem jego progi. Cholernie bolały mnie plecy i noga. Jakoś przelazłem na łóżko, które stało się moim docelowym domem. W pokoju oprócz mnie leżał jeszcze jeden pacjent. Przywitaliśmy się i zapanowała cisza, ale tylko na chwilę. Potem przyszła pielęgniarka, jedna, druga. To dane, to pobieranie krwi na badanie, to znów jeszcze coś innego. Potem był już sobotni wieczór. Sąsiad, jak się okazało, był telemaniakiem. Na szczęście w sukurs przyszła pielęgniarka, obdarowując mnie dobrym lekiem nasennym i przeciwbólowym. Spałem trzy godziny i to było na tyle. Działanie leków szybko ustąpiło.

Pocieszałem się, że jutro będzie lepiej. Nie było. Dostarczono mi nielatającą kaczkę i uświadomiono, że muszę leżeć. Leżałem tak do środy z jednym marzeniem: o pójściu samodzielnie do ubikacji. Zmniejszyłem racje żywieniowe, aby nie borykać się z koniecznością użytkowania basenu. We wtorek wieczorem przyszedł do mnie super specjalista, konsultant z Piekar. Piekary miały swój renomowany szpital i zrobiło mi się lżej, kiedy w rozmowie ze mną zaproponował mi gorset na dwa miesiące, zamiast operacji, która, jak uważał, mogłaby wyrządzić szkodę, a to przez to, że niosła ze sobą ryzyko, jak każda interwencja chirurgiczna. Kręgosłup to kręgosłup.

We środę rehabilitantki po porannej wizycie przyniosły mi ów gorset i po naradzie lekarskiej mogłem opuścić szpital o własnych siłach, zupełnie tak, jak przyszedłem, tyle że o kulach. Byłem szczęśliwy, kiedy żona przywiozła moje ubranie i mogłem się uwolnić od telewizyjnego oglądacza. Wróciłem na stare śmieci do domu, ze zwolnieniem L4 do osiemnastego października.

Tak zakończył się, albo raczej rozpoczął, mój lot z jabłoni. Lądowiska jak na razie nie zobaczyłem. W domu poczułem się wyraźnie lepiej. Z gorsetem spacerowałem do ubikacji, do kuchni i z powrotem do łóżka. Kontakt ze światem nie stanowił problemu. Na kolanach lekko podgiętych pojawił się laptop połączony ze światem za pomocą sieci wi-fi. Przez pierwsze dni po powrocie ze szpitala więcej słuchałem radia. Kilka książek wylądowało na stoliku obok rogowki, która stała się moim dziennym gabinetem. Pierwszego dnia domowego więzienia przypomniałem sobie ten nieszczęsny sen i nagle, jakbym dotarł do jego sedna albo raczej do jednego z trzonów, które zostały zwiastowane pamiętnej nocy. Cieszyłem się jednak z na pozór szczęśliwego obrotu sprawy. Brakowało mi w tym jeszcze czegoś, wytrwale szukałem myślami tego ogniwa. Wertowałem pamięć w jedną i w drugą stronę, aż wreszcie znalazłem. Początkowo nie chciałem się przyznać przed sobą, jednak im bardziej upływał czas, tym więcej upewniałem się, czego mi

brakowało. Nie było to jednak coś, a raczej ktoś. Marta, właśnie ona wplątała się w wir mojego życia, które jakby powoli dźwigało się ze stagnacji, a zrobiła to swoją niespotykaną afirmacją życia, dźwigając się z upadku, z którego większość ludzi miałaby kłopoty wyjść. Słowo wyjść nie określało jej przypadku w sposób właściwy, ona nie wyszła, ale wyfrunęła nad swoje, powiedzmy prawdę, inwalidztwo.

Gdzie w tym wszystkim byłem ja? Pracowałem, miałem wspaniałą rodzinę, żonę, dzieci, wnuki, dom, pasję i jeszcze dreptałem w miejscu, czując się obrażony na świat, że mi czegoś poskąpił. Jakże wtedy właśnie wydawałem się marnym człowiekiem, „artystą” od siedmiu boleści na jej tle. Pozazdrościłem jej wewnętrznej siły do walki z przeciwnościami losu.

Dlaczego nie wymieniliśmy się telefonami? Doskwierał mi brak takiej opcji w naszej relacji. Zostawał jeszcze komputer i oczywiście Internet — pomyślałem i tak też zrobiłem. Wszedłem na konto pocztowe, ale ku mojemu zdziwieniu w skrzynce zapchanej wiadomościami od sześciu dni nie znalazłem listu od Marty. Zasmuciłem się, ale nie dawałem za wygraną. Może czeka na moją wiadomość? Zacząłem pisać.

PIERWSZE TYGODNIE W DOMU

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 3 październik 2013 9:58 Do: marta.zywiec@wp.pl Temat: Gdzie jesteś?

Gdzie jesteś Marto? — pytam pustej przestrzeni wokół mnie. Nie mam listu, nie mogę wsiąść do pociągu, samego siebie też gdzieś podziałem. Szukam we wspomnieniach, czy coś przeoczyłem z naszych rozmów. Przeczytałem kolejne listy od ciebie i nic, ale to „nic” nie uspokoiło mojego serca. Wiem, wyjechałaś. Powiedz, dlaczego nie mamy do siebie telefonów. Brakuje mi rozmów o wszystkim i o niczym. Daj znać chociaż, co robisz.

Jestem bezradny wobec twojej ciszy. Pozdrawiam i czekam.

Bronisław

Nic nie wspomniałem o zaistniałym wypadku. Nie chciałem jej denerwować swoim stanem zdrowia i nagle pomyślałem, że ona także mogła tak zrobić. Musiałem się uzbroić w cierpliwość, aby wszystko wyjaśnił czas. To jedyna cecha, którą od kilku lat szlifowałem, doprowadzając do jakiejś tam doskonałości.

W innych cechach wyraźnie rozpoznawałem duże braki. Czulem, że dostałem od Najwyższego kolejną szansę i czas na realizację moich życiowych planów. Początkowo nie wiedziałem, od czego mam rozpocząć moją koedukację w lepszym realizowaniu siebie samego jako człowieka, marnego artysty, męża, ojca i dziadka. Wszystkiemu musiałem się przyjrzeć z perspektywy, z pewnej odległości, abym mógł zrozumieć i określić priorytety mojego życia. W to wszystko wpisywała się Marta. Prędzej czy później z pewnością napisze — pocieszałem się.

Szybko policzyłem na palcach moje niedokończone projekty. Nie było ich dużo, raczej palców starczyło z jednej tylko dłoni. Ostatni tomik wierszy wydałem w 2010 roku. Obecnie jest 2013 i tylko kilka wierszy w zapowiadany kiedyś w eterze radia Anioł Beskidów nowym tomiku pt. „Święta polskie”. Musiałem dobrą chwilę się zastanowić nad tym, gdzie właściwie znajdują się te wiersze i cały ten niedokończony cykl. Przeszukałem wszystkie foldery z plikami i tekstami Worda.

Już właściwie zrezygnowałem, myśląc o kolejnym rozpoczęciu wszystkiego od nowa, kiedy przypomniałem sobie, że przed re-instalacją systemu w laptopie zrobiłem szereg kopii na płytach CD. Zapiąłem gorset i jakoś dotarłem do szafki pod telewizorem, gdzie mieścił się cały arsenał elektronicznych nośników wszystkich danych, jakie posiadałem. Archiwa okazały się wybawieniem. Na jednej z płyt odnalazłem zaginione prace. Chwała elektronice — pomyślałem, kopiując plik na pulpit komputera. Od tej chwili codziennie powiększałem tekst o kolejne przemyślenia. Lądowały jak latające talerze, bezszelestnie sfruwając z wyobraźni, którą dał mi sam Stwórca. Każdego dnia przybywało wierszy i każdego dnia czytałem je od nowa, wprowadzając niezbędne poprawki, które sprawiały, że treści, jakie chciałem przekazać, nabierały właściwego znaczenia. Ciągle jednak coś mi w nich nie pasowało. W wolnych chwilach wracałem do sztuki teatralnej „Trzy pokoje”. Ona także nie wytrzymała czasu. Słowa, które jeszcze rok temu wydawały się dobre, pasujące do swojego miejsca, teraz jakby nagle stawały się obce i niezrozumiałe. Wymieniałem je, wywalałem z tekstu, kasowałem dialogi, wszystko po to, aby osiągnąć nowy, lepszy cel. Zbliżałem się do niego w każdym ułamku sekundy, godziny i mijających dni, a on się oddalał i oddalał.

Przed osiemnastym października treść obu moich projektów wydawała się więcej niż zadowalająca. Dostałem jakiegoś prawdziwego kopa, który popchnął mnie w mojej twórczości do przodu. Skoro wszystko nabrało barw, postanowiłem wrócić do rozmowy z Wydziałem Kultury w Urzędzie Miejskim w Bielsku-Białej odnośnie wydania tomiku wierszy promowanym przez tenże urząd. Otworzyłem pocztę i napisałem.

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 22 październik 2013 17:08

Do: sztuka@um.bielsko.pl

Temat: Dotyczy możliwości wydania tomiku poezji

Witam ciepło i serdecznie!

Nawiązując do ubiegłorocznej rozmowy, chciałbym zapytać, czy w dalszym ciągu istnieje możliwość wydania tomiku wierszy pod patronatem Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego w Bielsku-Białej? Właśnie ukończyłem pisanie kolejnego zbioru. Mam też drugie pytanie: czy razem z wierszami (oczywiście, jeśli tekst spełni odpowiedni próg jakościowy, poddany odpowiedniej redakcji, recenzji i sprawdzeniu pod względem merytorycznym, fachowym) byłaby możliwość zamieszczenia tekstu sztuki pięcioaktowej dotyczącej w swojej treści naszego miasta? To historia zasłyszana w szpitalnej sali, gdzie latem 1981 roku spędziłem półtora miesiąca, leżąc na wyciągu. Oczywiście została ona przerobiona dla potrzeb scenicznych. Opisuje historię trzech rodzin mieszkających w poniemieckiej kamienicy, ich wzajemne relacje, powstające na tle ważnych wydarzeń historycznych.

Bardzo prosiłbym o przesłanie informacji, jakie muszę spełnić wymagania. Obecnie w wyniku nieszczęśliwego wypadku przebywam w domu. Uraz spowodowany moją nieostrożnością przykuł mnie na kilka tygodni do łóżka, co jednak dało mi czas na dokończenie niektórych autorskich projektów.

Z poważaniem

Bronisław Chrobak

Po skończeniu redagowania tekstu przeczytałem jeszcze raz całą wiadomość. Wydawała mi się dobrze napisana. Najechałem myszką na napis wyślij i wszystko szybciotko znalazło się na serwerze urzędu. Wróciłem zadowolony do swoich spraw.

Od ostatniego maila Marty minęło już prawie cztery tygodnie. Byłem w tej materii zupełnie bezradny. Nie mogłem nic zrobić uwiązany do łóżka i mieszkania. Musiałem zdać się na los. To prawda, że codziennie sprawdzałem pocztę, żyjąc ciągle nadzieją na znalezienie wśród sterty listów tego jednego, marta.zywiec@wp.pl. Momentami pojawiał się niepokój, szarpał wewnętrznosciami i przyśpieszał bicie serca. Po czym wszystko wyciszało się i milkło. Zaczęłem zastanawiać się, czy ja w ogóle ją spotkałem. Poddawałem w wątpliwość wszystko, co się wydarzyło we wrześniu, ale kiedy przechodziłem do kuchni przez duży pokój, rzucał mi się prosto w oczy jej wspaniały obraz przedstawiający moment stworzenia Adama. Wyglądało na to, że i ja otrzymałem wraz z tym płótnem

życiodajny zastrzyk energii, uruchamiający zastygłe zasoby twórczej potencji potrzebnej mi do stworzenia nowych kombinacji słów, scen, biografii. Ten zastrzyk pochodził wprost od Niego. On wszystko już wymyślił w całym tym zgiełku świata, a ja tylko stałem się jego ręką, ukazując to, co było zakryte. Wiedziałem o tym, patrząc na otaczających mnie ludzi, którzy codziennie wynurzali na światło dzienne wspaniałe pomysły, chlubiąc się nimi jako stwórcy, choć nimi jednak w rzeczywistości nie byli. Stawali się zaledwie plagiatem prawdziwego mistrza, którego w żaden sposób nie ogarniali. Przypisywali sobie chwałę mocy twórczej, której by nie mieli, której by nie otrzymali bez jego udziału. Ja, Bronisław, czułem się wdzięczny Jemu za okazaną łaskę bycia tym, kim jestem. Dziękowałem mu za wszystkich ludzi postawionych przez Niego na mojej drodze, abym zrozumiał, dokąd idę i po co stawiam kroki na ziemi, czasem niczyjej, a czasem czyjejs, choć zawsze Jego.

ŚMIERĆ PRZYCHODZI, KIEDY CHCE

Wizyta w poradni chirurgicznej przyniosła mi kolejne pięćdziesiąt sześć dni zwolnienia z pracy. Czas do następnej wizyty wydawał się bardzo odległy. Postanowiłem poszukać w internetowych sklepach nowego czytnika do książek. Przez dwa dni sortowałem wszystkie promocje, jakie pojawiały się w necie. Nie miałem zbyt dużo kasy, ale z grupowego ubezpieczenia PZU otrzymałem niewielką gotówkę za pobyt w szpitalu, więc mogłem poświęcić parę złotych na coś, co bardzo pomogłoby mi w szybszym dostępie do literatury. Nie musiałem za każdym razem wstawać i szukać po półkach odpowiednich woluminów, zwłaszcza że droga do biblioteki na razie została mi zamknięta. Z wielu opcji w końcu wybrałem jedną i zdecydowałem kupić za naprawdę niewielkie pieniądze czytnik mało profesjonalny, ale jak dla mnie wystarczający. Na obecną chwilę na nic innego nie było mnie stać. Vedia K9 po dwóch dniach trafił z firmą kurierską pod moją strzechę. Skopiowałem do jego pamięci może trzysta książek z zepsutego Kindla. Miałem wreszcie coś do czytania. Na czytniku znalazł się także modlitewnik, Katechizm Kościoła Katolickiego, Biblia jako nieodzowna księga każdego chrześcijanina.

We Wszystkich Świętych siedziałem, a raczej leżałem w mieszkaniu na służbowej rogówce. Miałem czas na rozmyślenia. Wspomniałem przy tej okazji właściwie wszystkich, którzy stanęli na mojej drodze i odeszli, jak ostatnio ładnie się mówi: do domu Ojca za Janem Pawłem II, a lista ta z roku na rok robiła się coraz większa. Ten dzień wcale nie jest dniem smutnym. Raczej wychodzę na spotkanie do tych, których darzyłem miłością, z uśmiechem na ustach. Oni przeszli

już ścianę barykady, której my materialni przejść nie możemy i chociaż nie mogą dać nam sygnału, czy jest im dobrze, to każde nasze dobre wspomnienie budzi ich z pewnością do życia i przyciąga na ziemię. Złe wspomnienia są jak ostrze strzały. Ranią ich i czynią szkody w naszej duszy, nie mogącej się oczyścić przebaczeniem. Ten, który nie potrafi przebaczyć, staje się ofiarą zła, które go dotknęło i przejęło nad nim swoje władanie i kontrolę. Nienawiść bywa ślepa, pozbawia nas człowieczeństwa, które powinno być naturalną esencją każdego żyjącego na Ziemi, naszej i Jego. Dotyka nas ociemniałość, a tymczasem prawdziwie niewidomi i głusi bardziej zasługują na miano bycia człowiekiem.

Nie mogłem nie wspomnieć i o Marcie. Minął już dokładnie miesiąc. Może nie ma już ochoty na rozmowę ze mną i wycofała się z tej znajomości, ale mogła przecież napisać: KONIEC. Nie napisała, a jeśli nie napisała, to dlaczego? Czym skutkuje ten brak wpisu? Jest chora albo coś się jej stało, tylko jak to sprawdzić, skoro jestem uziemiony? Uświadomiłem sobie, że ja przecież nie znam nawet jej nazwiska. Nigdy jej nie zapytałem o tak oczywistą sprawę. Niepokój cały czas mi towarzyszył i podwajał się, gdy tylko moje myśli wędrowały w jej stronę.

W niedzielę oglądałem pogrzeb Tadeusza Mazowieckiego, a potem potwornie się nudziłem do samego wieczora.

Następnego dnia w poniedziałek listonosz przyniósł list z Urzędu Miejskiego.

Pan Bronisław

W związku z otrzymanym pismem drogą e-mailową z dnia 22.10.2013 r. dotyczącym prośby dofinansowania wydania tomiku poezji, uprzejmie proszę o dostarczenie do wglądu tekstu wierszy oraz dwóch recenzji autorytetu literackiego. Może to być krytyk literacki, jak również profesor wyższej uczelni, gdyż jest to wymóg niezbędny przy wydawaniu tomików przez Miasto Bielsko-Biała. Po otrzymaniu pozytywnych recenzji oraz zatwierdzeniu budżetu Miasta przez Radę Miejską na rok 2014 istnieje możliwość druku ww. książki z tekstami wierszy po wcześniejszym uzgodnieniu szczegółów.

Z poważaniem

Kierownik Wydziału Kultury i Sztuki

Ucieszyłem się, czytając list. Miałem już swoją wizję całego tomiku, ale najważniejszą sprawą była recenzja. W najbliższym czasie musiałem się zająć poszukiwaniem recenzentów. Inna sprawa, że nie wiedziałem, gdzie. Nadmiar czasu zaowocował kolejnym projektem. Postanowiłem wrócić do pisania prozy.

Rozpierała mnie energia, może zamiast, jak zwykle, kierować się w stronę materialnego ciała, z uwagi na jego nietolerancję ruchową spowodowaną wypadkiem, przekierowana została na inny poziom, bardziej zmysłowy.

Po południu, przeglądając pocztę, zobaczyłem wiadomość, którą z początku uznałem za spam, ale po przyjrzeniu się nadawcy postanowiłem otworzyć i przeczytać.

Od: judyta.zywber.malicka@wp.pl

Data: 4 listopad 2013 08:06

Do: bronislawm@poczta.onet.pl

Temat: Ważne

Nazywam się Judyta Zywber-Malicka. Jestem siostrą Marty. Chciałabym się z panem spotkać. Proszę się ze mną skontaktować. Mój telefon 3285372367.

Z poważaniem

Judyta Zywber-Malicka

Serce mi zadygotało z przerażenia. Musiało się coś stać — pomyślałem. Zawsze człowiek myśli o najgorszym. Może jest inaczej? Nie miałem czasu na zastanawianie się, co, skąd, dlaczego. Sięgnąłem po słuchawkę telefonu stacjonarnego i wykręciłem podany numer. Sygnał miarowo i jednostajnie pulsował swoim dźwiękiem w uszach. Widocznie ktoś rozmawiał po drugiej stronie albo słuchawka została odłożona, co raczej było mniej prawdopodobne. Postanowiłem spróbować za chwilę. Spojrzałem jeszcze raz na adresata wiadomości. Bez wątplenia nazwisko, zwłaszcza jego pierwszy człon, było żydowskie. Samo imię Judyta oznaczało przecież żydówkę. Czyżby Marta nazywała się Zywber? Patrzyłem jak mijają minuty i znów postanowiłem zadzwonić.

Tym razem ktoś podniósł słuchawkę.

— Dzień dobry. Moje nazwisko Chrobak — rozpocząłem nerwowym głosem.

— Dzień dobry panu — odezwał się dźwięczny, trochę dziewczęcy, ale bardzo miły głos z drugiej strony słuchawki. — Mam smutną wiadomość — umilkła na chwilę, a mnie zaparło dech w piersiach. — Moja siostra nie żyje.

Coś we mnie pękło. Zacisnęło się gardło i do oczu zaczęły napływać łzy. Poczulem, jak moja dłoń mocno zaciska się wokół słuchawki. Zapanowało milczenie po obu stronach. W myślach zobaczyłem Martę, jak siedzi na siedzeniu w cukierni i ściąga czarne okulary, a niebieskie oczy z żalem bezkierunkowo patrzą

przed siebie i mnie nie mogą dojrzeć. Po kilku chwilach wróciłem do rzeczywistości. Leżałem ze słuchawką przy uchu i nie mogłem uwierzyć w usłyszane słowa. Chociaż lęk przez cały miesiąc dopadał mnie, to jednak nie przypuszczałem, że nastąpi taki tragiczny finał mojej znajomości z Martą...

— Jak to się stało? — zapytałem cichym, ledwie słyszalnym szeptem.

— Tlenek węgla — usłyszałem dwa wymowne słowa. — Ten cichy zabójca dopadł ją w czasie kąpieli. Jest mi przykro — rozplakała się.

— Proszę przyjąć szczere wyrazy współczucia — wymamrotałem do słuchawki, zaciskając przy tym swoje usta.

— Proszę mi wybaczyć, ale to nie jest rozmowa na telefon. Czy mogłabym się z panem spotkać?

— Oczywiście — od razu odpowiedziałem — ale jest problem. Uszkodziłem sobie kręgosłup i przebywam w domu na L4. Nie bardzo jeszcze chodzę, bo to świeża sprawa.

— Rozumiem.

— Jeśli pani może do mnie przyjechać, zapraszam.

— Mogę przyjechać jutro — oznajmiła już spokojnie. — Pogrzeb i tak już się odbył — dodała po jakiejś chwili.

— I tak nie mógłbym przyjechać. Porozmawiamy jutro. Podam tylko adres. Wie pani, gdzie leżą Łodygowice?

— Mam GPS, proszę podać ulicę, postaram się być u pana jutro o dziesiątej godzinie.

Podaliśmy jej adres i rozłączyliśmy się. Nim wszystko dotarło do mnie, oblałem się zimnym potem i popadłem w totalne odrętwienie. Nasuwało mi się tylko jedno pytanie — dlaczego? Co Bóg chciał przez tę bezsensowną śmierć osiągnąć? Przypomniałem sobie słowa psalmu „Obracasz w proch człowieka”. Tak najzwyczajniej, po prostu ciach i nic. Nagle ciało staje się zupełnie bezużytecznym przedmiotem. Takich śmierci na świecie są miliony. Jasne, przemijanie jest smutne, zwłaszcza że się wie, iż jest nieodwracalne w tym wymiarze czasu. Jak może tak być, że jej nie zobaczę siedzącej w wagonie z bladą twarzą, promieniującą witalną energią? Każdy z nas staje się mądrzejszy o nowe doświadczenie w tym jednym momencie swojego życia, ale ja nie wiedziałem: płakać czy się buntować? Refleksja przyszła sama, chyba jeszcze lepiej będę przeżywał dni swojego życia, które jeszcze pozostały. Każdy powinien dobrem się wypełnić — czy to właśnie nie powinno przynosić radości? Każda śmierć zmusza do zastanowienia. Do nas należy decyzja, czy wyciągniemy z tego wnioski. Wysiłek włożony w dobre życie musi zostawić ślady na świecie, zaowocować w ludzkich sercach. Z wy siłku „pracy rąk naszych”, którym nie tylko budujemy przemijający świat, ale mamy udział w niepojętym dziele stworzenia, rodzimy wyjątkowe dobro. Uświadomiłem sobie, że z naszej przemijalności Bóg tworzy ostateczny kształt zamierzonego

przez siebie wszechświata. Marta już mi umknęła, wysiadając bezpowrotnie z pociągu relacji Bielsko-Biała Północ — Łodygowice Górne.

Powróciło znów uporczywie to samo pytanie: do czego Bóg nas i naszego cholernego wysiłku oraz trudu potrzebuje? Czynimy sobie ziemię poddaną wedle jego słów, budujemy, stwarzamy, malujemy jak Marta, piszemy jak ja, wypełniając Jego program bezwarunkowo i posłusznie. Do czego? Może chodzi w tym wszystkim o to, abyśmy mimo wszystko nie stracili z oczu dobra, a czymże ono jest w istocie przemijania materii tego świata? Jak dowieść, że dobro nie przemija, a zło umiera, skoro obie te relacje ciągle egzystują wokół nas i dobrze się mają od samego początku ewolucji.

Oczywiście podsycaamy je sami. No tak, grzech pierworodny.

Pogrążony w smutku podążyłem ścieżkami rozmyślań, aby chociaż na chwilę oddalić żal, który mnie ogarnął. Od kilku dobrych chwil plotłem jakieś głupoty, z którymi mogłem się nawet nie zgadzać, ale czymś musiałem wypełnić chwile zwykłej rozpaczy. Nie mogłem się pogodzić, że jej już nie ma, zwłaszcza kiedy moje spojrzenie grzęzło utkwione w obrazie wiszącym na ścianie. Z pewnością już spotkała Boga oko w oko. Nagła śmierć zawsze trudna jest do zaakceptowania dla bliskich, o ile my jako ludzie możemy zaakceptować ją kiedykolwiek, zaakceptować jej nieodwracalność. To tak, jakby się poddać bez walki. Zawsze przychodzi nie w czas, nie w porę i nigdy chyba nie jest oczekiwana. Może tylko kiedy cierpimy ponad granice własnych możliwości? Skakanie po pojawiających się myślach powoli zagnieźdżało we mnie upragniony spokój i równowagę. Potrzebowałem go ponad wszystko. Zacząłem się godzić z Jego wolą i jej odejściem. Na resztę szczegółów musiałem poczekać do jutra sam ze swoim żalem i smutkiem.

SPOTKANIE Z JUDYTĄ

Piąty listopada zapanował już na dobre w kalendarzu. Ja, niestety, dopiero o dziewiątej, na godzinę przed wizytą siostry Marty, dźwignąłem swoje ciało z łóżka. Posprzątałem szklanki i talerze ze stołu, które nagromadziły się od wczorajszego dnia i pokuśtykałem do łazienki. Kostka dawała mi się jeszcze we znaki. Nawet kręgosłup z założonym gorsetem nie stwarzał tyle problemów przy chodzeniu, co właśnie ona. Oddałem już kule i musiałem sobie radzić bez nich. Ogoliłem się jak przystało na faceta mającego sporo czasu, a chcącego jakoś się zaprezentować podczas wizyty. Leżąc jeszcze w łóżku, odmówiłem różaniec za duszę Marty, tu na Ziemi tylko tyle mogłem dla niej zrobić. Trudno jest zaakceptować życie, w którym już nie ma bliskiej osoby. Być może jej siostra rzuci

jakieś nowe światło, które wyjaśni całą tragedię.

O dziesiątej zadzwonił dzwonek. Chcąc nie chcąc, musiałem się pofatygować po schodach na sam dół, aby otworzyć drzwi wejściowe. Oprócz mnie w domu nie było nikogo. Przekręciłem zamek i zobaczyłem młodą kobietę do złudzenia przypominającą Martę, może tylko nos i układ warg był trochę inny, ale rysy pozostałej części twarzy niezbitnie świadczyły o ich pokrewieństwie...

— Dzień dobry — przywitałem się — zapraszam do środka.

— Dzień dobry — odpowiedziała, wchodząc na klatkę schodową. Spojrzała na leżące kapcie i od razu ściągnęła buty, zakładając ciepłe bambosze. — Dzisiaj brzydki dzień, lepiej zmienię buty, bo mogłabym nabrudzić.

— Oczywiście, proszę, i zapraszam na górę do pokoju.

— Jest pan taki, jak opisywała mi Marta — stwierdziła, wchodząc po schodach.

— A jak ona mnie opisywała? — zapytałem zaskoczony.

— Ona miała nieprzeciętny dar, mogła opisywać coś, czego nie widziała.

— Zapraszam dalej, proszę usiąść — zaproponowałem.

— Często z Martą rozmawialiśmy o panu. Stała się zupełnie inna od chwili, kiedy pana poznała.

— Napije się pani czegoś? — zaproponowałem, pełniąc rolę gospodarza, w końcu o tej porze byłem jedynym mieszkańcem domu i nikt mnie nie mógł wyręczyć.

— Bardzo proszę o kawę, jeśli można to rozpuszczalną ze śmietanką.

Zniknąłem na kilka chwil w kuchni. Wodę miałem już gorącą, szybko się zagotowała, zaraz po tym zalałem kawę i zabrałem filiżankę z cukierniczką do pokoju. Judyta siedziała na skraju rogowki. Naprawdę podobna była do siostry.

— Proszę — powiedziałem, stawiając na stoliku filiżankę.

— Dziękuję — odparła, sięgając po cukier. — Wiem, że Marta bardzo ceniła sobie znajomość z panem i darzyła ogromną sympatią. Obie czytałyśmy pana powieści i wiersze.

— Jak do tego doszło? — zapytałem, od razu starając się wyciągnąć jak najwięcej informacji.

— A, tak... Wróciłyśmy z Martą w połowie października z Mazur. Zawiozłam ją do Żywca i pomogłam jeszcze się rozpakować. Wypiłyśmy po herbacie. Niestety, musiałam się spieszyć z powrotem do dziecka. Wszystko było fajnie. Wypoczęłyśmy i Marta wracała z ogromną walizką pomysłów. Pierwsze, co mówiła, że zrobi po przyjeździe, to wykąpie się i napisze do pana list. Koniecznie chciała podać swój numer telefonu, żeby więcej się nie martwić, a martwiła się na wyjeździe, co też u pana słyhać. Nie dawała mi żyć, żebyśmy pojechały do jakiejś kafejki internetowej, a ja jej odpowiedziałam, przecież to tylko dwa tygodnie. Potem to jeszcze tydzień. Teraz to już stała się wieczność.

— Możemy przejść na ty? — zapytałem, zmęczony powtarzającym się słowem pan.

— Judyta — przedstawiła się raz jeszcze, tak jakbym nie znał jej imienia.

— Ja nie muszę się przedstawiać, skoro czytałaś moje książki — zasugerowałem.

— Oczywiście — przytaknęła.

— Codziennie zaglądałem do programu poczty internetowej i coraz bardziej się denerwowałem i martwiłem.

— Jak się pan czuje? — zapytała, patrząc na mój gorset.

— Miało być bez pana. Nie jest źle, zobaczymy po miesiącu przy okazji następnych badań.

— A mówiła mi, że się jej źle śniło, może to było z końcem września. Teraz biedna już leży przysypana ziemią.

— Niczego nie zmienimy, jeśli się już wydarzyło. Jak odkryliście, że nie żyje?

— Wróciłam do domu, wykapałam dziecko, potem z mężem wzięliśmy prysznic i postanowiłam zadzwonić do niej, czy już leży w łóżku. Była zmęczona podróżą i całym tym wypoczynkiem. Trudno jest osobie niewidomej przyzwyczać się do nowego miejsca od razu. Ciągle czyhały na nią nowe przeszkody i niespodzianki. Więc zadzwoniłam, ale nikt nie odbierał. Pomyślałam, że może jeszcze się kąpie. Po trzydziestu minutach wykonałam drugi telefon, nic. Zadzwoniłam do jej koleżanki, która mieszkała bardzo blisko. Oddzwoniła po chwili, że nikt nie otwiera. Zdenerwowałam się i przestraszyłam. Koleżanka nie miała jeszcze kluczy, Marta miała jej dać następnego dnia. Nie zdążyła... W końcu jeszcze jeden klucz był u starszej pani, sąsiadki. Otworzyły mieszkanie i znalazły ją w wannie. Wezwały pogotowie, a potem policję. W karetce akurat był lekarz, ale mimo podjętej reanimacji, zmarła. Mieszkanie stało zaplombowane może z tydzień. Stwierdzono niedrożność przewodów wentylacyjnych, która doprowadziła do zaccadzenia. Dopiero niedawno po pogrzebie zebrałam się na odwagę i weszłam do mieszkania siostry. Posprzątałam cały bałagan i włączyłam jej komputer. Dobrze, że potrafiłam go obsługiwać. Tam znalazłam twój adres i postanowiłam napisać, choć serce mi się krajało.

— Czekałem na list od niej ponad miesiąc i nie doczekałem się... Cholernie mi jej brak. Nasze rozmowy dawały mi wiele sił i uczyły patrzeć na życie bardziej radośnie, przyjmować nawet pozornie złe chwile jako zadanie, które ma mnie czegoś nauczyć, a z każdego ofiarowanego dnia po prostu się cieszyć.

— Marta była taka od dziecka. Do tego miała talent do malowania.

— I co z tego teraz?

— Proszę tak nie mówić. Ostatnie jej dzieła zostały wystawione w Museum of Modern Art w Manhatanie w Nowym Jorku.

— Manhatanie?

— Nie wiedziałeś? — zdziwiła się. — Nie powiedziała ci o tym?

— Nie — stwierdziłem — nic a nic.

— Nawet w gazetach pisano, ale to było na wiosnę tego roku.

Mamy w Stanach rodzinę, jesteście z pochodzenia Żydówkami.

— To akurat wiem, powiedziała mi o tym.

— Mamy tam dużą rodzinę, chociaż od czasu, kiedy zostałyśmy katoliczkami, część tamtej rodziny przestała utrzymywać z nami kontakty. Nasz wujek, który miał znajomości w świecie artystycznym, przyjechał dwa lata temu do Polski i odwiedził nas. Szczególnie chodziło mu o odnalezienie grobów dziadków i bliskich znajomych. Jako że był też koneserem malarstwa, a słyszał o talencie Marty, odwiedził ją. Naprawdę przeżył szok. Niewątpliwie znał się na tej sztuce, bo w przeciągu roku zorganizował jej wystawę we wspomnianym Manhatanie, a to kosztuje ogromne pieniądze.

— Nawet słowem nie wspomniała, dlaczego? — zapytałem zdruzgotany. — Jak można się nie pochwalić takim osiągnięciem? Dlaczego?

— Nie wiem, może nie chciała błyszczeć przy tobie, może chciała być zwykłą kobietą. Wystawa miała tytuł „Noc jest dniem” i prawie cały miesiąc przyciągała uwagę nowojorczyków. Odniosła niebывały sukces.

— Czym ujęła znawców malarstwa? — zaciekawilem się bardziej.

— Na wystawie zaprezentowano kilkanaście prac, które powstały tuż po ukończeniu Akademii, jak i ostatnie jej prace, kiedy już nie widziała świata własnymi oczyma.

— Jak to możliwe — zdziwiłem się. — Malowała, nie widząc? — wycedziłem.

— Tak ukochała swoją pasję, że nawet, kiedy Bóg odebrał jej wzrok, nie zaprzestała wykonywać swoich ulubionych prac, wkładając w ich powstanie nie tylko serce, ale i całą duszę, swoje jestestwo, które przecież otrzymała od Niego.

— Niesamowite, niemożliwe — tylko tyle przychodziło mi do głowy.

— Znalazł się jakiś kolekcjoner i zaoferował ogromne pieniądze za jej obrazy. Była w Stanach ponad dwa miesiące i wiesz, co zrobiła?

— Sprzedała je wszystkie?

— Nie, sprzedała tylko te stare.

— Niemożliwe, żeby znaleźć tak łatwo nabywcę, ale to wspaniale — ucieszyłem się, przyjmując sprzedaż za prawdziwy życiowy jej sukces.

— Tak, ale wszystkie, no prawie wszystkie pieniądze przekazała na cele charytatywne. Mówiła, że ma jeszcze ręce zdrowe i patrzące na świat zakryte oczy, że jeżeli Bóg ją wyniósł na piedestał, pragnie mu wszystko oddać. Pamiętam jak dzisiaj, mówiła, że człowiek, dążąc do pomyślności, próbuje opierać się na własnym systemie zabezpieczeń i wartości, a ten zaś, jeśli nie jest zgodny z wolą

Boga, może stać się zawodny. Próżne byłoby w tym wypadku całe jej staranie.

— Boże, co ona wymyśliła, jest niesamowita, jeszcze bardziej po śmierci — wtrąciłem — pokazuje nam drogę, jaką najlepiej kroczyć przez życie.

— Przyszłam tutaj, bo mam dla ciebie list, który napisała na Mazurach. Jest pisany jej ręką i włożony do koperty. Pierwsze chciała, abym wysłała go mailem, ale potem zrezygnowała i schowała kartkę do walizki. Znalazłam ją, więc oddaję do twoich rąk.

Nie czytałam i nie wiem, co w nim jest.

Wydobyła z torebki kopertę, na której długopisem napisane zostało tylko moje imię. Położyła ją na stoliku i popatrzyła na mnie.

— Jeszcze jest sprawa testamentu, który przed wyjazdem złożyła u notariusza mecenasa Góreckiego. Dzwonił do mnie, że pojutrze zostanie otworzony i przeczytany. Prosił, abym cię odszukała, ponieważ pojawiło się twoje nazwisko. A tutaj na pendrivie masz jakieś jej opowiadanie, którym chciała się z tobą podzielić. Ciągle nam o nim mówiła. Obok koperty zostawiam adres mecenasa, oczywiście, jeśli możesz przyjść, jeśli nie, wszystko ci przekazemy. To byłoby na tyle. Muszę wracać do domu i dziecka.

— Gdzie została pochowana? — zdążyłem jeszcze zapytać, nim wstała z rogowki.

— Pogrzeb odbył się 26 października na cmentarzu w Żywcu.

Spoczęła we wspólnej mogile z mężem i córeczką.

— Miała męża i córkę?

— Jak to, tego też ci nie powiedziała? — zdziwiła się kolejny raz.

— Pewnie nie chciała, abym wiedział, może miała inne powody — westchnąłem.

— Naprawdę muszę już iść — powiedziała stanowczo.

— Bardzo dziękuję, że mnie odwiedziłaś, i jeszcze raz proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Objąłem ją w geście pożegnania i sprowadziłem po schodach do wyjścia, a później wróciłem i opadłem na fotel porażony wszystkim, co mi przekazała. Jak bardzo mało wiedziałem o Marcie. Moje pojęcie o niej było zaledwie wierzchołkiem ogromnej góry. W końcowej fazie jej wielkiego życia, w którym, borykając się z tak wieloma przeciwnościami losu, postanowiła żyć normalnie, w dosłownym tego słowa znaczeniu, realizując marzenia nie do zrealizowania, myślę, że tym właśnie odnalazła swoje przeznaczenie.

Patrzyłem na kopertę zostawioną na stole przez Judytę. Zastanawiałem się, czy mam po nią sięgnąć i co mnie jeszcze może zaskoczyć, jeśli ją otworzę i przeczytam. Moje wahanie przeciągało się w czasie, w którym emocje powoli zaczęły opadać. Zdałem sobie sprawę z tego, że miałem szczęście poznać kogoś wyjątkowego. Ocierając się o ostatni etap jej życia, nie przypuszczałem, iż stanę się

jego istotnym elementem. Dopiero teraz odczuwałem napływ ogromnej motywującej siły, jaką we mnie zaszczepiła po chwilowej apatii i rezygnacji z artystycznych marzeń, do których należało dążyć, jeśli posiadało się talent podarowany przez Boga.

Sięgnąłem po list i otworzyłem z biciem serca.

LIST OD MARTY

Drogi Bronku,

Brakuje mi Ciebie na tym mazurskim odludziu. Zaszłyta w leśnych ostępach, zostałam pozbawiona dostępu do Internetu. Mam Ci tyle do opowiedzenia, bo tyle jeszcze skrywam tajemnic, że mogłabym obdarzyć nimi kilka ludzkich istnień. Trudno, opowiem o nich za tydzień, jak wrócę do mojego Żywca i po części także do Ciebie. Tutaj, w tej leśnej głuszy, wyobrażam sobie nasze rozmowy i czasem nawet słyszę stukot kół pociągu, który wydaje się łomotać niczym przebudzone do życia serce. Wieczorami Judytka czyta mi objawienia błogosławionej Katarzyny Emmerich. Podobno Mel Gibson oparł się na jej wizjach, tworząc niesamowity obraz męki Pana Jezusa w filmowej „Pasji”. Moją wyobraźnią dosłownie odwiedzałam wszystkie miejsca biblijne, które ożywają we mnie, sprawiając, że moje oczy widziały, znów widziały jak dawniej. Niezwykle barwnie wszystko jest opisane. Dziękowałam Bogu za ten cud, jakiego dostąpiłam tylko słuchając. Słowa objawień powodowały moje naturalne widzenie, chociaż wszystko mijało wraz z nastaniem ciszy. Potrafiłam umiejscowić każdy szczegół, zobaczyć rysy twarzy, że sama nie mogłam w to uwierzyć. Nocami nie mogłam spać i rozmyślałam. Wiesz, Bóg widzi znacznie dalej niż ja, i wie, co jest dla mnie dobre. On daje mi tylko to, co jest najlepsze i konieczne w moim życiu. Dlatego wychowywała mnie babcia, dlatego też spotkałam Ciebie, mogłam przeczytać Twoje wiersze i przemyślenia zawarte w prozie. Wystarczy zaufać. Nielatwa jest ufność, zwłaszcza gdy coś w życiu dzieje się nie po naszej myśli, gdy spotykają nas trudne doświadczenia, a miałam ich bez liku. Czy prosiłam wówczas Boga o pomoc? Czy chciałam, by dał siłę do przyjęcia Jego woli? Czy raczej zadawałam pytanie „dlaczego”, obwiniając Go za mój ból i cierpienie?

Muszę powiedzieć, że nie od razu przyjąłam Jego wolę, z początku buntując się i odrzucając wszystko. Popadałam w odrętwienie, a świat wymykał mi się z rąk, przecież nie byłam do tego stworzona. Trudno pogodzić się z Jego wolą. Gdybym kiedyś w dalekiej lub bliskiej przyszłości umarła, a ty jeszcze będziesz żył, usiądź na moim grobie i przeczytaj mi najpierw swój wiersz z „Przejęcia”, a później odmów kadisza, o którym ci mówiłam, ponieważ ciągle jestem w dziecięcym moim sercu

Żydówką. Cieszę się, że jeszcze tylko tydzień. Jeśli siostra tego listu nie wyśle mailem, wszystko ci opowiem, jak przyjadę. Pozdrawiam ciepło i słonecznie.

Marta

Pisząc te słowa, nie przypuszczała, że będą ostatnimi, jakie do mnie dotrą. Napłynęły mi łzy do oczu. Przeczytałem list raz jeszcze z ogromną uwagą, rozpląkałem się jak dziecko. Nie miałem odwagi zabrać pendriva i włożyć do gniazda USB. Nie miałem dość siły, aby się przełamać. Położyłem go na krawędzi kominka, koło figurki Matki Boskiej z góry Karmel. Poraził mnie natłok nowych informacji i trochę zasmucił, że wszystkiego nie dane mi było usłyszeć z jej ust. Potem znów spojrzałem na list i znów przeczytałem, a po skończeniu pomodliłem się za jej duszę, oddając ją w opiekę Maryi. Wieczorem postanowiłem, mimo urazu i jeszcze doskwierającego bólu kostki, pojechać na otwarcie testamentu Marty. Jej imię, jak sobie przypominam, po hebrajsku znaczy pani domu, gospodyni.

Żona odciągała mnie od tej decyzji, argumentując moją nikłą znajomością ze zmarłą, a w dodatku nie mogłem się narazić jej rodzinie jako zupełnie obcy pretendujący do jakiś profitów. Dziwił mnie w ogóle fakt napisania testamentu przez tak jeszcze młodą osobę, dużo młodszą ode mnie.

TESTAMENT

Wieczorem dwa dni później żona podwiozła mnie do mecenasa Góreckiego, a sama udała się na zakupy. Jego kancelaria mieściła się w jednej z bocznych ulic prowadzących do głównego rynku w Żywcu. Było już bardzo ciemno, odkąd przesunięto czas na zimowy. Wdrapałem się po schodach na pierwsze piętro i stanąłem przed solidnymi drzwiami, na których wisiała złota tabliczka z wygrawerowanym napisem: Kancelaria Notarialna, mecenas Antoni Górecki. Chwyciłem za klamkę, ale drzwi zastałem zamknięte. Zadzwoiłem i zaraz usłyszałem elektroniczne odblokowanie zamka. Wszedłem do przedpokoju, gdzie znajdowało się duże biurko, za którym siedziała miła i sympatyczna pani.

— Pan do odczytania testamentu? — zapytała, uśmiechając się do mnie.

— Tak — oświadczyłem, zbliżając się do biurka.

— Pan mecenas zaprasza, zdaje się, że wszyscy już są i oczekują tylko na pana. To te drzwi z lewej strony — powiedziała, wstając i pokazując mi, które to są, jakbym mógł w jakiś sposób nie trafić do nich.

Otworzyłem drzwi, robiąc kilka kroków przed siebie i tak znalazłem się wewnątrz przestronnego pokoju z dużym biurkiem, wokół którego siedziało już

kilka osób.

— Dobry wieczór wszystkim — przywitałem się.

Rozpoznałem Judytę i dziewczynę, która przysłała po Martę na dworzec w Żywcu. Mężczyzna koło Judyty pewnie był jej mężem. Jedno krzesło było puste i skrzętnie skorzystałem, sadowiac się koło jej siostry. Chwilę siedzieliśmy, po czym do pokoju wszedł raczej grubawy jegomość w szarym garniturze i kolorowym, dość dziwnym krawacie. Usiadł na skórzanym obrotowym fotelu i spojrzał na nas spod opuszczonych na koniec nosa okularów.

— Zebraliśmy się, aby zgodnie z wolą zmarłej Marty Żywber odczytać testament. Osobiście dobrze znałem zmarłą, wielokrotnie odwiedzała moją kancelarię. Na wstępie przeczytałem list, który pozostawiła, a który nie stanowi testamentu. Jako że byłem jej przyjacielem, odczytam treść.

„Jeśli czytane są moje słowa, to znaczy, że moje życie na ziemi dobiegło końca. Po śmierci mojej najbliższej rodziny doszłam do wniosku, że nie znam dnia i godziny, w której i ja mogę odejść od was. Chciałam wam serdecznie podziękować za miłość, którą otrzymałam, kiedy jej najbardziej potrzebowałam na świecie. Byliście przy mnie, znosząc razem ze mną trudy dnia i kiedy jeszcze widziałam świat, i kiedy przestałam go widzieć. Brak łatwego, zwyczajnego spojrzenia, pozwolił mi wyczulić pozostałe zmysły, równie ważne, a zapomniane, oddalane na drugi plan naszego życia, takie jak wrażliwość dotyku, słuchu i wyobraźni. Jestem już po tamtej stronie i cieszę się ze spotkania z naszym Stwórcą, moim mężem i dziećmi. Szczególnie dziękuję mojej siostrze, która była moimi oczyma, moimi dłońmi, rękami, nogami, wstrzykując we mnie przeogromną wolę życia, ponieważ nie żyjemy wyłącznie dla siebie, ale dla wszystkich, którzy nas otaczają, i dla Boga. Przeżyłam swoje życie jak umiałam najlepiej, nieustannie doświadczając miłości, zrozumienia i pomocy.

Jedyną pasję zachowałam nawet wtedy, kiedy wykonywanie jej wydawało się już niemożliwe, dlatego proszę was, abyście nigdy w życiu nie grzebali swoich talentów w ziemi niewidocznej dla innych, a pomnażali je i pokazywali światu w wielokrotnionej ilości, dla chwały pokoleń i Stwórcy, który was powołał do życia. Najważniejsza w życiu jest miłość i ją dalej pielęgnujcie w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen. Do ponownego spotkania, ponieważ noc nigdy nie trwa wiecznie, a dla mnie wręcz stała się dniem. Marta.”

Chwilę panowała cisza. Mecenas schował list do koperty i umieścił w przeźroczystej koszulce. Potem sięgnął po niebieską teczkę. Otworzył ją i zaczął mówić:

— Teraz przystępujemy do odczytania testamentu. Stosownie do przepisu art. 649 § 1 K.p.c. „Sąd albo notariusz otwiera i ogłasza testament, gdy ma dowód śmierci spadkodawcy”. Tym dowodem w praktyce najczęściej będzie akt zgonu przedłożony przez jednego z potencjalnych spadkobierców w celu uregulowania

spraw spadkowych.

AKT NOTARIALNY

Dnia 28.09.2013 roku (dwudziestego szóstego października dwa tysiące trzynastego roku) przede mną, Antonim Góreckim, notariuszem w Żywcu, stawiała się

Marta Zywber, córka Elżbiety i Józefa, ur. 09.03. 1974 roku w Żywcu, PESEL 74030908429 zamieszkała w Żywcu, ul. Myśliwska 80/6, NIP według oświadczenia 224-001-00-00.

Dane osobowe Stawiającego zgodne z dowodem osobistym DHA 234331 wydanym przez Prezydenta Miasta Żywca, ważnym do 01.01. 2017 roku.

TESTAMENT

§ 1

Na wypadek swojej śmierci Stawiający przekazuje na rzecz Judyty Zywber, swojej siostry, ur. 12.03.1978 roku w Żywcu, tytułem zapisu windykacyjnego prawo własności mieszkania położonego w Żywcu, przy ul. Myśliwska 80/6, dla której Sąd Rejonowy w Żywcu prowadzi księgę wieczystą kw nr KA1M/0001234/5 wraz z wyposażeniem.

§ 2

Na wypadek swojej śmierci Stawiający do całości spuścizny malarskiej po sobie powołuje swojego przyjaciela Bronisława Chrobaka, ur. 09.03.1960 roku w Bielsku-Białej pod warunkiem utworzenia stowarzyszenia lub fundacji, której celem będzie pomoc osobom uzdolnionym, a szczególnie dotkniętym przez życie (niewidomym).

§ 3

Na wypadek swojej śmierci Stawiający do całości środków zgromadzonych na koncie osobistym w PKO BP, nr konta w załączniku przekazuje Fundacji Dzieci Afryki krs. nr 0000331212.

§ 4

Koszty sporządzenia ponosi Stawiający.

§ 5

Akt ten przeczytano, przyjęto i podpisano.

Antoni Górecki — notariusz

Marta Zywber

— To wszystko. Dziękuję państwu za wysłuchanie. Czy ktoś z państwa ma

jakieś pytania? Jeśli na razie nie ma pytań, jeszcze raz państwu dziękuję. Mają państwo sześć miesięcy na przyjęcie lub ewentualne odrzucenie spadku. Przyjęcie zobowiązuje do zapłacenia odpowiedniego podatku w Urzędzie Skarbowym. Jeszcze raz dziękuję, do widzenia.

Wszyscy zaczęli wstawać ze swoich miejsc. Nikt nie protestował ani nie wyrażał swoich poglądów, wyglądało to, jakby wszyscy pogodzili się z wolą zmarłej. Zacząłem się zastanawiać, czy podołam obowiązkowi, jaki Marta nałożyła na mnie w swojej ostatniej woli. Nagle stałem się przedłużeniem jej cudownej malarskiej perspektywy, którą nakreślając na swych obrazach, zwłaszcza tych ostatnich, poszerzyła o moją skromną osobę zwykłego mechanika. Raptem miałem się stać jej wyobraźnią i sercem, które zostawiła na ziemi dla ratowania innych dotkniętych przez los ludzi. Ogarnął mnie lęk na samą myśl o aspektach prawnych prowadzenia takiej działalności. Nie miałem żadnych kwalifikacji w tej dziedzinie. Siedziałem zaszokowany, szukając na szybko w myślach rozwiązania, które choć trochę uspokoiłoby moje wnętrze.

— I co pan na to, panie Bronisławie? - usłyszałem nagle głos mecenasa, który wyrwał mnie z uścisku kotłujących się w mojej biednej głowie myśli.

— Jeszcze nie ochłonąłem, ale na pierwszy rzut oka przeważają we mnie negatywne odczucia — wycedziłem zmieszany szukaniem racjonalnej odpowiedzi.

— Niech się pan nie boi — zapewnił szybko. — Jestem gotów panu pomóc od strony prawnej. Tutaj może pan liczyć w stu procentach na mnie. Co do reszty, Marta zawierzyła pańskiej osobie, pewnie mając jakieś powody, których mi niestety nie wyjawiała. Proszę się dobrze zastanowić, będę czekał na telefon.

— Bardzo dziękuję za wsparcie. Z pewnością będę musiał wszystko dobrze przemyśleć.

— Marta była pod pańskim wrażeniem, kiedy odwiedziła mnie we wrześniu. Ona miała niesamowity dar odnajdywania właściwych dla siebie ludzi. Naprawdę, kiedy zobaczy pan jej dzieła, jakie powstały po utracie wzroku, ulegnie nieodpartemu wrażeniu, że powstały cudowne i niepowtarzalne cudeńka. Oczywiście część już została sprzedana jeszcze w Nowym Jorku, ale jest jeszcze kilka w jej zbiorach, a wszystkie będą należały do jej fundacji, którą mam nadzieję poprowadzi właśnie pan.

— Proszę mi wybaczyć, ale naprawdę muszę się nad tym dobrze zastanowić — poinformowałem kolejny raz mecenasa o swoim niezdecydowaniu. Sprawa naprawdę potrzebowała głębszego przeanalizowania.

— Ależ rozumiem wszystkie pana rozterki. Mamy dużo czasu. Trzeba przeprowadzić inwentaryzację pozostałych dzieł, dokonać wyceny, zapłacić podatek.

— Właśnie, podatek. Nie wie pan mecenas, skąd weźmiemy na to pieniądze?

— Wiem, ale porozmawiamy o tym, kiedy pan przyjmie spadek.

— OK, więc do zobaczenia — pożegnałem się, wstając z krzesła i wychodząc do recepcji, gdzie pozostali uczestnicy spadku jeszcze stali.

— Do zobaczenia — usłyszałem za sobą głos mecenasa.

— Jak się czujesz po tym wszystkim? — zapytała Judyta, podchodząc do mnie razem chyba z mężem.

— Jestem zaszokowany umieszczeniem mnie w testamencie — odparłem, opisując właściwy stan mojego umysłu. — Ale przerażony równocześnie.

— Przepraszam, że nie przedstawiłam mojego męża: Marian.

— Witam raz jeszcze, cieszę się, że pana poznałem.

— Jedziemy jeszcze na cmentarz na grób Marty i moich rodziców. Jedziesz z nami? — zapytała, w ogóle nie nawiązując do odczytanego przed chwilą testamentu.

Nie widać było żadnej zawiści lub zazdrości za to, że ja miałem zająć się spuścizną malarską siostry. Nie należałem przecież do jej rodziny. Widocznie szanowała wolę zmarłej ponad wszystko inne.

— Nie — odpowiedziałem na jej pytanie, dodając — nie jestem jeszcze gotowy na spotkanie z Martą w takiej formie.

— Rozumiem — skwitowała krótko moją negatywną odpowiedź. — Myślę, że jeszcze się spotkamy — dodała.

— Z pewnością — potwierdziłem jej przypuszczenie. — Do zobaczenia wam.

— Do zobaczenia — odpowiedzieli oboje.

Wyszedłem na zewnątrz budynku i ruszyłem w stronę rynku. Musiałem się jak najszybciej podzielić z żoną najnowszymi wieściami. Ciekawy byłem jej reakcji. Wyjąłem komórkę z tylnej kieszeni spodni i zadzwoniłem. Po wzajemnym zlokalizowaniu, spotkaliśmy się w sklepie kilka metrów od wspomnianego rynku.

— Powiem ci nowinę — zacząłem, podchodząc do Janki.

— Co otrzymałeś w spadku? — zaśmiała się.

— Obowiązki — odpowiedziałem także z uśmiechem, ale nieco mniejszym.

— Opowiadaj — zaproponowała, kierując się w stronę parkingu, gdzie zaparkowała naszą skodę.

— Sprawa jest taka. Oczywiście mogę nic nie przyjmować — od razu zastrzegłem.

— Mów wreszcie, o co chodzi i nie kręć.

— Marta powołała mnie jako zarządcę do całej spuścizny malarskiej, jaka po niej została.

— Na czym to zarządzanie ma polegać? — z ciekawością w oczach spojrzała na mnie.

— Mam utworzyć fundację, której celem będzie pomoc osobom szczególnie dotkniętym przez los, a posiadającym talenty artystyczne.

— Już to widzę, jak zarządzasz taką fundacją. Przecież nie masz o tym zielonego pojęcia.

— Prawda, ale mecenas, który był jej przyjacielem, obiecał pomoc prawną przy tym przedsięwzięciu. Wiem jak to brzmi, mechanik samochodowy prezesem fundacji. Proszę, tylko się nie śmieję.

— Ja tak nie sądzę i już nie śmieję się — zaprzeczyła od razu mojej tezie. — Z pewnością dasz sobie radę, ale czy się w tym odnajdziesz?

— Nie wiem, może jednak spróbuję. To także jakaś promocja dla mnie i mojego pisania. W każdym razie mam czas na zastanowienie się. Zrobię rozeznanie i spiszę listę wszystkich punktów za i przeciw. Myślę, że mi w tym pomożesz? — zapytałem, chwilę oczekując na odpowiedź.

Prawdę mówiąc, bolały mnie już plecy, a skręcona półtora miesiąca temu kostka dawała się we znaki coraz bardziej. Utykając dość mocno, po chwili dotarłem z żoną do samochodu.

— Pewnie, że ci pomogę, nie wiem tylko, jak i w czym.

— Wystarczy mi twoje poparcie — ucieszyłem się, wsiadając do auta.

W drodze powrotnej cały czas myślałem o Marcie, nie mogąc zrozumieć jej wyboru. Znaliśmy się zaledwie miesiąc. Nie można przecież powierzać tak niedawno poznanemu człowiekowi dorobku swojego życia na podstawie kilkunastu rozmów i spotkań. A może ja byłem z innej planety? Może mój system wartości był chory i nie potrafiłbym zaufać nikomu? A gdybym był na jej miejscu, jak by to wyglądało?

Przypomniała mi się taka przypowieść. Kiedyś przeczytałem ją w jakiejś książce, a może w czasopiśmie. Mała dziewczynka umierała na chorobę, z której wcześniej wyleczył się jej braciszek. Posiadał w swojej krwi już przeciwciała, które mogły ją uratować. Lekarz zwrócił się do chłopczyka, że tylko transfuzja jego krwi do ciała siostry może ją ocalić i czy jest gotów oddać jej swoją krew. Oczy chłopczyka rozszerzyły się od zwykłego strachu, który nagle zajrzał mu w oczy. Wahał się jakąś chwilę, aż w końcu wyjąkał po cichu, że się zgadza. Kilkadziesiąt minut po dokonaniu transfuzji zobaczył doktora koło swojego łóżka i ze smutną miną zapytał: „Panie doktorze, proszę mi powiedzieć, kiedy umrę?”. Dopiero po tym pytaniu lekarz zrozumiał chwilowy strach, jaki zobaczył w oczach chłopca przed podjęciem decyzji o transfuzji. Chłopczyk myślał, że oddając krew, oddaje siostrzyczce swoje życie. Jak wielkie było jego poświęcenie i prawdziwa miłość. Zadałem sobie pytanie: Czy Marta mnie pokochała? Czy ja pokochałem Martę?

W POSZUKIWANIU RECENZENTA

Było już późno, gdy dotarliśmy do domu w Łodygowicach. Czułem się zmęczony. Bolała mnie noga, bolały plecy, marzyłem tylko o łóżku. Ekspresowe mycie szybciotko przybliżyło mnie do legowiska w sypialni. Włączyłem na chwilę telewizor, od razu nastawiając go na samowylaczenie. Wcisnąłem mute, aby spokojnie przez chwilę pomodlić się do Boga, dziękując mu za mijający dzień, za jego opiekę i prosząc o spokojny sen. Potem spoglądałem od niechcienia to na telewizor, to znów na sufit. Wróciłem do pytań, jakie zadałem sobie w samochodzie. Czy Marta mnie kochała? Czy ja kochałem Martę? Z pewnością nie była to prawdziwa miłość kobiety do mężczyzny lub mężczyzny do kobiety. Myślę, że była to miłość przyjacielska, ale nie zrodzona tutaj w ziemskim otoczeniu. Przypomniałem sobie moją podróż do przeszłości, którą opisałem w powieści „Rozplatając warkocz Papuszy”. Czy jakaś boska pamięć absolutna nie uchylila dla nas swojej furtki, wpuszczając zagubione we wszechrzeczach uczucia, na jedną ziemską drogę dwojga ludzi, na króciutki, nic nieznaczący z perspektywy czasu istnienia wszechświata, jeden miesiąc, wprowadzając zamieszanie do serc i umysłów nas dwojga, którzy nigdy wcześniej się nie spotkali? Nie miałem pojęcia, jak dociec prawdy, która leżała poza mną i moimi zmysłami. Czy jeżeli stanę się przedłużeniem Marty na Ziemi, zrozumie zamysł, jaki Bóg podjął wobec nas, a teraz wobec mnie? Domysłów nasuwało się wiele, ale żaden nie mógł być prawdziwy z prostej przyczyny: nie byłem Bogiem. Byłem tylko małym ogniwkiem, niewidocznym już z odległości kilometra, a co dopiero z odległości miliardów lat świetlnych. Nie łudziłem się ani przez chwilę, że mogę coś znaczyć. Ale potem, patrząc na obraz Jezusa wiszącego na ścianie, poczułem przypływ wyjątkowości. Ten Bóg posłał swojego syna, żeby i mnie, takie nic, ratować od upadku w nicość. Pewnie, że nie można zrozumieć Jego zamysłu naszym rozumem. Musiałem się pogodzić z moją porażką w tej dyspucie. Pozostała mi wiara i sen, i też tak się stało.

Jako że nadal przebywałem na chorobowym, wstałem dopiero koło dziewiątej godziny. Nastal najwyższy czas, aby zająć się szukaniem recenzentów do mojego nowego dzieła, podjąc decyzję w sprawie spadku i w końcu otworzyć pendrive, który ciągle leżał na swoim miejscu obok Matki Boskiej z góry Karmel. Zapelniony słowami Marty z pewnością był wyjątkowy, ale ciągle patrzyłem na niego ze ściskiem i drzeniem serca.

Mijały chwile, zanim po porannej toalecie i śniadaniu nastawiłem czajnik z wodą na kawę. Potrzebna mi była jak zbawienie. Czułem w oddali nadchodzący ból głowy. Być może wszystkie te wydarzenia przytłoczyły moje arterie z neuronami myśli, które spiętrzały się w mózgownicy, rozpierając się do bólu. Wreszcie czajnik zagwizdał. Pofatygowałem się, utykając, do kuchni. Zalałem kawę, dodałem śmietanki i cukru. Mogłem wrócić do moich planów ze spokojem.

Włączyłem laptopa i poszukałem listu z Wydziału Kultury z listą

recenzentów. Obok nazwisk można było znaleźć numery telefonów. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, ale postanowiłem napisać maila do pierwszej na liście pani profesor. Kliknąłem na nową wiadomość. Otworzył się pusty list, który szybko zappełniłem treścią.

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 8 listopad 2013 11:05

Do: ane.wen@poczta.fm Temat: Dotyczy recenzji

Szanowna Pani Profesor!

Jestem z natury bardzo nieśmiałym człowiekiem, dlatego wolę napisać, niż wykonać telefon. Wiem, że zawsze na tym źle wychodzę, nie mogąc załatwić prostych spraw, chociaż mam już trochę lat za sobą. Otóż otrzymałem z Urzędu Miejskiego wykaz osób, które mogłyby zrecenzować moje wiersze, co jest jednym z warunków umożliwiających dofinansowanie wydania tomiku przez Wydział Kultury. Jeśli wyrazi Pani taką chęć, a nie ukrywam, że bardzo zależałoby mi na opinii właśnie takiej osoby, jak Pani, byłbym wdzięczny. Widziałem poprzednie promocje, które Pani Profesor prowadziła, i byłem pod ogromnym wrażeniem wiedzy i wnikliwości, z jaką przeprowadzona została analiza tekstów. Więcej informacji mógłbym przekazać po ewentualnym wyrażeniu zgody na recenzję.

Z poważaniem

Bronisław Chrobak

Przeczytałem jeszcze raz całą wiadomość i wysłałem, nie zastanawiając się dłużej, czy wypada tak pisać, czy lepiej jednak zadzwonić. Zaraz potem przypomniałem sobie o koleżance poetce, której wiersze zawsze przypadły mi do gustu. Poznałem ją w Warszawie. Na jednym ze spotkań klubowiczów rozmawiała z Grażyną o swoim nowym tomiku wierszy. Potem spotkaliśmy się na wieczorze promocji antologii „Zamknięty świat”, w którym znalazły się także moje wiersze. To było chyba... nie mogłem sobie od razu przypomnieć daty, ale po chwili zaświtała mi w umyśle... to był 3 listopada 2010 roku. Pamiętam, pojechaliśmy z żoną i Bartkiem samochodem do Warszawy. Przyjechaliśmy dość wcześnie, więc trzy godziny poświęciliśmy na zwiedzanie stolicy, obiad i pączki u Bliklego. Pogoda nie była najlepsza, ale dało się zobaczyć kilka ciekawych zabytków i kościołów, zrobić kilka zdjęć pod pomnikiem Zygmunta i na murach obronnych. Na ulicę Dobrą wróciliśmy jednak trochę zmarznięci. Przywitała nas ciepło jak zwykle pani Grażyna, dobry duch klubowiczów. W czasie prezentacji każdy z uczestników miał swoje trzy minuty. Moim udziałem był wiersz bez tytułu.

* * *

Zaiste urodziłem się Boże
Po to, bym dotrwał do śmierci
I po co mnie nauczyłeś pić mleko matki
Kupować chwile i targować się z Tobą
O każdą sekundę
I każdą cząstkę
Dałeś mi drogę, która nie istnieje
Tak jak ciało, które jeszcze widzę
Po co mi to dałeś Dla jakiej iluzji

Nie wiem, czy dobrze go pamiętam, ale chyba taka właśnie była cała jego treść. Oczywiście wewnątrz znajdowały się jeszcze inne utwory mojej fantazji literackiej oraz krótki biogram. Nie mogłem się oprzeć i pofatygowałem się po tę publikację do holu. Książka wciśnięta między inne woluminy, leżała na jednej z półek. Zabrałem ją i usiadłem przy stoliku z komputerem. Znalazłem swoje wiersze. Przeleciałem tylko po tytułach i przewertowałem kartki z biogramami autorów. Iwona nie miała zamieszczonych zbyt wielu słów o sobie. Socjolog, bibliotekoznawca, pracownik Biblioteki Narodowej. Wydała tomiki poezji „Droga w nieznane” (2005), „Chociaż ja... Wiersze” (2007). Wiedziałem, że zajmuje się również tłumaczeniami i że pisze artykuły. Na jej blogu pojawiły się jeszcze nowsze wiersze i tomiki, które wydała później. Od razu przypomniałem sobie wydane w Wydawnictwie Literackim wiersze pod tytułem „Rotacja”, bodajże też w 2010 roku. Tak jakoś przypomniały mi się słowa jednej z recenzji o tym tomiku. Właśnie Iwona byłaby dobra jako poetka do zrecenzowania moich słów. Moja poezja nie odbiegała daleko od jej twórczości. Postanowiłem do niej napisać.

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 8 listopad 2013 12:25

Do: iwona.gr@wp.pl

Temat: Dotyczy recenzji

Iwono

Witam serdecznie i ciepło z zaściankowych Łodygowic. Czas ucieka, a my walczymy, aby jak najwięcej zatrzymać go dla siebie. Mam taką sprawę. Niedawno otrzymałem maila od Kierownika Wydziału Kultury z Bielska, że mam szansę na dofinansowanie wydania tomiku wierszy. Tak się składa, że od jakiegoś czasu pracowałem nad nowym cyklem wierszy. Na jakiś czas przykuty do łóżka

postanowiłem odgrzebać ten projekt i dokończyć jego realizację, mając w zanadrzu więcej wolnego czasu do własnego użytku. Nie, nic wielkiego mi się nie stało, po prostu spadłem w czasie obierania jabłuszek z drzewa i złamałem podstawę jednego z kręgów. Wszystko jest dobrze, tylko potrzebuję czasu, aby znów zacząć normalnie funkcjonować. Trzy miesiące gorsetu powinny wszystko załatwić.

W naszym zabieganym życiu taki czas też jest potrzebny, aby się odnaleźć i odszukać zagubione priorytety. Powróciłem do tego, co lubiłem: wierszy, prozy, pisania. Mówiąc wprost, potrzebuję dwóch recenzji mojego tomiku, a nie mam pomysłu, kto mógłby mi je wystawić, kto miałby ochotę wniknąć w moją twórczość. Przyszłaś mi na myśl właśnie ty, a jeśli nie, to może znasz kogoś, kto by mi pomógł?

To tyle, a tak poza tym, od czasu do czasu wpadam na twój bloga i stronę. Nie jestem wielkim poetą, ale jakimś jestem z pewnością. Myślę, że szkoda byłoby, aby te wiersze leżały dalej w przysłowiowej szufladzie. Pozdrawiam

Bronisław

Jedną sprawę, jak mi się wydawało, załatwiłem. Po południu poszukałem w Internecie książki w formacie e-pub „Żywot i bolesna męka Pana Naszego Jezusa Chrystusa według objawień błogosławionej Katarzyny Emmerich”. Chciałem na własne oczy przeczytać ten tekst, który tak bardzo wstrząsnął Martą. Wreszcie znalazłem jedną stronę z formatem PDF. Czytnik akurat czytał i ten format tekstów. Ściągnąłem go bez problemu i przerzuciłem do pamięci urządzenia. Po chwili mogłem już cieszyć się tekstem tytułu na pierwszej zakładce. Równy z moją radością zadzwonił telefon.

— Bronisław, słucham.

— Mecenas Górecki z tej strony — usłyszałem i od razu przyszła mi na myśl sprawa spadkowa. Oczywiście nogi się trochę pode mną ugięły.

— Witam serdecznie — odpowiedziałem spokojnie, przygotowując kolejną odpowiedź na wypadek powrotu do tej sprawy.

— Przygotowałem inwentaryzację wszystkich obrazów i szkiców, które podzieliłem na dwie grupy: te za granicą i te w kraju, oraz te malowane przed wypadkiem, jak i te malowane w świetle nocy, po wypadku. Prosiłbym o adres mailowy, na który mógłbym przesłać materiały. Cały czas zakładam, że pan przyjmie prośbę Marty.

— Prawdę mówiąc, jeszcze nie zdecydowałem w tej sprawie — przyznałem spokojnie, czekając na dalsze słowa mecenasa.

— Rozumiem pana bardzo dobrze. Myślę, że stowarzyszenie odpada, ponieważ musielibyśmy znaleźć grupę co najmniej piętnastu osób do jego założenia. Chociaż cele mogą być tak samo osiągnęte przez obie instytucje, to jednak w tym wypadku zalecałbym powstanie fundacji.

— Czytałem też o tym w Internecie — przerwałem jego wywody. — Myślę, że ma pan rację. Marta jest właściwie takim fundatorem tego niezwykłego pomysłu.

— Dlatego przygotowałem stosowne dokumenty i prawie dopiąłem wspomnianą inwentaryzację. Na razie nie możemy sprowadzić obrazów do Polski, dopóki nie załatwimy sprawy z testamentem i powołaniem fundacji, ale wysłałem już właściwe dokumenty do organizatorów wystaw, tam, gdzie obecnie się znajdują.

— Już się gubię — wtrąciłem spokojnie.

— Od śmierci Marty wygaszają jej upoważnienia, które wydała swojemu wujowi i organizatorom wystaw w Nowym Jorku.

— To znaczy? — zapytałem, chociaż odpowiedź sama się nasuwała.

— To znaczy, że tak naprawdę od chwili śmierci nie mogą sprzedać żadnego obrazu — potwierdził tylko moje domysły.

— Nieznaczna część i tak została już sprzedana — wtrąciłem swoje trzy grosze.

— Tak, ale najważniejsza kolekcja pozostaje w całości, jak sobie tego życzyła Marta. To seria obrazów, co do których zastrzegła, aby ich nie sprzedawać.

— Co w tej kolekcji jest takiego ekscytującego? — zaciekałem się.

— Nie jestem koneserem sztuki, ale czytałem recenzje krytyków, wszyscy mówią jednym głosem, że to arcydzieła współczesnej sztuki. Pieniądze ze sprzedaży dwóch obrazów, które znalazły kupców na początku września i zostały sprzedane za jej zgodą, zostaną przelane w przyszłości na konto fundacji, po zatwierdzeniu statutu.

— Wszystko jest trochę pokręcone, przyznam szczerze. Nie wiem, czy potrafię się w tym odnaleźć.

— Proszę się nie martwić. Może zrobimy inaczej. Jeśli pan zdecyduje się przyjąć całą sprawę na swoje ramiona, proszę do mnie zadzwonić. Umówimy się na spotkanie i dokonamy akceptacji głównych celów fundacji i przygotujemy ostatecznie wszystkie dokumenty do jej powołania.

— Proszę zapisać mojego maila: bronislawm@poczta.onet.pl

— Już zapisałem — poinformował szybko o sporządzonej notce. — Dziękuję i życzę miłego wieczoru. Proszę pozdrowić szanowną małżonkę.

— Dziękuję i również życzę tego samego.

Odłożyłem słuchawkę na stół i próbowałem poskładać rozbiegane myśli, gdy usłyszałem dźwięk przychodzącej wiadomości. Zajrzałem na konto pocztowe.

Od: iwona.gr@wp.pl

Data: 8 listopad 2013 16:47

Do: bronislawm@poczta.onet.pl

Temat: Re: Dotyczy recenzji

Bronku,

oczywiście, mogę napisać recenzję. Rozumiem, że tomik nie jest jeszcze wydany, a recenzja byłaby potrzebna po jego wydaniu. Tylko bym prosiła o przesłanie mi tomiku... z dedykacją oczywiście. Życzę zdrowia. Ale jest to też faktycznie okres, by coś zrobić, co czekało na swój czas.

Pozdrawiam

Iwona Widocznie nieściśle opisałem moją prośbę.

Od: bronislawm@poczta.onet.pl

Data: 8 listopad 2013 17:07

Do: iwona.gr@wp.pl

Temat: Re:Re: Dotyczy recenzji

Iwono,

dziękuję za tak błyskawiczną odpowiedź. Tomik jest jeszcze nie wydany, ale recenzji potrzebuję przed wydaniem, umieszczone (może) zostaną w tomiku lub na jego okładce. Oczywiście, jeśli zostanie wydany, a ma to być dopiero w przyszłym roku (Urząd Miasta musi zatwierdzić finansowanie), z pewnością otrzymasz tomik do ręki. Postaram się jakoś ładnie sklecić wiersze i prześlę je w najbliższych dniach mailowo. Muszę dostarczyć tomik z recenzjami do Wydziału Kultury w najbliższym czasie, aby znalazły się w budżecie miasta.

Bronisław

Wiedziałem, że muszę podjąć decyzję w sprawie spadku. Sprawa była nader oczywista. Rozumiałem powagę całej sytuacji. Co dawało mi przyjęcie, przecież wielkiego, obowiązku prowadzenia fundacji? Po pierwsze: będę mógł pomóc innym osobom, przez co sam mógłbym się rozwijać na nowych płaszczyznach, po drugie: poszerzyć swoje kontakty o osoby i dziedziny, po trzecie: pozwoliłbym Marcie żyć i działać przeze mnie jak to sobie obmyśliła, po czwarte: już nie miałbym czasu na głupoty, właściwie na nic nie miałbym czasu. Ciągłe pozostawałem niezdecydowany. Duża część mojego „ja” była już prezesem fundacji, ale ta mniejsza ciągle się opierała. Tak niezdecydowanego gościa nie widziano chyba od kilku pokoleń. Trzeba powiedzieć, że to niezdecydowanie towarzyszy mi od dziecka. Postanowiłem jeszcze odłożyć całą decyzję na najbliższy czas, a ile miało oznaczać „najbliższy”, przekonam się na własnej skórze, na przykład ze dwa tygodnie.

PREZES FUNDACJI

Dwa tygodnie minęły bardzo szybko, można powiedzieć, jakby wszystko działo się wczoraj, a dzisiaj jest dniem następnym. Wiele rzeczy się wydarzyło, które zmieniły charakter i styl mojego życia. Główną przyczyną oczywiście była moja zgoda na prowadzenie fundacji. W przeciągu czternastu dni zostałem prezesem przebywającym na L4 z powodu wypadku w sadzie.

Moja prawdziwa praca, jaką wykonywałem w firmie, która ciągle mnie zatrudniała, nieznacznie się oddaliła, z uwagi na obrażenia kręgosłupa. Nie było to przesądzone raz na zawsze, ponieważ wracałem do zdrowia w swoim nowym biurze. Było całkiem niezłe, mieszkalem w nim od trzydziestu całych lat. Komputer, telewizor, drukarka, faks i kominek oraz wygodna rogówka sprawiały, że naprawdę czułem się jak w domu. W końcu był to mój dom, moja rodzina, mój świat. Nie wiem nawet, kiedy na koncju fundacji znalazły się dolary. Nie były moje, tylko Marty. Dokładnie zdawałem sobie sprawę z tego, jak ważne jest umiejętne ich wydawanie w myśl oczekiwań fundatorki całego zamieszania w moim życiu.

Nie narzekałem, nie tylko bardzo opornie przyjmowałem do świadomości wydarzenia ostatnich już prawie trzech miesięcy, ale nie pogodziłem się z tym do końca. Wyśmiałybym każdego, kto w lecie przepowiedziałby mi taką przyszłość. Gdyby nie moja choroba, byłbym wczoraj już w Nowym Jorku. Niestety, nie jestem tam, a tkwię w Łodygowicach. Przez dwa tygodnie przeczytałem całą treść objawień błogosławionej Katarzyny Emmerich i ciągle jestem w szoku. Trudno jest przyjąć prawdę. Trudności dotyczyły nawet apostołów, którzy mieli Jezusa obok siebie. Ale ciągle starałem się mieć Go w sercu. Czasem mi się wymykał i musiałem rozpoczynać poszukiwania na nowo. Kiedy zostawałem sam, było mi ciężko, bez wiary, bez wyraźnej nadziei, miłość przykucała gdzieś w sercu, przy ścianie aorty i czekała na powrót najważniejszej osoby, która wpompowywała te trzy ważne czynniki. Wtedy życie stawało się bajką.

Codziennie spoglądałem na pendrive i codziennie oddalałem czas, w którym włożę go do gniazda usb w laptopie. Nie wiem, czego się bałem. Czułem, że ten czas już nadchodzi, właściwie już puka do moich drzwi. Z czasem zrozumiałem sedno mojego lęku. Bałem się bólu, który powróci po stracie przyjaciółki. Pogodziłem się już ze śmiercią Marty, ale czy ona naprawdę umarła? Nie odeszła, wręcz przeciwnie, wrosła w moje życie ze zdwojoną siłą, oplatając wszystko, czym się zajmowałem, o czym myślałem, i wgłębiała się w coś, co dopiero miało powstać, nabierając nowych kształtów pełnych jej spojrzenia i działania.

Jedynie, co jeszcze chciałem zobaczyć, na razie nie było mi dane. Marzyłem,

aby zobaczyć kolekcję obrazów, których Marta nie pozwoliła sprzedać. Co innego widzieć zdjęcia, a co innego zobaczyć je na własne oczy. Mają w sobie jakąś moc przekazu, która uruchamia ludzką podświadomość. Czy takie dzieło w ogóle mogło powstać? Nie wiedziałem, skąd biorą się takie opinie. Może ktoś za tym stoi. Przecież takie postawienie sprawy wydawało się być niczym innym, jak zabiegiem marketingowym, mającym na celu wzniecenie aury osobliwości, niespotykanego cudu. Dziennikarze szybko podjęli temat i rozdmuchali na cztery strony świata.

Ja stałem na czubku piramidy imieniem Marta. Już kilku pismaków próbowało się ze mną spotkać. Nie miałem jednak ochoty na wywiady, nie mogłem się wypowiadać na temat malarstwa, dopóki nie zobaczę wszystkich jej prac. Wymigiwałem się umiejętnie z zastawionych na mnie sideł. Miałem duży atut w rękach, moją chwilową niedyspozycję, która ciągnęła się drugi miesiąc.

Rozpoczął się grudzień. Iwona przysłała mi recenzje. Były oczywiście po mojej myśli. Czytałem je dwa razy i wydrukowane włożyłem do teczki z moim tomikiem. Nie mogąc się doczekać na odpowiedź pani profesor, postanowiłem do niej zadzwonić. Niestety, rozmowa nie trwała długo. Okazało się, że chroniczny brak czasu spowodowany napiętym harmonogramem zajęć i częstymi wyjazdami, uniemożliwiał zajęcie się recenzjami moich wierszydeł. Znowu stanąłem w obliczu poszukiwania kogoś nowego, kto mógłby mi pomóc.

Nie to jednak było najważniejsze w ten grudniowy dzień. Czekałem na tę chwilę i doczekałem się. Nie czułem już żadnych oporów przed zabraniem pendrive i umieszczeniem go w porcie usb laptopa. Wsunąłem go bez oporów. Wyświetlił się komunikat: dysk Marta zawiera jeden typ zawartości, otwórz folder, aby wyświetlić pliki. W tym miejscu zatrzymałem się, ale tylko na moment. Chwila wahania upewniła mnie tylko w tym, aby nacisnąć OK. Wyskoczył nowy obraz z następnymi folderami. Pod pierwszym tkwił napis „Dla Bronka”. Tu, już bez zastanowienia, najechałem strzałką i nacisnąłem klawisz myszki dwukrotnie. Wewnątrz pojawiła się ikona Worda, a po chwili tekst wyświetlił się na ekranie.

POCZĄTEK PISANIA

Bronku

Posłuchałam twojej rady i zaczęłam pisać. Nie wiem, czy robię wszystko dobrze, ale najważniejszy jest przekaz tego, co chcę powiedzieć. Długo szukałam odpowiedzi na pytanie, kim jestem. Często zadawałam to pytanie Bogu. Jeździłam do sanktuarium w Rychwałdzie, na początku po ziola ojca Grzegorza. Później spotykałam się z nim. To długa historia, którą prawdopodobnie poznasz, czytając moje słowa. Właśnie tam, u stóp Matki Rychwałdzkiej, odnalazłam odpowiedź na

podstawowe pytanie w naszym życiu. *Kim jestem?* Powtarzałam je wielokrotnie i za każdym razem odpowiedź wydawała się inna, jak w przypowieści o chorej kobiecie tego jezuita de Mello. Przytoczę je, ale nie tak, jak w oryginale. Nie bardzo pamiętam całą treść.

„Pewna kobieta znajdowała się na intensywnej terapii. Pogrążona była od kilku dni w śpiączce. Lekarze po naradzie stwierdzili, że ten stan, w jakim się pogrążyła, jest już agonią. Leżąc na łóżku w śpiączce, chora odniosła wrażenie, że jej dusza unosi się już ponad ciałem i zmierza w stronę światła, a potem staje przed Sądem.

— *Kim jesteś kobieto* — zapytał Głos, którego nie mogła zlokalizować.

— *Jestem żoną wójta* — odparła.

— *Nie pytałem, czyją jesteś żoną, ale kim jesteś.*

— *Jestem matką moich dzieci.*

— *Nie pytałem czyją jesteś matką, ale kim jesteś.*

— *Jestem nauczycielką w przedszkolu.*

— *Nie zapytałem, w jakim zawodzie pracujesz, ale kim jesteś.*

Pytanie powtarzało się po każdej jej odpowiedzi. Niezależnie od tego, co odpowiadała, na tak jasno postawione pytanie: *kim jesteś*, każda jej odpowiedź nie była tą właściwą, na którą czekał Stwórca.

— *Jestem chrześcijanką* — odpowiadała na pytanie kolejny raz.

— *Nie pytałem, jaką religię wyznajesz i w co wierzysz, lecz kim jesteś.*

— *Jestem tą, która codziennie chodziła do kościoła, pomagała biednym i potrzebującym* — tłumaczyła dalej.

— *Nie pytałem, co czyniłaś i gdzie chodziłaś, ale kim jesteś.*

Wreszcie pytania dobiegły końca. Całe przesłuchanie w niebie najwidoczniej okazało się niezadowolające, bo jej dusza została wysłana z powrotem na Ziemię. Lekarze po kolejnych badaniach stwierdzili wyraźną poprawę, wbrew temu, co przewidywali. Kobieta, gdy wydobrzała po ciężkiej chorobie, postanowiła odkryć, kim jest.”

Zupełnie jak ja. Przeżyłam swoje życie, przemaszerowałam przez nie, czasem przebiegłam, czasem tkwiłam jakby na przystanku, czekając na odpowiedni autobus, ale najczęściej stałam w miejscu, chociaż miałam zwykle ludzkie odczucie, że posuwam się do przodu, uczę nowych rzeczy i doskonałą, jak przystało na człowieka rozumnego. Nic bardziej mylnego. Posiadałam coraz więcej wiedzy, a coraz mniej wiedziałam o sobie. Zagubiona przestałam cokolwiek rozumieć z otaczającego mnie świata. Zawsze wtedy w ciemnym tunelu pojawia się światło. Trudno nam je dostrzec, jeśli w życiu wszystko zaczyna dobrze toczyć się do przodu, ma się dużo przyjaciół, którzy jednak poddani próbie, okazują się tylko znajomymi, jakich wielu spotykamy na swej drodze. Jak mówią: prawdziwy przyjaciel wie o tobie wszystko, a mimo to dalej jest twoim przyjacielem.

Chciałam ci podziękować, że namówiłeś mnie do pisania. Odkryłam w tym wiele satysfakcji i przyjemności. Zaczęłam poznawać siebie od nowa, jakbym się narodziła. Legenda jednego plemienia azjatyckiego mówiła, że tuż po narodzinach dziecko pamięta jeszcze swoje poprzednie wcielenie, ale anioł kładzie mu palec na ustach i niemowlę o wszystkim zapomina. Po gościu anioła pozostaje u każdego dziecka ślad, a potem u dorosłego człowieka wgłębienie, znak między górną wargą ust a nosem. Dopiero po tym gościu dziecko może wydać pierwszy w swoim życiu krzyk.

Legenda piękna, ale nasza wiara nie przyjmuje powtórnych narodzin jako niekończącego się cyklu odnawiania w wędrówce do doskonałości. Rozumiem te słowa zupełnie inaczej. W momencie narodzin tracimy naszą łączność ze światem duchowym, z którego przybyła nasza dusza, przez tę spójność z materialnym ciałem tracimy kontakt do ostatniego tchnienia naszego materialnego życia.

Jak napisałeś, nie przychodzimy znikąd... a jeśli tam byliśmy, z pewnością znaleźliśmy całą wiedzę świata. Stąd niektórzy interpretują swoje życie jako dalszą część. Niestety mamy tylko jedno życie i wiele dróg do jego przebycia. Wybory, jakie podejmujemy, zawiązują przyszłość nieprzemijającą. Dlatego nasze starania powinny być wyjątkowo intensywnie ukierunkowane na główny cel — zbawienie. Myślałam już nawet nad tytułem mojej książki, chociaż znajduję się dopiero na jej początku. Będiesz się ze mnie śmiać, że wymyślam tytuł, a stron jeszcze brak. Masz prawo się uśmiechnąć, zresztą próbuję sobie ten uśmiech wyobrazić, być może z marnym skutkiem, ale widzę go takim, jakim chciałabym widzieć i to jest piękne. Noc jest dniem — taki jest tytuł. Szkoda, że nie mogę zobaczyć twojej reakcji. Myślę, że mi o tym napiszesz. Jak już powstanie parę rozdziałów, będę przysyłała codziennie po jednym. Na razie tyle z informacji, jakie chciałam ci przekazać. Będę dopisywać do tego listu coraz nowsze wpisy, aż do momentu, kiedy postanowię wysłać pierwszy rozdział.

Wczoraj napisałam pierwszy rozdział. Nie piszę ich chronologicznie. Rozwijam dany temat do momentu, w którym wyczerpię swoją inwencję. Później je poskładam w całość. Dowiedziałam się tym samym co czujesz, jak pojawiają się kolejne słowa. To zupełnie inne uczucie niż moje malowanie, ale równie ekscytujące. Kiedy przerwałam pisanie, okazało się, że jest już druga w nocy. Rządzą mną nowe emocje, ale teraz idę spać.

Dzisiaj byłeś fajny w pociągu, nie pisałam tego w mailu, w ogóle nie wspominałam ani słówkiem o moim pisaniu. Brnę dalej i przypominam sobie, jaka byłam, o czym marzyłam, a co z moich marzeń zostawało po weryfikacji. Ciekawe doświadczenie. Szkoda, że moja mama nie może zobaczyć, jak sobie daję radę. A może widzi wszystko z innej perspektywy?

Niedziela z pisaniem pochłonęła mnie bez reszty. W porę nastawiłam zegarek, który wyrwał mnie z amoku, w jaki wpadłam. Zadzwoniłam do koleżanki

i poszliśmy do kościoła na popołudniową mszę. Nie mogłam się skupić, myśli jeszcze szalały po stronach rozdziału, ale byłam grzeczna. Modliłam się również za ciebie. Żeby dobry Bóg stawiał na twojej drodze zadania, które lubisz wykonywać, przez co przyniesiesz mu stokrotne plony. Niedługo wyjeżdżam z siostrą na Mazury, ale będę pisać dalej, obiecuję.

Na tym wpisy w tym dokumencie kończyły się. Zobaczyłem, jak wiele radości znalazła w pisaniu, chociaż wydawałoby się, że malarstwo jest jej dominującą pasją. Byłem ciekaw, co znajdę w następnym folderze opatrzonym dziwnym tytułem: „Poszukiwanie pędzli i sztalug”. Może opisała w tym rozdziale swoje początki w malarstwie — pomyślałem. Było już późno. Nie tak znów bardzo, ale trzeba przygotować kolację i popracować z wnukami. Prawdę mówiąc, jej słowa rozgrzały moją ciekawość. Miałem ochotę otworzyć kolejny rozdział, tym razem już nie skierowany bezpośrednio do mnie. Spojrzałem na zegar, wyraźnie czas przemieszczał się między moimi palcami szybciej, niż myślałem. Za oknem szalał huragan Ksawery. Wiatr naciskał na okna z ogromną siłą. Przez kominek dostawał się hałas szalejącego powietrza, które pomimo zamknięcia wszystkich drzwiczek, wpadało, świszcząc, do pokoju.

Po wykonaniu zaplanowanych prac, usiadłem wygodnie na rogowce. Włączyłem telewizor, żeby zobaczyć najważniejsze informacje, szczególnie pogodowe. Człowiek mimo woli lęka się o swój dobytek. Na szczęście największe podmuchy omijały Żywiecczyznę, szczególnie pustosząc północne rejony Polski, ale co to za szczęście, gdy inni cierpią. Najgorsza ma być dzisiejsza noc, ale co mógłbym zrobić, aby się zabezpieczyć? Trzeba po prostu jakoś przetrwać najgorsze w nadziei, że wszystko będzie dobrze. Postanowiłem zagłuszyć szalejącego Ksawerego czytaniem słów Marty, póki prąd zasiliał domowe obwody elektryczne i najważniejsze odbiorniki, zwłaszcza mój kochany laptop, który po wypadku z drzewem stał się moim oknem na świat.

Otworzyłem folder, który wcześniej sobie upatrzyłem. Pod tytułem „W poszukiwaniu pędzli i sztalug”. Otworzył się szybko. Zadzwoił jednak telefon, musiałem więc zmienić swoją lokalizację i pofatygować się po słuchawkę. Dzwonił tata zaniepokojony moim milczeniem. Prawda, wczoraj zapomniałem zadzwonić do niego. Rozmowa jak zwykle okazała się krótka i mogłem wrócić do czytania.

AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH W KRAKOWIE

Dzisiaj zajęcia na uczelni skończyły się o szesnastej. Wróciłam do wynajętej stancji, po drodze podziwiając architekturę krakowskich kamienic. Każdy szczegół starałam się zapamiętać, a po przejściu paru kroków przywołać go z powrotem.

Uczyłam się zapamiętywać takim sposobem coraz więcej szczegółów. Początkowo było to wyjątkowo trudne szkolenie, ale z każdym dniem robiłam postępy. Po drodze zmuszona głodem kupiłam hot doga w kiosku przy drodze. Nie miałam ochoty na gotowanie. Prawdę mówiąc, wolałabym być zwyczajnie głodna. Dzisiaj wracałam wesola. Miałyśmy z koleżanką szkicować męski akt. Jej chłopak dał się namówić i miał nam pozować. Wynajmowaliśmy niewielkie mieszkanie, pokój z kuchnią na pierwszym piętrze starej kamienicy. Marcin, który miał nas uraczyć kształtem swojego ciała, chodził z Moniką od pół roku i studiował na architekturze. Muszę przyznać, że pociągał mnie jego ciepły uśmiech i słodkie oczy, które w połączeniu z wyjątkową wrażliwością serca, jak mi się zdawało, pochłonęły także moje serce. Trochę zazdrościłam koleżance. Miał około metra osiemdziesiąt, do tego czarne kręcone włosy i sylwetkę sportowca. Zewnętrznie idealny męski okaz. Dotarłam w końcu na moją ulicę. Akurat w drzwiach pojawiła się sąsiadka z mieszkania obok. Wychodząc, otworzyła duże drewniane drzwi, z których luszczyla się brązowa farba.

— Dzień dobry — przywitałam ją serdecznie.

— Dzień dobry — odpowiedziała, niezwłocznie dodając. — Co tak głośno było u was wczoraj?

— Koleżanka zaliczyła zaległy egzamin, wie pani, jak to jest — tłumaczyłam.

— Chyba obowiązuje cisza nocna?

— Przepraszamy.

To były ostatnie moje i jej słowa. Minęliśmy się po nich w zupełnej ciszy, tylko drzwi trzasnęły, zamykając się za mną z ogromną siłą. Po drewnianych schodach dotarłam szczęśliwa do mieszkania. Puściłam kaseciaka i piosenki poleciały, łagodząc moje uszy po ulicznym szumie. Skoczyłam do łazienki obmyć zmęczenie i brud lgnący do ciała prawie przez pół dnia. Spojrzałam na budzik, jeszcze czas grał na moją korzyść, dlatego położyłam się wygodnie na tapczanie. Nie miałam ochoty na żadne zajęcia domowe. Na stoliku stały jeszcze brudne szklanki i talerze z resztkami jedzenia pochodzącymi z mojego szybkiego śniadania z Moniką. Gdzieś straciłam ją w czasie dzisiejszych zajęć, ale obiecała przyjść z chłopakiem. Powinnam też zadzwonić do domu, ale jakoś nie miałam potrzeby ani ochoty. Po drodze minęłam może ze cztery automaty telefoniczne. Zamknęłam na chwilę zmęczone oczy. Cisza zapanowała jak makiem zasiał. Niewielkie okno wypadło prosto na małe podwórko otoczone murami, ale widocznie i tam trwał bezruch. Było do niczego z prostej przyczyny, nic ciekawego nie można było przez tę dziurę w ścianie zobaczyć, dlatego i cena, za jaką wynajmowaliśmy mieszkanie, wydawała się adekwatna, chociaż jak na nasze możliwości i tak była zbyt wygórowana.

Niedługo nacieszyłam się spokojem i ciszą. Może piętnaście minut po tym zadzwonił dzwonek i musiałam się poderwać na równe nogi.

Domofon zainstalowany był przy samych drzwiach.

— Kto tam? — zapytałam lekko zaspanym głosem.

— Marcin.

— Monika ma przecież klucze — rzuciłam od niechcienia.

— Ale jej tu nie ma — odpowiedział od razu.

— A gdzie jest?

— Skąd mogę wiedzieć. Umówiliśmy się w kawiarni na rynku, ale nie przyszła. Wiem, że miałyście mnie szkicować. Pomyślałem, że poszła z tobą prosto z uczelni.

— Dobra, wejdz.

Nacisnęłam guzik otwarcia rygla i po chwili w drzwiach stanął Marcin w całej okazałości. Na przywitanie dostałam buziaka i zrobiło mi się od razu lepiej na duszy.

— Siadaj na tapczanie, muszę posprzątać.

Zabrałam się szybko za pobieżne uprzątnięcie całego rannego bajzlu, mimowolnie spoglądając na ciacho, jakim niewątpliwie był mój gość. Przeglądał babską gazetę, nie zwracając na mnie uwagi. Uwinęłam się w dosłowne pięć minut.

— Pijesz kawę?

— Pewnie, proszę, ale bez mleka i z jedną łyżeczką cukru, i w szklance, oczywiście — usłyszałam odpowiedź.

Znałam jego przyzwyczajenia, więc nie zdziwiłam się ani trochę jego gustem smakowym. Po chwili usiadłam obok niego na tapczanie.

— Nie wiem, co z Moniką — rozpoczęłam rozmowę.

— Co z nią!? Po prostu znów gdzieś poszła za głosem serca, jak to często mówi. Jak poszło dzisiejsze kolokwium, o którym tyle wczoraj słyszałem?

— Myślę, że dobrze. Musimy oddać szkice do końca tego miesiąca.

— Właśnie nie mam za dużo czasu, wieczorem muszę wrócić do domu. Jeśli chcesz, możemy zaczynać.

— Bez Moniki? — zapytałam i dodałam po chwili namysłu: — Dobra, zaczniemy bez niej. Może dosmyczy się za parę chwil, a jak nie, to jej strata. Przygotuję sztalugi.

Zajęłam się ustawieniem sztalugi i przypięłam arkusz, podsuwając mały stolik z pudełkiem pełnym używanych węgielków różnej wielkości. Nim zdążyłam wszystko przygotować, Marcin był już prawie nagi.

— Jaką mam przyjąć pozycję? — zapytał z uśmiechem, sięgając po szklankę kawy.

— Na początek stojącą — zaproponowałam. — Podnieś jedną rękę nad głowę, a drugą za siebie i zaprzyj ją na pośladku.

Zdjął dżinsy, a zaraz potem białe majtki. Z reguły nie reaguję na takie

widoki, ale tym razem przebiegł mnie dreszczyk emocji. Nie wiem, czy moja twarz się zarumieniła, ale czułam ciepło na twarzy. Marcin patrzył na mnie, a ja starałam się ukryć moje chwilowe zażenowanie i wzrastające podniecenie.

— Masz jakąś dziwną minę... Coś jest nie tak?

— Nie, wszystko dobrze. Możesz się nie ruszać?

CHWILOWE ZAURCZENIE

Stał zupełnie nagi bez oznak zażenowania. W okolicach intymnych nie miał prawie zarostu i mogłam dokładnie zobaczyć każdy najdrobniejszy szczegół. Widocznie nie reagował zupełnie na moją obecność i swoje obnażenie, ponieważ jego penis zwisał opierając się między jądrami. Cholera — pomyślałam — coś ze mną nie tak? Poczulałam się nieprofesjonalnie podniecona. Powtarzałam w myślach, jestem malarką, musisz wytrzymać i po prostu przywyknąć do takiego widoku. W ogóle nie mogłam skupić się na szkicowaniu mojego idealnego modelu. Trochę pozazdrościłam Monice, że mogła się z nim kochać. Piękne pośladki i umięśniony tors, a do tego wydawał się być czarujący i delikatny, cechy te dodawały następnych bodźców i ochoty na seks z partnerem najlepszej mojej przyjaciółki. Po dziesięciu minutach katorgi miałam już mokre majtki i musiałam naprawdę odpocząć od tego smakowitego widoku.

— Możesz na chwilę usiąść? — zapytałam, ale od razu wykonałam zwrot w stronę ubikacji.

Wyraźnie za dużo wypilałam wody. Zachciało mi się najzwyczajniej w świecie siku. Wyrwałam tak szybko jak tylko mogłam i zniknęłam za drzwiami WC. Usiadłam zgrzana na muszli, próbując nad wszystkim zapanować. Emocje i podniecenie powoli zaczęły opadać. W ogóle byłam zaszokowana swoją reakcją na nagie ciało Marcina. Po trzech minutach poczułam się na tyle znów normalnie, że ze spokojem pomyślałam o powrocie do szkicowania. Na mój widok Marcin wstał z powrotem i przyjął poprzednią pozę.

— Jak długo mam tak stać jak idiota? — zapytał z uśmiechem na ustach. Co ciekawe, nawet jego usta dzisiaj były wyjątkowo podniecające.

— Czujesz się jak idiota? — zdziwiona zapytałam. — Monika mówiła, że już raz jej pozowałeś, a to dopiero początek.

— Tak, ale to była Monika, zresztą później było całkiem fajnie.

— To znaczy?

— No wiesz, kiedy dwoje ludzi jest blisko siebie i jeden jest nagi...

— Wyobrażam sobie — zdawkowo potwierdziłam i pokiwałam głową, szkicując dalej jego postać.

Z czasem, z grubsza nabierała coraz więcej kształtów przypominających naprawdę niezłe dzieło. Byłam w tym dzisiaj dobra. Potrafiłam ująć nawet światło padające przez okno, zasłonięte tylko białą firanką.

Marcin nic nie mówił. Cieszyłam się z tej ciszy i kiedy wydawało mi się, że już poskromiłam swoje hormony, wysyłając je tam, gdzie pieprz rośnie, nagle mój wzrok powędrował w stronę krocza, które miałam jako ostatni element całej układanki naszkicować. Marcin był zamyślony. Pewnikiem powędrował w swojej wyobraźni do jakiejś sceny erotycznej z Moniką, a to dlatego, że układ tej intymnej części jego ciała przybrał zgoła inny wygląd, opuszczając ciepłe dotychczas gniazdo między jądrami. Chrząknęłam raz, ale nie widząc reakcji, postanowiłam się odezwać.

— Marcin!

Ocknął się natychmiast, a kiedy zorientował się, jak wygląda jego penis, zażenowany chwycił leżące na tapczanie spodnie z myślą, że się zasłoni. Niestety, szybkim ruchem nadał nogawkom bezwładny lot w okolice szklanki z resztką kawy, zrzucając ją na parkiet. Chciałam ratować szklankę i rzuciłam się do przodu. Oczywiście potknęłam się o sztalugę i runęłam w stronę Marcina, zatrzymując swoją twarz na wysokości, którą starał się zasłonić. Poczulałam jego zapach. Objął mnie rękami, ratując przed upadkiem. Gdy tylko wsparłam się na kolanach, podniósł mnie do góry i wtedy stało się coś dziwnego. Przylgnęłam do jego nagiego ciała, a on zamiast mnie odsunąć na dystans, jeszcze bardziej przycisnął do siebie. Poczulałam jak odpływam w żądzę, która zaczęła brać górę nad rozsądkiem. Było mi wszystko jedno, byle tylko kochać się z Marcinem.

Kiedy emocje i żądze opadły, leżeliśmy nadzy obok siebie na składanej kanapie. Nie mogłam zrazu pozbierać swoich rozbieganych myśli. Do ust cisnęło się tylko jedno słowo — dlaczego. Nie mogłam pojąć, jak łatwo uległam chwili i bez żadnych oporów uprawiałam seks z chłopakiem mojej koleżanki. Jednym ruchem ciała znalazłam się w pozycji siedzącej, zasłaniając obnażone piersi ściągniętą podkoszulką. Marcin chciał mnie dłońmi sprowadzić z powrotem w swoje objęcia, ale ja już nie miałam ochoty.

— Co myśmy narobili dobrego? — wypowiedziałam słowa w momencie, kiedy dotarło do mnie znaczenie postępuku, jaki wydarzył się między nami parę chwil wcześniej.

— W czym masz problem? — zapytał, jakby pochodził z innego świata.

— Jak to, w czym, a Monika?

— Chyba jej nie powiesz? — zapytał z lekkim drżeniem w głosie.

Milczałam, ubierając się szybko jak tylko potrafiłam. Przy okazji podniosłam sztalugi. Mimowolnie spojrzałam na szkic, a potem na jego prawdziwe odbicie

podnoszące swój już nie tak atrakcyjny, jak mi się zdawało, tyłek z tapczanu.

— Chyba jej nie powiesz? — powtórzył już spokojniejszym głosem bez poprzedniej wyraźnie wyczuwalnej wibracji nasączonej niepewnością.

— Nie, nie powiem — odburknęłam wyraźnie zła na siebie, że dopuściłam do takiej sytuacji. — Lepiej już idź — dodałam w jego kierunku, kładąc nacisk na słowo idź. Wyraźnie dotarł mój akcent, ponieważ chwilę później stał już w drzwiach do mieszkania.

— Powiedz Monice, że musiałem już iść. Albo nic jej nie mów. Cześć!

Drzwi zamknęły się za nim, a ja wpadłam we wściekłość. Jak mogłam ulec, co się ze mną stało, co z moją moralnością. Chyba zwariowałam. Czy w ogóle go kochałam? Nie mogłam się uspokoić. Wewnątrz panował chaos. Genialnie wypełniał moje ego, dotknięte przez chwilową pożądlivość ciała, która zawładnęła mną, doprowadzając do czegoś, co nie powinno zaistnieć. Zawsze marzyłam, że zrobię to z kimś, kogo pokocham całą sobą, a tymczasem uległam chwili pożądania, która wybuchła szybko i szybko zgasła, pozostawiając wyrzuty sumienia. Rzuciłam się w kierunku sztalugi i jednym ruchem zerwałam prawie gotowy szkic, targając go na strzępy. Kiedy skończyłam, pozbierałam kawałki i wyrzuciłam do kosza, a sztalugi odstawiłam. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to kąpiel. Nalałam ciepłej wody do wanny i wsunęłam się w jej czeluść. Gorąca woda rozluźniła moje napięte ciało, które jeszcze kilka minut temu gięło się posłusznie w objęciach Marcina. Nie przeszywał mnie jednak żaden dreszcz emocji na to wspomnienie.

Postanowiłam uciec od chwilowej niepoczytalności.

Fakt, Marcin podobał mi się jako facet, ale gdzieś w podświadomości nie widziałam go jako swojego chłopaka, a później męża. Zaczęłam przypominać sobie moje marzenia z dzieciństwa o królewiczu, który przyjedzie i zabierze mnie w lepszy świat. Moje marzenia pewnie nie odbiegały od marzeń innych dziewczynek. Znow ogarnęła mnie wściekłość. Walczyłam z nią kilka chwil, kiedy usłyszałam, że do przedpokoju ktoś wchodzi. Drzwi były zamknięte, jedyną sensowną osobą, która mogła wejść, była Monika.

— Marta! Jesteś już? — usłyszałam głos Moniki.

— Jestem w wannie. Byłam okropnie zmęczona i musiałam się wykąpać — krzyknęłam przez zamknięte drzwi.

— OK, też mam ochotę na kąpiel — odpowiedziała, wchodząc do łazienki. — Ale ci dobrze. Przepraszam, że nie przyszłam z Marcinem, tak jak się umawialiśmy.

Przykucnęła przy wannie, patrząc na moje nagie ciało.

— Ładna jesteś.

— Zazdrościsz mi? — zapytałam, nie myśląc nawet o odpowiedzi, ale ona już ją wypowiadała.

— Skąd taki pomysł? Nie zazdroszczę, może raczej podziwiam.

— *Przepraszam, jestem jakoś dzisiaj rozdrażniona — zaczęłam się tłumaczyć.*

— *Nic się nie dzieje — stonowała. — Idę się napić do kuchni, dzisiaj ogromnie mnie suszy. Byłam umówiona z Marcinem, ale nie mogłam przyjść. Zrobimy szkice innym razem.*

Wyszła z łazienki, zostawiając mnie samą z moim moralnym kacem. Leżąc tak w stygnącej wodzie, przyrzekłam sobie, że to ostatni raz uległam takim emocjom.

— *Rozbiłaś ostatnią szklankę? — usłyszałam głos Moniki i znieruchomiałam, szukając szybko odpowiedzi.*

— *Wyślizgnęła mi się, zapomniałam posprzątać.*

Nie podobało mi się, że musiałam kłamać. W tym samym czasie zobaczyłam w myślach kosz i potargane resztki mojego niedoszłego szkicu. Znieruchomiałam, wyczekując chwili, kiedy podniesie się raban. Mijały chwile, ale nic takiego nie następowało. Zamiast tego usłyszałam.

— *Wychodź już, ja też muszę splukać proch i pot dzisiejszego dnia.*

— *Co takiego? — krzyknęłam, udając że nie słyszę, ale w końcu musiałam opuścić mój ciepły azyl i przebrać się.*

Była niecierpliwa, minęłyśmy się nagie w drzwiach do łazienki. Niestety, jak zwykle ręcznik leżał w szafie. Zanim jednak poszłam po niego, wyciągnęłam z kuchennego kosza zwinięty szkic aktu. Jeszcze bardziej go zgmiotłam i wepchałam do mojego plecaka. Jutro miałam jechać do domu. Po drodze go gdzieś wyrzucę do kontenera. Na dzisiaj sprawa wyglądała na załatwioną. Wieczorem miałyśmy iść na wernisaż, ale prawdę mówiąc, nie miałam już ochoty na żadną sztukę. Monika jednak nie dała za wygraną. Poszłyśmy na wystawę z cyklu „Mistrzowie martwej natury”. Nie miałam głowy do chłonięcia sztuki. Ciągle byłam przygnieciona ciężarem mojej nieokielznanej słabości. Mieszała się we mnie wściekłość na samą siebie i rozczarowanie. Oj, naiwna dziewczyno, a co ty sobie myślałaś, wchodząc z nim do łóżka? Seks jednak okazał się przyjemny, ale chciałam o nim jak najszybciej zapomnieć.

NIECHCIANY I CHCIANY PODARUNEK LOSU

W końcu zaliczyłyśmy akt męski na pięć. Za każdym kolejnym razem, kiedy stykałam się z nagim modelem, niczego podobnego już nie odczuwałam. Byłam spokojniejsza i nie ruszał mnie już żaden nagi tors. Zaczynałam wątpić, czy jeszcze kiedyś poczuję taki pociąg seksualny do jakiegoś faceta. Po kilku następnych

sesjach zaczęłam się martwić, czy jeszcze jestem kobietą. Wpadłam szybko z jednej skrajności w drugą. Zaczęłam się bacznie przyglądać swoim uczuciom, jakimi obdarzałam Marcina. Być może wyobrażałam sobie zbyt wiele, a moja sympatia do jego osoby przerodziła się w miłosny flirt, który dla mnie w głębi serca coś znaczył, jednak jego najwyraźniej nie obchodził wcale. Zaliczył po prostu seks z jeszcze jedną naiwniaczką. Prawda, że był uroczym i sympatycznym mężczyzną, ale teraz, kiedy cofam się myślami, aby zobaczyć jego reakcję, widzę niedojrzałego gościa i jego słowa: „Chyba jej nie powiesz?”. Później zaczął mnie unikać, może z przestachu, że mogę o tym opowiedzieć Monice. Nie miałam odwagi jej powiedzieć. W dalszym ciągu wydawali się być parą. Odsuwałam się jak tylko mogłam od nich, nie namówiłam się na wspólne malowanie jego aktu. Uciekałam jak spłoszony zając, schodząc im z drogi. Monika zaczynała coś podejrzewać, ale w końcu doszła do wniosku, że widocznie Marcin nie jest w moim typie.

Od kilku dni czułam się fatalnie. Wszystko wydawało się do dupy. Poranne mdłości i zawroty w głowie sparaliżowały kilka porannych wyjść na uczelnię. Początkowo zwalalam wszystko na okropne jedzenie, na które pozwalałyśmy sobie, chadzając wieczorami nad Wisłę. Potem wszystko jakby ustało, a nawet zajęć na uczelni pochłonął mnie bez reszty. Udało mi się wszystko zaliczać jak leci. Byłam z siebie ogromnie dumna. Coraz więcej byłam zdolna zapamiętać szczegółów podczas moich wycieczek po starym Krakowie. Po przyjeździe do mieszkania szkicowałam obrazy, które zapamiętał mój umysł, a później konfrontowałam je z realną rzeczywistością. Któregoś dnia po powrocie z uczelni postanowiłam uporządkować moją część szafy. Szło mi całkiem nieźle, dopóki nie wyjęłam ultra cienkich podpasek, jakie zakupiłam półtora miesiąca temu. Wtedy strzelił we mnie piorun z jasnego nieba. Nie miałam okresu, który normalnie przypadłby na początek tego miesiąca. Oblałam się potem i usiadłam na tapczanie, próbując zebrać myśli. Po chwili zastanowienia nie miałam już ochoty na ich zbieranie. Naprawdę zrobiło mi się niedobrze na myśl o mdłościach, które miałam. Czyżby sprawdziły się najgorsze moje przeczucia?

Nie zastanawiając się, wstałam i pobiegłam do najbliższej apteki po tester ciężowy. Pani w aptece zupełnie obojętnie podała mi to, o co prosiłam, a mnie serce wydawało się wyskoczyć z mojej piersi. Po drodze przeczytałam ulotkę. Wpadłam do łazienki i wykonałam szybko test. Usiadłam z powrotem na tapczanie, ale jeszcze nie miałam odwagi, aby spojrzeć na skalę. W końcu się przemogłam i spojrzałam. Na skali zobaczyłam dwie kreski. To koniec moich marzeń o szkole. Wypuściłam tester z rąk. Poczułam ucisk w gardle i naszedł mnie strach. Co teraz pocznę? W niczym nie mogłam znaleźć ukojenia. Pomyślałam o babci, która tak wiele mi pomogła w tym, abym uczyła się właśnie tutaj, w najlepszej uczelni. Poczułam, jakbym nagle zawiodła ją na całej linii. Kątem oka moich wyobrażeń zobaczyłam, jak płacze z mojego powodu. Znany mój świat zaczął się walić niczym

domek z kart, a wyglądał jeszcze kilka minut tak solidnie. Wszystko kotłowało się we mnie. Tygiel pęczniał i pęczniał.

Rozplakałam się może po raz pierwszy od śmierci rodziców, kładąc się głową prosto do poduszki, aby mnie nikt nie usłyszał.

— Co się dzieje? — usłyszałam nagle gdzieś z zaświatów głos Moniki.

Miała przyjść dopiero wieczorem.

— Nic — odburknęłam, hamując łkanie i płacz.

— Jak to nic — łagodnym głosem starała się szybko dociec przyczyn mojej hysterii. Objęła mnie szybko i pomogła usiąść. — Masz mi zaraz wszystko powiedzieć — naciskała mocniej.

Na szczęście lub moje nieszczęście zobaczyła na dywanie tester ciążowy. Nie musiałam już nic mówić. Objęła mnie mocnym, ale kobiecym uściskiem.

— Głupia, nie martw się. Coś wymyślimy. Mam znajomości.

Siedziałyśmy w milczeniu do samego wieczora. Żadna z nas nie mogła wydać z siebie głosu.

— Z nikim cię nie widziałam, nie miałaś chłopaka — tłumaczyła może sobie, może mnie, patrząc na moją twarz, szukając w niej odpowiedzi na swoje dociekania, by po chwili dodać. — Kim on jest?

Milczałam dalej.

— Chyba nie jest to niepokalane poczęcie? — zdenerwowała się.

— Nieważne — odparłam. — Nieważne, kim jest. Ważne jest to, co mam zrobić ze swoim życiem dalej?

— Jak to co? Nie ma wyjścia. Jeśli chcesz skończyć studia, musisz usunąć ciążę. No chyba, że... — zamyśliła się na moment — wrócisz potulnie do swojej babci i kochanego Żywca. Musisz działać i to szybko, zanim będzie za późno.

— Na co za późno?

— Nie rób się taka głupia. Na aborcję.

— Nie wiem.

— Czego znów nie wiesz? — podniosła nieznacznie głos. — To nie jest jeszcze tragedia. Co on na to?

— Nie będę mu mówić — odparłam spokojnie. — A więc jest jakiś on. Czekaj, jak się dowiem, kto to... — Nie dowiesz się.

— Dobra, nie będziemy o tym dyskutować. Prześpij się, zastanów i jutro podejmiesz decyzję. W dzisiejszych czasach usunąć ciążę nie jest aż tak wielkim problemem.

— Mam wątpliwości moralne — zaczęłam. — Nie chcę zabijać dziecka.

— Jakiego dziecka? To jeszcze tylko kupa komórek i nic więcej.

— Nieprawda — zaprzeczyłam.

— Pomyśl, jak bardzo dziecko cię ograniczy. Dwa lata wypadasz z nauki, bo jakoś nie widzę ciebie z dzieckiem na uczelni. Dziecku trzeba zapewnić opiekę, czas

i masę pieniędzy, a kto będzie płacił, jak ty nie chcesz znać jego ojca? Gdzie miałaś rozum?

— Właśnie nie miałam rozumu, zaćmiło mnie i wpadłam po uszy. Już mi dzisiaj nie praw moralów — wycedziłam zdecydowanie, tak że zapanowała kolejna długa chwila ciszy.

Monika włączyła radio i poszła na swój tapczan. Długo leżałam, nie mogąc zasnąć. Niewątpliwie miała rację, że dziecko oznaczało pożegnanie się z moimi studiami i planami na przyszłość, w najlepszym wypadku na dwa lata. Byłam skołowana i bezradna jak małolata w potrzasku losu, który kolejny raz starał się mnie przycisnąć do przysłowiowej ściany płaczu. Musiałam sobie wszystko poukładać na nowo. Dotknęłam dłonią brzucha, jakbym chciała uspokoić małego człowieka, gdy przeszył mnie dreszcz i znów zebrało mi się na płacz. Szlochałam po cichutku, aby Monika mnie nie usłyszała. Okno nie było zasłonięte. Z mojego miejsca było widać niewielki kawałek nieba. Naszpikowany jasną gromadą gwiazd, ale wprowadzał do mojego serca chłód i niepokój. Drżało pełne niepokojącego lęku, a moja dusza szarpała się w ogłupiałym materialnym ciele, w którym nagle niespodziewanie zaczęło tętnić serce nowego życia. Tam za oknem rodziły się nowe galaktyki i powstawały gwiazdy na przeogromną skalę, a tutaj w moim łonie rozbłyskały już światłem życia małe komórki jakiegoś stworzenia, które Bóg postanowił sprowadzić na Ziemię. W myślach zaczęłam odmawiać różaniec, pierwszą tajemnicę, radosną. Po kolejnej dziesiątce usnęłam.

SENS ŻYCIA

Wczesnym rankiem szybko wyskoczyłam z łóżka i wybiegłam na miasto. Nie wiedziałam jeszcze dokładnie, co zrobić. Postanowiłam się przejść i wszystko przemyśleć. Pogodny ranek nawet zachęcał do spaceru pięknymi uliczkami Krakowa, ale ja nie zwracałam dzisiaj na nie uwagi. Musiałam się skupić i pomyśleć, co dalej robić. Maszerując chodnikami wzdłuż kamienic, nagle stanęłam tuż przed Sanktuarium Matki Boskiej „Pani Krakowa” na Pisaku. Znałam to niezwykle uświęcone miejsce, czasami przychodziłam tutaj do mojej Niebieskiej Matki ze swoimi problemami. Nigdy nie przybywało tu zbyt wielu pątników i pielgrzymów. Kościół był schowany za murami miasta, stanowił raczej cudowne miejsce do kontemplacji. To tu dziękował za zwycięstwo pod Smoleńskiem król Zygmunt III, modlił się przed wyruszeniem na Wiedeń Jan III Sobieski, a ślub z Teodorą brał Jan Matejko.

Lubiłam to miejsce, szczególnie cudowną kaplicę. Sam kształt architektoniczny jest dość specyficzny. Oprócz części środkowej, wybudowanej na

planie kwadratu, istniały jeszcze po bokach jakby dwie mniejsze nawy. Wszystkie trzy części tworzyły niepowtarzalną kaplicę kopułową, tym razem wybudowaną na planie prostokąta, przylegającego do bocznej elewacji kościoła. Taki kształt kaplicy został narzucony faktem istnienia cudownego obrazu na tynku. Wizerunek Madonny Piaskowej znajdował się w głównym ołtarzu kaplicy.

Weszłam do wnętrza od ulicy Karmelickiej i usiadłam, patrząc w stronę Maryi. Sam cudowny obraz wykonany był techniką freskową na tynku, farbą temperową, w stylu renesansowym. Polubiłam to miejsce od pierwszego wejrzenia. Tutaj zapomniałam o całym świecie, zostawał za murem. Cudowna Madonna przedstawiona była, co się rzadko zdarza, jako kobieta w podeszłym wieku. Z wielką troską pochyla głowę w stronę Dzieciątka, które piastuje na lewym ramieniu. Tyle razy patrzyłam na jej twarz, która pełna jest łagodności, majestatu i wielkiej godności. Tutaj wreszcie poczułam się bezpiecznie. Spojrzenie Jej oczu emanowało spokojem i wprowadzało w moje serce oczekiwany spokój. Głowę Maryi okrywał muślinowy welon, a w prawej dłoni trzymała jabłko — symbol odkupienia. Zwracałam uwagę na każdy szczegół, jakby była moją cudowną modelką. Jezus odziany był w sukienkę ściągniętą paskiem, prawą rączką obejmował jabłko leżące na dłoni swojej Mamy, natomiast lewą przytrzymywał na kolanach książkę — symbol Nowego Przymierza. Jego mała twarz porażała dostojnością i powagą.

Dobrze, że tutaj przyszedłam. Maryjo, ty wszystko wiesz, znasz najciemniejsze zakątki mojego serca, znasz moje myśli i moją rzeczywistość, proszę, daj mi siły, bym podjęła dobrą decyzję, bym nie lękała się niczego w swoim życiu i podjęła walkę, nawet jeśli będę musiała z czegoś zrezygnować. Dodaj mi twojej siły i charakteru, a także spraw, bym potrafiła zawierzyć twojemu synowi, uznając, że wszystko na Ziemi dzieje się dla jakiejś wyższej przyczyny i to małe poczęte już w moim łonie dzieciątko przyjdzie na świat, ponieważ już je pokochałam bezgranicznie i nie pozwolę skrzywdzić. Ufam, że mi pomożesz, chociaż wczoraj jeszcze nie wiedziałam, jak mam pokierować swoim życiem. Teraz zaczynam już rozumieć bezgraniczną miłość matki do dziecka, nawet jeśli nie ma jeszcze rąk i nóg, ale ono ma już duszę i serce pochodzące nie z ciała, lecz od Boga. Wyjęłam różaniec z torebki i zaczęłam odmawiać tajemnicę bolesną. Czulałam jak ogarnia mnie spokój, a każdy paciorek zrzuca z moich ramion nałożony ciężar, który jeszcze chwilę temu przygniatał mnie do ziemi. Poczułam się lekka. Już sięgałam wzrokiem w przyszłość, która nagle zajaśniała, chociaż wątpliwości ludzkiej natury musiały gdzieś się czaić. Nie dostrzegałam ich, wzmocniona niewidzialną siłą płynącą z modlitewnej medytacji i wsparcia mocy, której nie mogłam sobie wyobrazić.

Trwałam w modlitwie może z godzinę. Wrażenie jednak okazało się zgoła fałszywe, bo kiedy wyszłam na ulicę, słońce było już bardzo wysoko. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła dwunasta. Nie mogłam uwierzyć, że cztery godziny spędzone

w cudownej kaplicy sugestywnie trwały tak krótko, ale dodały mi tak dużo sił do dalszego życia.

Postanowiłam pójść nad Wisłę. Dzisiaj i tak uczelnia oddaliła się ode mnie na znaczną odległość. Chciałam odpocząć w promieniach słońca, siedząc na ławce pod murami Wawelu. Bez trudu dotarłam we wspomniany rejon i nawet pusta ławeczka czekała na moje trochę zmęczone już nogi. Siadywałam na niej dość często z Moniką. Teraz delektowałam się spokojem. Słońce pieściło moją bladą twarz. Obserwowałam jak matki spacerowały ze swoimi pociechami. Po cichu w myślach wyobrażałam sobie siebie, utożsamiając się z ich rolą, patrząc, z jaką czułością obdarzają swoje nieokielznane czasem maślaki. Instynkt macierzyński odezwał się we mnie i rozpoczął życie razem z maleńkim dzieciątkiem, które nie wydawało mi się już zlepkiem komórek, a tętniącym energią człowiekiem, mającym realne nóżki, rączki, główkę i prawdziwe serce. Czulałam, jak zewsząd dociera do mnie szczęście.

W tym cudownym uniesieniu nagle poczułam jak napływa do mnie ogromny ból podbrzusza. Przyłożyłam dłonie do miejsca, skąd wydostawał się na zewnątrz, promieniując we wszystkie strony. Zaczęłam łapczywie łapać powietrze. Brakowało mi tchu i świat zaczął wirować wokół mnie. Chyba traciłam kontakt z rzeczywistością. Zobaczyłam twarz jakiegoś mężczyzny pochylającą się nade mną. Wydawał mi się taki znajomy. Czulałam, jak układa mnie w pozycję bezpieczną, jednak jego słowa docierały do mnie rozmazane, tak, że nie potrafiłam ich zrozumieć. Potem wszystko odpłynęło.

SZPITAL PRZEMIENIENIA

Obudziłam się w szpitalu. W pokoju zobaczyłam trzy łóżka, ale nikt na nich nie leżał. Przebywałam sama. Wyszło ze mnie całe powietrze. Chwilę wcześniej rozmawiałam z lekarzem prowadzącym. Diagnoza jeszcze bardziej przygniotła mnie do materaca. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Ogarnął mnie lęk. Moja młoda ciąża była zagrożona, a ta mała istotka, która poczęła się w moim łonie, pewnie jak ja lękała się o swoją przyszłość. Na szczęście krwotok został zahamowany. Ledwie uspokoiliłam się wewnętrznie, kiedy przez uchylone drzwi zobaczyłam maszerującą w moją stronę Monikę. Delikatnie otworzyła drzwi, wciskając najpierw głowę, a ujrawszy mnie, uśmiechnęła się i bez namysłu weszła do środka. — Jesteś, kochana. Co się stało? — od razu przeszła do pytania.

— Jestem przerażona — odparłam przejęta bez zastanowienia, wyrażając najgłębsze moje odczucia.

— Uspokój się, wszystko będzie dobrze — zaczęła łagodnie, siadając na

brzegu łóżka.

— Ale ciąża jest zagrożona — westchnęłam głęboko, a gardło zacisnęła jakaś pętla. Jeszcze wczoraj nie wiedziałam, że pokocham tę niewidzialną istotkę tak wielkim uczuciem.

Monika tylko spojrzała na mnie i już wiedziała, że żadna aborcja nie wchodzi w grę. Wyraźnie też nie miała już zamiaru wracać do tego tematu.

— Co teraz zrobisz? — zapytała zatroskana. — Powiesz babci?

— Kiedyś jej powiem, ale jeszcze nie teraz. Pobędę kilka dni w szpitalu. Jutro zadzwonię, że nie przyjadę, ponieważ... Coś tam wymyślę, może dodatkowe zaliczenia.

— O tak, już widzę jak kłamiesz — rzuciła z uśmiechem.

— Nie gniewaj się, muszę odpocząć, to wszystko mnie przerosło.

— Oj przerosło, przerosło. W mieszkaniu będzie mi ciebie brakowało. Przyjdę w takim razie jutro. Nie będę cię męczyć i tak dużo już przeszłaś, a skoro chcesz urodzić, musisz się przygotować na większe przeszkody i trudy.

— Monika, nie strasz mnie. Ty wiesz, jak mnie pocieszyć. Nie wiem, co przyniesie mi los, ale już jestem pewna swoich zamiarów — twardo obstawałam przy swoim.

Nie miała zamiaru mnie już więcej męczyć. Przytuliła mnie serdecznie i pocałowała w czoło.

— Pójdę już, skoro mnie tu już nie chcesz. Chciałam tylko zobaczyć, czy wszystko w porządku. Przynieść ci jutro coś? — zapytała jeszcze, wypuszczając mnie ze swoich objęć.

— Przyniesę moją nową koszulę nocną. Te szpitalne łachy są do niczego. Dziękuję, że przyszłaś. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, chociaż czasem bardzo męczącą i uciążliwą. A, jeszcze jedno, nie wiesz, kto wezwał karetkę?

— Skąd miałabym to wiedzieć?

— Nie wiem, tak sobie pomyślałam, że skądś wiesz. No to pa. Do jutra.

Jestem zmęczona.

— Pa — odwzajemniła moje pożegnanie.

Zostałam zupełnie sama z moim lękiem o moje maleńkie dziecko, o którym jeszcze przedwczoraj nie wiedziałam nic. Przez moje zmysły przetoczył się huragan emocji. Już się nie bałam jutra, miałam dla kogo żyć i już żyłam. Leżałam, spoglądając za okno na stojące przy murze drzewo. W gęstwinie gałęzi można było zobaczyć gniazdo. Co jakiś czas przylatywał tam szary ptaszek podobny do wróbla. Tak się ciągle śpieszył i śpieszył, przynosząc w dziobie jakieś kawałki jedzenia. Wyraźnie wydawał się być w tej pracy uradowany, do tego systematyczny i chyba szczęśliwy. Leżałam i zazdrościłam mu, aż nagle na krawędzi gniazda usiadł jeszcze jeden ptaszek. Na moment dotknęły się dziobami. Zrozumiałam, że najprawdopodobniej stanowili całkiem sympatyczną parę, zakręconą w pracy, aby

zaspokoić w pokarm swoje pociechy. Ja byłam niewątpliwie sama ze swoim nowym szczęściem, do tego pełna obaw, czy doczekam chwili jego narodzin. W ciszy zaczęłam się modlić, kiedy ktoś delikatnie zastukał w drzwi.

— Proszę nie pukać, tylko wejść — usłyszałam za drzwiami głos pielęgniarki.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł mężczyzna.

— Dzień dobry pani — przywitał się nieśmiało.

— Dzień dobry — odparłam zdziwiona.

— Jak się pani czuje? — zapytał zmieszany, podchodząc do łóżka.

Kiedy był już blisko, jego twarz wydała mi się znajoma.

— Czy my się znamy? — zapytałam wprost.

— Znalazłem panią koło ławki — zaczął się tłumaczyć.

— A, to pan mnie znalazł — ucieszyłam się. — Pytałam wszystkich, ale nikt nie wiedział, kto mi pomógł.

Nagle zza pleców wyłoniły się kwiaty.

— To dla mnie? — udałam zdziwioną, jakby w pokoju jeszcze ktoś leżał. — Chyba ja panu powinnam podziękować za okazaną pomoc.

— Długo nie dawała pani oznak życia, chociaż czułem puls. Karetka szybko przyjechała i wybawiła mnie z opresji. Sam byłem przestraszony.

— Bardzo panu dziękuję za wszystko.

— Czy wszystko w porządku? Jak dzidzius?

— Dzidzius? No tak, skąd pan wie o nim? — zapytałam z niedowierzaniem, bardzo zaskoczona.

— Leży pani na oddziale położniczym, jest pani młoda, przepraszam, może się pomyliłem... Ale ze mnie gapa — mówił, cedząc wyrazy i zdania.

— Nie pomylił się pan, rzeczywiście jestem w ciąży, ale to początkowe tygodnie — nie wiedziałam, dlaczego się tłumaczyłam przed facetem, którego nie znałam.

— Nie, to ja panią przepraszam za moje wścibstwo. Pielęgniarka myślała, że jestem pani chłopakiem, a ja nie wyprowadzałem jej z błędu. Chciałem tylko zobaczyć, czy wszystko w porządku i już znikam.

— Proszę usiąść, jestem pewnie niemiła, ale właśnie dowiedziałam się, że moja ciąża jest zagrożona. Być może, gdyby nie pan, już straciłabym dziecko.

Nie wiem, dlaczego poczułam się spokojniejsza. Patrzyłam jak siada na krześle tuż obok mnie i wcale nie wydaje się być dla mnie osobą nieznaną, wręcz przeciwnie.

— Przepraszam, może trzeba powiadomić kogoś bliskiego, męża? — zapytał z troską w głosie w podobnym tonie, jak jakąś chwilę temu Monika.

— Nie mam męża ani chłopaka — przyznałam spokojnie i zaraz pomyślałam, jak to może dziwnie wyglądać.

— *To może kogoś bliskiego albo rodzinę? — nie ustawał w oferowaniu swojej pomocy.*

— *Jak pan ma na imię? — przerwałam jego pytania.*

Zawahał się chwilę.

— *Marcin.*

Znów Marcin, chyba miałam wyraźnego pecha do tego właśnie imienia, chociaż mogłam się mylić. Sprawiał dobre wrażenie i ratował mi życie.

— *Marta — postanowiłam się przedstawić.*

Wyraźnie na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— *Nie mam już chłopaka — dodałam po chwili.*

Wyglądało to tak, jakby moje słowa sprawiły mu ulgę.

— *Kim pan jest? — zapytałam i zdziwiłam się, jak mogłam zadać tak głupie pytanie.*

— *Przyjechałem do Krakowa trzy lata temu z postanowieniem wstąpienia do seminarium, ale okazało się, że nie mam do tego, jak to powiedzieć najlepiej, może określonych predyspozycji. Być może Bóg nie powołał mnie, abym został Jego prawą ręką. Teraz jestem na drugim roku AGH, a co gorsze, mam mieszkanie niedaleko pani.*

— *Czy możemy mówić sobie po imieniu? — zapytałam, chcąc jak najszybciej znieść barierę sztuczności, i wtedy dopiero dotarło do mnie, o czym mówił przed chwilą. Stąd wiedział, gdzie mieszkam.*

— *Oczywiście, będzie mi bardzo miło — ucieszył się. — Często widywałem cię na ulicy.*

— *Teraz już rozumiem, dlaczego wydajesz mi się znajomy. Mieszkasz blisko mojej kwatery i musieliśmy często mijać się na drodze, może nawet w tramwaju.*

— *O tak, raczej ja ciebie widywałem. Nie zwracałaś na mnie uwagi, ale ja wiem, gdzie studiujesz, widziałem twoje prace.*

— *Widziałeś moje prace? — kolejny raz pytałam kompletnie zaskoczona i zdziwiona, ale nie oczekiwałam na odpowiedź.*

Widziałam, jak jego twarz czerwienieje, trochę zawstydzona. Wyciągnęłam do niego rękę, a on odwzajemnił mój gest, podając mi swoją dłoń.

NADZIEJA

Od pamiętnego pobytu w szpitalu minął długi miesiąc. Moja kochana babcia wiedziała już, że jestem w ciąży. Nie mogłam jej oszukiwać, to nie była moja bajka. Trzy tygodnie w szpitalu wyraźnie mnie podłamało, ale Marcin stał się najbliższym moim przyjacielem. Nie wiem, jak to się stało. Po pierwszym spotkaniu przyszedł na

drugi dzień, przyniósł rosółu z makaronem domowej roboty i gotowaną cielęcinę. Przyznam, że nie cierpiałam gotowanej cielęciny, jednak, kiedy przyniósł, zjadłam ze smakiem. Po dwóch tygodniach wiedzieliśmy już o sobie prawie wszystko.

Momentami przeszkadzała mi jego przesadna troskliwość.

Monika myślała cały czas, że on jest ojcem dziecka. Nie miałam zamiaru niczego prostować. Powoli jakbym oddalała się od niej. Jej miejsce wolno, ale stopniowo zapełniał Marcin.

Z początku myślałam, że coś z nim nie tak, jednak z biegiem czasu poznawałam jego piękny umysł, wrażliwość, zupełnie odmienne niż prawdziwego ojca mojego dziecka. Staralam się wymazać z mojej pamięci obraz pierwszego Marcina. Czulałam się wyraźnie lepiej. Mogłam wrócić na uczelnię, ale zalecenie lekarza prowadzącego było jedno: nie prowadzić forsownego trybu życia. Tylko spokój mógł mnie i moje dziecko uratować. Nie byłam już na uczelni prawie od miesiąca. Mogłam wystąpić o urlop zdrowotny i pewnikiem miałam właśnie tak zrobić, myśląc przede wszystkim o moim dziecku. Coraz więcej wylegiwałam się w domu na tapczanie albo, kiedy nie było kolegi Marcina, w jego mieszkaniu. Byłam pewna, że udało mi się uchwycić Pana Boga za nogi.

Codziennie masowałam brzuszek, pieszczotliwie mówiąc do malca czule słówka. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam bicie jego serca, oszalałam z radości i wzruszenia. W to wszystko zaczął wpisywać się Marcin. Łączyła nas niewidzialna nić, jakbyśmy byli stworzeni dla siebie. Widziałam, jak Monika zaczyna mi zazdrościć. Nie wiem, czy miało to jakiś wpływ, ale w końcu zerwała ze swoim chłopakiem, i dobrze, cierpiałam na jego widok. Dziękowałam Bogu, że postawił na mojej drodze tego swojego wysłannika, człowieka o cudownym sercu i wrażliwej duszy. Czyżby tak wyglądała prawdziwa miłość? Codzienne jego buziaki dodawały mi sił. Byłam szczęśliwa.

POWRÓT LĘKU

Dzisiaj była środa. Po piętnastej miał mnie odwiedzić Marcin. Nie wiedziałam, komu, a może czemu zawdzięczałam jego poznanie. Znaliśmy się od niedawna, mimo to zaczynałam tęsknić za nim i każda chwila bez niego powodowała napływ ogromnej tęsknoty. Czulałam, że zaczynam się uzależniać od jego obecności, głosu, uśmiechu, zwykłej czułości, jaką mi okazywał. Nie przeszkadzała mu zupełnie moja ciąża, moje rosnące w łonie, przecież nie należące do niego nowe życie. Cieszył się ze mną, a ja radowałam się z nim. Wszystko wyglądało dobrze, chociaż dzisiaj od rana poczułam się odrobinę gorzej. Nawiedzały mnie delikatne bóle w podbrzuszu. Nic wielkiego, a jednak poczułam

niepokój. Wmawiałam sobie, że jestem przewrażliwiona, ale od czasu mojego pobytu w szpitalu bacznie analizowałam stan mojej ciąży. Wierzyłam lekarzom i ich prognozom na przyszłość. Dawaty mi ogromną wiarę w kolejnych dniach, że wszystko będzie dobrze. Poszłam się położyć na kilka chwil, zanim Marcin przyjdzie, z nadzieją, że bóle ustaną. Nie ustawały, a piętnasta już minęła. Usłyszałam jednak zgrzyt zamka i chwilę później, jak drzwi do mieszkania otwierają się. Nie podniosłam się, pełna obaw o ból, który przecież mógł się nasilić w każdej chwili. Ulga, że nie jestem sama, mieszała się ze strachem, co będzie za chwilę.

— Marta, co się dzieje? — zapytał, pochylając się nade mną.

— Źle się dzisiaj czuję — poinformowałam go z grymasem na ustach.

— Jedziemy do szpitala — bez namysłu zdecydował głosem, który nie znosił sprzeciwu.

— Może masz rację, jedźmy — łamanym głosem pełnym obawy poparłam jego słowa, wstając do pozycji siedzącej. — Proszę, przynieś mi buty, jakoś nie mam siły i boję się każdego ruchu.

Szybko poszedł do przedpokoju i przyniósł moje sandały. Ubrałam je sama i poszłam do łazienki. Chciałam się wysikać i kiedy ściągnęłam majtki, zobaczyłam, że znów zaczynam plamić krwią. Na półce leżały podpaski, założyłam jedną, a resztę spakowałam do reklamówki. Wychodząc z łazienki, spojrzałam na Marcina błagalnym wzrokiem.

— Znów plamię. Marcin, boję się.

— Kochanie, tylko spokojnie, wszystko będzie dobrze. Co jeszcze zabierasz?

Wydawał się spokojny albo tylko udawał opanowanie. Pewnie pierwszy raz zetknął się z taką sytuacją, ale wyraźnie podtrzymywał mnie na duchu.

— Weź czysty ręcznik z szafy i moje dokumenty razem z torebką, są na krześle.

Czułam, jak moje nogi zaczynają się trząść. Cała zresztą dygotałam. Strach o maluszka wypełniał mnie złowrogo. Znów spodziewałam się najgorszego. Całe szczęście, że Marcin miał starego malucha. Zielona żaba, jak ją nazywał, w miarę szybko zawiozła nas do szpitala na oddział patologii ciąży. Sanitariusze, po aferze, jaką wywołał mój kochany Marcin, załadowali mnie z krzesła na łóżko. Chwilę później znalazł się lekarz dyżurny, dość elokwentny, jego proste pytania szybko uzyskały moje odpowiedzi. Zaraz błyskawicznie po tym wywiadzie znalazłam się w pokoju zabiegowym na pierwszym badaniu. Pielęgniarka i dwóch lekarzy szybko wymieniali się poglądami. Nie cierpiałam tego momentu, kiedy wsuwano we mnie zimne kleszcze ginekologiczne. Drżałam ze strachu i lęku jak osika. Śledziłam zmieniające się wyrazy twarzy, jakie pojawiały się na obliczach lekarzy. Wydawali się spokojniejsi. Zaraz po badaniu pielęgniarki pomogły mi się przebrać, wrzucając moje ciuchy do niebieskiego foliowego worka, po czym zawiozły mnie na salę,

gdzie leżały dwie kobiety, jak się okazało, na podtrzymaniu ciąży. Zaraz też zostałam nakłuta do badania krwi i podpięta do kroplówki. Uspokoiliam się wewnątrz.

Marcin przyszedł do mnie i usiadł na wolnym krześle.

— Wszystko będzie dobrze — powtarzał jak mantrę te same słowa.

Trzymałam go za rękę, jakby od niego cokolwiek zależało. Siedział, dokąd mu pozwolono, ale zrobiło się już późno i został wyproszony. Na odchodne dał mi buziaka i zapewnił, że będzie się modlił. W to jego zapewnienie wierzyłam i to nie tylko dlatego, że próbował studiować w seminarium, ale że z natury był dobrym człowiekiem i do tego niezwykle religijnym. W nocy co jakiś czas wpadała do pokoju pielęgniarka i podnosiła koldrę, patrząc, czy nie krwawię, pytając przy tym, czy nie dopada mnie ból. O dziwo, nie dopadał mnie. USG wykonane tuż po przyjęciu było dobre. Serce malucha pracowało normalnie. Lekarze nie mogli jednak zlokalizować przyczyn krwawienia, które jednak na szczęście ustało. Zmęczona czuwaniem zasnęłam.

ELISHEBA

Leżałam już drugi miesiąc na podtrzymaniu. Rano obudził mnie ból. Nie namyślając się, nacisnęłam guzik alarmu do pokoju pielęgniarek.

Zaraz potem ustąpił.

— Co się dzieje? — zapytała, wchodząc do sali, pielęgniarka.

— Mam bóle — zaniepokojona odpowiedziałam.

— W jakich odstępach? — szybciutko zadała nowe pytanie.

— Na razie jeden.

— Jeden ból i dlatego pani mnie woła? Gdyby zaczęły się pojawiać częstsze, wtedy proszę dzwonić — zdecydowała, ignorując mój strach.

Z pewnością zobaczyła go w moich oczach, ale wyszła spokojnie, jak gdyby nic się nie stało. Aby się uspokoić, spojrzałam za okno. Pomyślałam, że jak urodzę dziewczynkę, jak stwierdzili podczas USG, dam jej na imię Halszka, czyli Elisheba po hebrajsku, co w tłumaczeniu na język polski oznacza: poświęcona Bogu. Jak bardzo pragnęłam, aby w tym momencie czas przyśpieszył i pofrunął chociaż do siódmego miesiąca. Wiedziałam jednak, że czas jest bezduszny i nie reaguje na żadne prośby.

Nic nie pomagało. Po chwili względnego spokoju przyszedł kolejny ból, a potem kolejny. Byłam zrozpaczona. Nacisnęłam kolejny raz przycisk i wołałam o pomoc. Czulałam podświadomie, że zaczynam rodzić. Płyn wypełniający pęcherz płodowy zaczął wypływać, mocząc uda i pośladki. Do pokoju wbiegła siostra,

polapując się w mgnieniu oka, co się dzieje, zaczęła wyjeżdżać łóżkiem na korytarz, a potem na zabiegowy. Przeszył mnie miecz bóleści. Zrozumiałam, że Halszka nie doczeka jutra w moim brzuchu. Czulał wyraźnie jak wszystko ze mnie spływa i jej życie także.

Po południu wróciłam na salę bez mojej córeczki. Czulał się opuszczona przez Boga i przez ludzi. Samotna wylał z żalu do poduszki. Nie mogłał pojąć, dlaczego On odebrał mi moje szczęście. Może dlatego, że od razu go nie pokochałał? Nikt nie był w stanie mi pomóc, nawet Marcin, który przyszedł jak zwykle pełen troski i miłości. Widzielał w jego oczach łzy, ale nie potrafiłał z nim rozmawiać. Widocznie rozumiał mój stan, jak targały mnał emocje i smucił się razem ze mnał, jednak skapitulował po dłuższym czasie. Zostałał sama ze śmiercią mojej Halusi. Żal ścisakał moje serce nieznośnym bólem i nie było środka, żeby go ukoić. Zdruzgotana, oczyma mojej wyobraźni widzielał maluszka, który wydstajał się na łono niedostępnego jeszcze dla siebie świata, pozbawiony ciepła i przytulności domu, którym było moje ciało, zastyga w śmiercionośnym uścisku, pozwalajał swemu sercu stanąć w tym miejscu i w tym czasie.

Przez najbliższe godziny zupełnie odłączyłał się od świata. Dopiero rano przypomniałał sobie wszystko, co działo się na porodówce. Dlaczego wcześniej tego nie pamiętałał. Naprawdę zobaczyłał moją córeczkę, mokrą i zakrwawioną. Zobaczyłał, jak lekarz trzyma ją w ręce, ale ona jeszcze rozpaczliwie porusza nóżkami i rączkami, a pielęgniarka odcina pępowinę. To były ostatnie obrazy, jakie ujrzałał, nim straciłał świadomość.

Rankiem w czasie obchodu lekarskiego podeszła do mnie młoda lekarka. Kiedy wszyscy już wyszli, powiedzielał łamiącym się głosem.

— Pani córeczka nie przeżyła pierwszej godziny. Nie wykształciły się jeszcze płuca i mimo naszych starań, nic nie mogliśmy zrobić.

Patrzyła na mnie, jakby się usprawiedliwijał, mnie jednak jej słowa nie były potrzebne do niczego. Ona mogła wrócić do domu, a ja musiałał żyć ze świadomością, że może coś źle zrobiłał, czegoś nie dopilnowałał.

Łzy znów cisnęły się do oczu.

— Jest jeszcze coś — zaczęła powoli, jakby chciała przeciągnąć w czasie swoją ostateczną wypowiedź. — Nie będzie pani mogła mieć dzieci, a jeśli już zajdzie pani w ciążę, może się to skończyć w podobny sposób.

Po tych słowach wstała i najnormalniej w świecie wyszła z sali. Po raz drugi runął mi cały świat. Jeszcze nie zdążyłał otrząsnąć się choć troszeczkę po stracie córeczki, a tu kolejne uderzenie powalało mnie na ziemię i obdzierało bez skrupułów, choćby z cienia nadziei na jutro.

Leżałał odwrócona do ścianał, płacząc co jakiś czas, kiedy wizje porodu powracały jak zły sen. Bezsilna, zdana byłał tylko na czas, który może złagodzi ból, zacierał komórki pamięci. Nic podobnego nie następowało.

Na dworze zapadał zmrok.

Wtedy usłyszałam głos Moniki.

— Marta, jak się czujesz?

Odwrociłam się w jej stronę, ale robiłam wszystko z jakimś potwornym grymasem na twarzy. Nie chciałam z nią rozmawiać.

— Nic nie mów — zastrzegłam słabym głosem. — O niczym nie chcę wiedzieć.

— Dziewczyno, jak ty wyglądasz? Trzeba się brać do życia. Nie świruj, to tylko był płód — rzuciła z nonszalancją, która wyzwoliła we mnie pokłady agresji. Jej słowa przeobraziły mnie w walczącą o życie swojego dziecka matkę.

— Przestań! Nie wiesz, o czym mówisz! Chyba oszalałaś — wyrzucałam słowa jak z automatu z wyraźną nutą agresji i szaleństwa.

Monika zamarła na chwilę, przyglądając się mojemu wybuchowi. Wyglądałam pewnie jak szalona baba, niespełna rozumu, ale rozum miałam aż nadto trzeźwy, chociaż podłamany tragedią śmierci mojej córki.

— Przepraszam, że nakrzyczałam — zaczęłam z wolna, kiedy emocje troszeczkę opadły. — Kiedy będziesz matką, zrozumiesz. Teraz mówisz jak te kobiety, które usunęły ciężę. Dla nich to płód, bo słowo to brzmi zupełnie inaczej niż dziecko. Nie dopuszczając go, czują się lepiej. Jakby to brzmiało, gdyby powiedziała: usunęłam dziecko, zabiłam dziecko...

Zamilkłam. Monika chyba szybko połapała się w moim tłumaczeniu. Spuściła głowę i wzrok.

— Przepraszam... Nie wiedziałam, nie zastanawiałam się nad tym, co czuje prawdziwa matka. Wybacz mi.

Nie miałam ochoty na rozmowę, ona zresztą chyba po moim wystąpieniu również. Posprzątała tylko moją szafeczkę, umyła mi kubek i po kilku minutach bezcelowego siedzenia pożegnała się, wychodząc z sali. Myślałam, że już koniec dzisiejszych odwiedzin i zostanę sama. Wydawało mi się, że tak będzie lepiej, że nie potrzebuję żadnej bliskości i współczucia. Grzęzłam w swojej żałobie, która ogarnęła i przesywała moje serce, nie mając znikąd pomocy.

Obolała, ledwo obróciłam się na plecy, gdy do pokoju wszedł Marcin.

— Witaj kochanie — powitał mnie spokojnym stonowanym głosem, jak zawsze pełnym troski.

— Witaj, wybacz moje wczorajsze ekscesy — zaczęłam, zdając sobie sprawę, jaka byłam niemila, chociaż nie zasłużył w żadnym stopniu na moją niechęć.

Nie mogłam się zebrać w garść, ale która kobieta byłaby tak silna i po śmierci swojego dziecka funkcjonowałaby normalnie?

— Nic nie mów — odpowiedział, całując mnie w suche usta. — Boli cię? — Marcinku, wszystko mnie boli, i ciało, i serce.

— Rozmawiałem z lekarzem. Zapytał mnie, czy podjęliśmy już decyzję

w sprawie pochówku.

Jakby mnie znów trafił piorun. Marcin wydawał się być opanowany i tylko dzięki temu nie wybuchłam płaczem. Powstrzymywałam się jak tylko długo mogłam. Chwycił mnie za rękę. Jego ciepła dłoń ogrzewała moje zimne palce. Wtedy pojawiły się pierwsze łzy. Nie miałam żadnej ochoty do rozmowy o pogrzebie. Gdzieś wewnątrz czułam potrzebę ucieczki od tych wszystkich spraw. Wyobraziłam sobie całą ceremonię, jak niekończący się koszmar, grający w moim sercu pieśń żałobną.

— Nie denerwuj się — znów rozpoczął spokojnie.

— Nie chcę słyszeć o pogrzebie — podniosłam nieco głos, ale zaraz opuściłam głowę. — Marcinku, wiem, że nie mogę uciec przed tym wszystkim, a tak bardzo bym chciała.

Znów pochylił się i przytulił do mojego ciała. Odczulałam ulgę. To tak, jakby zabrał ze mnie część mojej rozpacz.

— Musimy zarejestrować urodziny dziecka w USC. Aby tego dokonać, musimy zażądać pisemnego zgłoszenia urodzenia dziecka oraz karty zgonu, inaczej nic nie zdziałamy. Lekarz już nadmieniał... — zamilkł.

— Co nadmieniał? — zapytałam.

— Proszę cię, nie denerwuj się — uspokajał. — Zabrzmi brutalnie, ale to jego słowa, o utylizacji...

Zapadła cisza. Rzeczywiście słowo utylizacja pasowało jak wół do karety. Serce z nerwów przyspieszyło, ale wiedziałam, że muszę już walczyć o swoje dziecko, aby nie stało się bezimienne.

— Kochanie, nie martw się, mam trochę pieniędzy. Ja wszystko załatwię. Lekarz już podsuwał mi zgodę na badanie histopatologiczne, ale odmówiłem. Myślał, że jestem ojcem, a ja go nie wyprowadziłem z błędu. Przynajmniej oszczędził cię i tej brutalnej swojej gadki, którą mnie uraczył.

— Dobrze kochany, dobrze zrobiłeś — poparłam jego słowa, mocniejszym uściskiem dłoni, próbując mu jakoś po swojemu podziękować.

ANIOŁEK Z IMIENIEM

Ten koszmar nie kończył się, ale Marcin okazał się moim najlepszym przyjacielem. Byłam jeszcze słaba, a on przyjął na siebie wszystkie obowiązki ojca i matki. Po czterech dniach zabrał mnie ze szpitala i zawiózł do mojej babci w Żywcu. Na swoich śmieciach poczułam się lepiej. Wsparcie mojej siostry i bliskich łagodziło ból, dopóki Marcin po załatwieniu całych prawnych procedur, nie zadzwonił z prostym pytaniem, gdzie planuję pochować małą Halszkę. Nie

myślałam o tym i zaraz rozplakałam się. Babcia okazała się bardziej twarda ode mnie. Tej wspaniałej kobiety, która przeżyła holokaust, nic już nie mogło załamać. Poradziła mi, abym pochowała dzieciątko na grobie rodziców i tak miało się stać. Marcin przyjechał następnego dnia i przywiózł akt urodzenia i akt zgonu. Patrząc na imię i nazwisko córeczki rozplakałam się. Nie była już bezimienną postacią skazaną na zapomnienie. Była prawdziwie moją córuchną Halusią, która musiała odejść z innymi aniołkami do nieba. Pewnie moi rodzice już są razem z nią i zaopiekują się moim maleństwem. Znów ją zobaczyłam umorusaną we krwi, ale potrząsnęłam energicznie głową i moimi myślami, wyrzucając ten obraz i zastępując maleńką, czyściutką dziewczynką z promiennym uśmiechem. Dziękowałam Bogu za Marcina, którego pokochałam jeszcze mocniej. Okazał się być prawdziwym moim mężczyzną.

Po południu załatwił wszystko z księdzem i grabarzem. Chociaż cierpiałam, zaczęłam czuć się prawdziwą matką. Ceremonię miał poprowadzić nasz wikary. Wszystko mi objaśnił. Halusi nie potrzeba było już chrztu. Sam Jezus zmył jej grzech pierworodny, oddając w cierpieniach swoje życie na krzyżu. Wystarczyło tylko nasze pragnienie tego sakramentu, aby się wszystko dopełniło. Nasza córeczka nie popełniła przecież żadnego grzechu, przychodząc na ten zimny i niedostępny dla siebie świat.

Następnego dnia rano chodziłam spięta, ale bliskość Marcina, który mnie nie odstępował nawet na krok, dodawała mi sił. Nie płakałam, chociaż, kiedy opróżniałam piersi z pokarmu, naszła mnie żalność i ból. Uporałam się z nią, wmawiając sobie, że to nie pora na łzy. To szczęście, że moja córka może być godnie pochowana, nie zasilając rzeszy bezimiennych niechcianych i zamordowanych dzieci. Ja miałam ją, a ona mnie.

Nikt z nas nie ubrał się na czarno, a odświętne stroje wydawały się być radosnym potwierdzeniem chwili, że człowiek umierając, żyje dla swojego Stwórcy. Nie było mszy. Ksiądz ubrany w białą szatę poprowadził orszak z maleńką białą trumną od kaplicy w kierunku grobu moich rodziców. Kiedy wypełniło się ludzkie przeznaczenie mojej Halusi i ksiądz ostatecznie pożegnał jej doczesne szczątki, do wykopanego grobu podeszła mała dziewczynka ze skrzypcami. Nie było nas dużo. Staliśmy wokół wykopanego dołu pełni żalu, że ta maleńka istotka nie będzie mogła nam usiąść na kolanach, objąć naszej szyi i pocałować w usta. Na jej pieszczoty musieliśmy jeszcze poczekać do chwili, kiedy Bóg nam pozwoli. Wtedy popłynęła muzyka prawdziwie niebiańska, wydobywająca się z drewnianych malutkich skrzypiec i strun, po których przesuwiał się prowadzony przez małą dłoń dziewczynki smyczek. Na przemian dźwięki koily i przeszywały moją duszę. Na końcu muzyka ucichła, jakby rozplynęła się w promieniach jaśniejącego na niebieskim nieskazitelnym niebie słońca i tylko słychać było cichy szloch.

Zrobiło się już późno, dobrze po północy, kiedy skończyłem czytać ten

rozdział historii Marty. Z oczu popłynęły mi łzy wzruszenia. Co jeszcze musiała przejść w swoim życiu? Nie mogłem oderwać oczu od tekstu, dopóki nie zakończyłem jego czytania. Zamknąłem plik i wszystkie inne foldery. Po naciśnięciu wyłącznika ekran zrobił się czarny. Poczulem smutek w sercu i nie mogłem się pogodzić, że kobieta, którą znałem, przeżyła tak ciężkie chwile i zachowała radosny uśmiech dla wszystkich, także i dla mnie. Tej nocy naprawdę nie mogłem zasnąć. Ksawery szalał, napierając na okno w sypialni. A ja myślałem o następnych folderach z tekstem przeznaczonym wyłącznie dla mnie. Czułem wielki ciężar odpowiedzialności, jaki włożyła na moje barki. Ugniatał moją duszę, nie pozwalając wygodnie ułożyć ciała do snu. Kiedy na dworze już szarzało, ciężkie jak ołów oczy zamknęły się samoczynnie.

NOWE ŻYCIE

Święta zbliżały się w szybkim tempie. Do tej pory nie otworzyłem kolejnego folderu ze wspomnieniami Marty. Wszyscy przygotowywali się do Bożego Narodzenia. Nie byłem wyjątkiem. Miałem jeszcze zaliczyć wizytę w poradni chirurgicznej i duchowo przygotować się do pojednania z Bogiem. Nie odwiedziłem jeszcze grobu i nie odmówiłem na nim modlitwy, o którą byłem proszony. Ciągle nie czułem się na to gotowy.

Miałem dużo czasu, pisałem dwa blogi i ciągle oddalałem z niewiadomych przyczyn najważniejsze sprawy, które w końcu musiałem doprowadzić do finału. Była we mnie ciekawość zdolna do otwarcia kolejnych słów napisanych przez niewiarygodną kobietę, o której istnieniu wiem dopiero od czterech miesięcy. Przed świętami także miały dotrzeć ostatnie malowane przez Martę słynne obrazy. Dla nich właśnie dopinałem wszystkie sprawy związane z przygotowaniem wystawy w Krakowie. Ogromne pieniądze zaczęły zasilać konto fundacji. Było sporo kłopotów, aby sprowadzić te dzieła do Polski. Kilkadziesiąt razy oglądałem fotografie dzieł, ale to były tylko marne fotki. Nie mogłem się doczekać chwili, w której zobaczę je w końcu na własne oczy. Moment ten zbliżał się w szybkim tempie. Nie chciałem jednak na nie spojrzeć, dopóki nie poznam wszystkich aspektów jej życia. Siedząc tak wieczorem pochłonięty rozważaniami, postanowiłem ustalić ostateczny termin rozprawienia się z przeszłością Marty.

Nie było dłużej na co czekać. Jutro wieczorem przeczytam kolejny rozdział opowieści.

Następnego dnia usiadłem wygodnie w fotelu z laptopem na kolanach. Odszukałem na pulpicie folder, do którego skopiowałem wszystko, co było na pendrive, i bez namysłu otworzyłem kolejny plik, zatytułowany „**Radość**

i smutek”. Moje oczy zagłębiły się w tekst.

Mijał rok od śmierci mojej córeczki. Odbylałam prawdziwą żalobę. Każde święta musiałam przeżyć z tym bólem nie do opisania. Płakałam, odwiedzałam cmentarz. Musiałam pozwolić swojej świadomości na pokonanie kolejnych poprzeczek, jakie los stawiał na mojej drodze. Uświadamiałam sobie codziennie, jak dużo warte jest życie, o które należy walczyć do samego końca, ze wszystkich swoich sił. Maleńka bezradna istotka, która musiała odejść, pozostawiła w moim sercu coś znacznie większego, miłość doskonałą, której już nikt nie zdoła ze mnie wyrzucić. Na uczelni pięłam się coraz wyżej, a stypendium ufundowane przez Ministra Kultury zaczęło mnie windować na szerokie wody, których drugiego końca nie mogłam dostrzec. Nauka stała się dla mnie po trochu ucieczką, po trochu długiem do spłacenia zaciągniętym od Boga, bo chociaż zabrał mi dziecko, nauczył mnie kochać i pokładać ufność w Jego Opatrzności.

Czasem zastanawiałam się, dokąd doszłabym, gdyby nie moja mała córeczka, która wymknęła się z mojego łona wyłącznie dla mojej nauki rozumienia świata. Kamień filozoficzny, o który bezskutecznie prześcigali się alchemicy, stał się moim udziałem. Nie trzeba szukać przemiany ołowiu w złoto, nieśmiertelna jest tylko miłość w najczystszej wydaniu. O nią tylko na Ziemi należy zabiegać i tylko jej pragnąć.

Marcin stał się moim towarzyszem życia. Codziennie dziękowałam Bogu za jego spotkanie. Z pewnością musieliśmy się spotkać, takie było nasze przeznaczenie. Jak potoczyłoby się moje życie, gdyby przypadkiem nie było mnie nad Wisłą, a skierowałabym swoje kroki na Rynek Główny? Być może i on znalazłby przyczynę, aby pójść właśnie tam.

OBLICZA RODZINY

Wreszcie skończyłam Akademię, ale mimo że Kraków stał się przez ostatnie lata moim domem, tęskniłam za górami i moim Żywcem. Babcia czekała na mnie z utęsknieniem. Nie wróciłam sama. Ze mną przyjechało moje szczęście, które znalazłam w najtrudniejszym okresie mojego życia. Prawdę mówiąc, tragedia, jaką przeżyłam, przeobraziła mnie z podlotka udającego artystkę, w prawdziwą, świadomą kobietę malarkę. Byłam najlepszą studentką na roku, ale czułam niedosyt. Nie umiałam go określić ani umiejscowić. Moje prace pojawiały się w najlepszych galeriach. Zawsze jednak uważałam, że nie tytuł naukowy świadczy o prawdziwym artyście, a jego praca, osobowość i końcowy artystyczny skutek, czyli obraz.

Od września rozpoczęłam pracę jako nauczycielka. Z Marcinem

postanowiliśmy wziąć ślub, chociaż wahałam się, czy dobrze robimy. Jedyнным przeciwwskazaniem według mojej myśli, z którą on nie mógł się zgodzić od samego początku, było ogromne prawdopodobieństwo, że nie znajdę w kolejną ciążę i tym samym pozbawię go możliwości zostania prawdziwym ojcem. W tym względzie byłam bardzo pesymistycznie nastawiona. Spędziliśmy sporo czasu na rozmowach w tym temacie, przecież mieszkaliśmy razem, a nasz związek wydawał się w tej luźnej formie całkiem dobrze funkcjonować. Jedyнным wyraźnym recenzentem, który poddawał krytyce taką formę naszej egzystencji, była moja kochana babcia. Chociaż ciągle miałam ogromny uraz psychiczny związany z wydarzeniami z nie tak odległej przeszłości, uznałam za właściwe uporządkowanie swojego życia według chrześcijańskich reguł. Małżeństwo uznałam za właściwe dla prawidłowego rozwoju mojego, mojego partnera i przyszłej wspólnej rodziny. Marcin przekonał mnie, że z pewnością będziemy mieć własne dzieci, a jeśli okaże się inaczej, adoptujemy jakąś kruszynkę i damy jej całą miłość świata.

Ślub odbył się w październiku w konkatedrze żywieckiej. Niewielkie przyjęcie dla przyjaciół i babci, która tak bardzo przeżywała ten dzień, odbyło się w niewielkiej kawiarni w Żywcu, za to bawiliśmy się do samego rana.

Kolejne dni upływały na prawdziwej idylli, w której mój świeżo upieczony małżonek wiodł prawdziwy prym. Czulałam się jak gwiazda, malowałam wieczorami i w weekendy. Nawet dziwiłam się swojemu malarskiemu zacięciu. Marcin mnie dopingował i znajdował pieniądze na płótna, farby i organizację wernisaży. Chciał bym od razu stała się obecna na artystycznym rynku. Pomimo napiętego planu, naszym marzeniem było posiadanie własnych dzieci, a stworzenie prawdziwej rodziny stanowiło nasz cel i spełnienie, do którego zaczęliśmy dążyć, poświęcając czas, przyjaciół i pieniądze, które zaczęły napływać do nas jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Oboje poddaliśmy się szczegółowym badaniom. Nie było łatwo. Czuliśmy się z tym źle. To nie była komfortowa sytuacja, ale wspieraliśmy się wzajemnie. Przytulałam Marcina, kiedy brał pojemnik ze swoją spermą pod pachę i maszerował do ginekologa, który nas prowadził. W poradni leczenia niepłodności panował ruch. Tak wiele par pokładało nadzieję, że wkrótce staną się rodzicami najwspanialszego dziecka na świecie, swojego dziecka. Często wtedy myślałam o mojej córce, która odeszła w ciszy, ucząc mnie matczynej miłości, nie do końca spełnionej. Nie mogłam jej przytulić, pocałować i podać jej swojej nabrzmiałej piersi. Mój maleńki aniołek niewątpliwie nie miał szczęścia poczuć ziemskiego powietrza w swoich płuckach, był już tam z moimi rodzicami, za niewidzialną ścianą oddzielającą dwa różne światy.

Dzisiaj przypadał termin, kiedy mieliśmy razem zjawić się w przychodni leczenia niepłodności. Marcin wziął urlop. Oboje przejmowaliśmy się tym spotkaniem i podekscytowani narastającym napięciem wyszliśmy z domu do

naszego samochodu. Milczeliśmy całą drogę, słuchając Radia Bielsko. Cisza wydawała mi się niewłaściwa w takim momencie. Zaparkowaliśmy przed szpitalem w Bielsku. W przychodni dwie pary czekały przed wejściem do gabinetu. Marcin trzymał mnie cały czas za rękę. Staralam się myślami uciec od tego miejsca. Układałam sobie w głowie kolejne tematy malarskie, które chciałabym urzeczywistnić w kolejnej serii prac. Czekanie jest trudne do strawienia przez moje zmysły. Cierpliwości zawsze mi brakowało w takich momentach. Wreszcie nasza kolejka nadeszła. Otworzyły się drzwi i wychodząca para poprosiła nas, abyśmy weszli.

— Dzień dobry, panie doktorze — prawie jednocześnie przywitaliśmy się z lekarzem.

— Witam was, proszę usiąść.

Poprzedzał kartoteki, a kiedy znalazł naszą, wyciągnął dokumenty i chwilę je przeglądał.

— Sprawa jest taka — zaczął spokojnie. — Zacznijmy od pana Marcina. Nasienie ogólnie jest dobre. Niewielka infekcja, jaka została rozpoznana w czasie badania, nie ma wielkiego wpływu na możliwości zapłodnienia jajeczka. Wprowadzimy antybiotyk i wszystko wróci do normy. Ruchliwość i zagęszczenie w normie, żywotność też jest doskonała, morfologia, czyli budowa plemników, w normie. Całe badanie SCA wyszło dobrze.

Spojrzałam na Marcina, wyraźnie odetchnął z ulgą, czekałam już tylko na moją diagnozę jak na ścięcie.

— Natomiast z panią Martą wygląda to tak: regularne cykle i owulacje, jakie stwierdziliśmy, nie zawsze są gwarancją zajścia w ciążę. Często czynnik męski, endometrioza lub tzw. „wrogi śluz” uniemożliwiają poczęcie.

— Wrogi męski śluz — wtrącił się Marcin.

— No tak, w tym przypadku wydaje się to potwierdzać, ale jest na to sposób. Nadzieję jest inseminacja, w skrócie IUI. Zabieg polega na wprowadzeniu do jamy macicy odpowiednio przygotowanego wcześniej nasienia. Inseminację wykonuje się w czasie okołowulacyjnym. Jest to najprostsza i najmniej obciążająca metoda wspomagania zapłodnienia. W dodatku badanie HSG, jakie wykonaliśmy, potwierdziło, że tylko jeden jajowód wykazuje zdrożność, ale ta zdrożność nie jest doskonała. Myślę, że możemy spróbować inseminacji, a jeśli nie da efektu, zastanowimy się nad zabiegiem IMSI.

— Co to jest za zabieg? — zapytałam. Skrót wydawał mi się znajomy, ale czekałam na potwierdzenie mojego przypuszczenia.

— Zapłodnienie pozaustrojowe — oświadczył krótko.

— In vitro — stwierdziłam.

— Ale to ostateczność — powiedział spokojnie, patrząc w moje oczy.

— Rozumiem, ale na in vitro nie wyrażam zgody — od razu oświadczyłam.

— Proszę to przemyśleć i przedyskutować z mężem. Więc na razie zostajemy przy inseminacji — nie kierował się już w stronę tamtej metody, którą oboje z mężem wykluczaliśmy dużo wcześniej, podczas naszych niekończących się rozmów. Byliśmy przecież katolikami nie z afiszu, ale z wyznania.

— Który to dzisiaj mamy dzień cyklu? — zapytał, ale spojrzał na mój wykres, który przyniosłam ze sobą, i nie oczekiwał dalszej odpowiedzi.

— Chciałem zapytać jeszcze o tę inseminację? — zapytał nagle Marcin, czym wywołał zdziwienie lekarza.

— W przyszłym miesiącu po kuracji antybiotykowej i następnej owulacji ustalimy termin zabiegu. Proponuję pięć dni abstynencji, odda pan nasienie, które biolog przygotowuje do zaaplikowania. Polega to na oddzieleniu plemników od plazmy nasienia, usunięciu z powierzchni plemników substancji hamujących ich zdolność do prawidłowego zapłodnienia oraz zapoczątkowaniu mechanizmów ułatwiających plemnikom zapłodnienie komórki jajowej, jak i wyselekcjonowanie plemników o prawidłowej budowie, i ruchu, usunięcie z nasienia bakterii i wirusów.

— A jak wygląda sama inseminacja? — tym razem ja zainteresowałam się tym problemem.

— Inseminacja domaciczna jest zabiegiem prostym. Przeprowadzana jest w warunkach ambulatoryjnych w naszym gabinecie ginekologicznym. Zgłasza się pani na ustaloną wcześniej godzinę, najczęściej z wypełnionym pęcherzem moczowym. Do macicy podaję 0,2-0,5 ml przygotowanego nasienia. Analogicznie do przeniesienia zarodków do macicy wydaje się, że najlepsze są tzw. miękkie, atraumatyczne cewniki, ponieważ sztywne cewniki mogą uszkodzić endometrium. Nie zwiększa to jednak prawdopodobieństwa na zajście w ciążę po zastosowaniu miękkich cewników. Jeśli to nie pomoże, można przeprowadzić inseminację bezpośrednią do jajowodu i tyle.

— Rozumiem, dziękuję za informację.

— Więc ustaliśmy termin na przyszły miesiąc — zdecydował i wpisał datę do terminarza, jak i na karteczce, którą mi podał.

Wypisał jeszcze receptę dla Marcina i mogliśmy spokojnie wrócić do domu.

Cała wizyta trochę nas rozstroiła, dlatego postanowiliśmy odreagować, wybierając się do kina, najlepiej na jakąś komedię. Całe zamieszanie wokół płodności naszego związku trudno było przetrwać naszym wrażliwym psychikom, ale musieliśmy sobie z tym poradzić. Rozluźnieni wieczorem po kinie postawiliśmy na dziki seks, który znów zbliżył nas, pozwalając oddalić troski na dostateczną odległość. Przestała nam doskwierać myśl, że jesteśmy obiektami doświadczeń naukowych. Pozwoliliśmy sobie na niesamowitą perwersję. Po ciepłej kąpieli Marcin położył mnie na łóżku zupełnie nagą, delikatnie związał moje nogi i ręce do wystających wzmocnień. Poczulałam przyływ podniecenia i zapomniałam

o wszystkich troskach, jakie mnie dopadły tego dnia.

RYCHWAŁD Z OJCEM GRZEGORZEM

Na drugi dzień na samą myśl o upojnej nocy przechodziły po moich plecach ciarki, a nogi gięły się, jakby były z waty. Tylko moja muszelka czuła pewien dyskomfort. Jednak po tak długich igraszkach rzeczą normalną była dolegliwość, jaką odczuwałam. Czułam się po prostu szczęśliwa, że znalazłam Marcina na swojej drodze. Z nim wszelkie zmagania wydawały się niczym trudnym do pokonania.

Przetrwaliśmy cztery miesiące i trzy inseminacje. Powiedziałam dość, nie miałam zamiaru być zapłodniona w taki sposób, a i Marcin wyraźnie miał dosyć tej instrumentalizacji całego aktu. Nasze normalne współzycie zeszło na odległy plan. Nie potrafiliśmy się zbliżyć do siebie, jakby wytworzyła się między nami jakaś niewidoczna bariera, która nas odpychała zamiast zbliżać. Atrakcyjność seksualna rozplynęła się jak mgła w promieniach słońca. Wieczorami zaczęliśmy unikać zbliżeń, zastępując wszystko wynajdywaniem sobie zajęć zastępczych. Zaczęłam dostrzegać nagłą różnicę w naszych zachowaniach, zaczynało mi brakować szczęścia, które nagle stało się towarem reglamentowanym, drażnił mnie ciągły niedosyt, a przyczyna z początku ukryta, była tylko jedna.

Pewnego dnia wieczorem usiedliśmy przed telewizorem jak zahipnotyzowani ludzie. Nagle poczułam chęć ogromnej bliskości z Marcinem. Wyciągnęłam w jego stronę moją dłoń. Ukradkiem widocznie ją zobaczył i pochwycił, a ciepło jego palców wzniciło we mnie prawie wygasły już ogień.

— Marcin, co się dzieje? — zapytałam cichym głosem.

— Martuś, nie wiem, ale musimy się zastanowić, co robić dalej — odpowiedział delikatnym głosem, odwracając się w moją stronę.

— Nie w taki sposób chciałam mieć dziecko — ciągnęłam dalej. — Ja też — stwierdził jednoznacznie. — Musi być inna metoda. — Prawdę mówiąc, koleżanka, z którą dzisiaj rozmawiałam, naprowadziła mnie na inny kierunek. Zpomnijmy na chwilę o lekarzach i pomyślmy oboje nad czymś bardziej naturalnym.

— Co masz na myśli? — zapytał zaciekawiony.

— Może ziola — rzuciłam na początek.

— Ziola? — zdziwił się, powtarzając moje słowo.

— A tak, ziola — potwierdziłam. — A jeśli ziola, to może ojciec Grzegorz z Rychwałdu. Pamiętasz, jeździliśmy tam z babcią na nabożeństwa fatimskie. Kiedy babcia się źle czuła, wolała iść do tego mnicha niż do lekarza.

— Uważasz, że to dobry pomysł? — zapytał trochę zdziwiony.

— Tak właśnie uważam. Pojedziemy tam jutro, może poradzi nam, jak z tej sytuacji wyjść — zdecydowałam stanowczo.

— Jutro przecież idę do pracy — wzdrygnął się na moje słowa.

— Ale po czternastej jesteś już w domu. Rozmawiałam już z babcią i pojedzie z nami. Znow ma problemy z ciśnieniem.

— No dobrze, pojedziemy — zgodził się.

O piętnastej byłam gotowa wyjechać do Rychwałdu, babcia zresztą także. Obie siedziałyśmy przed domem na ławce, czekając na Marcina.

Wreszcie podjechał samochodem.

— Gotowe jesteście? — zapytał, uchylając okno.

— Oczywiście, a co? Myślałeś, że zrezygnowaliśmy? — odpaliłam z uśmiechem.

Wsiadłyśmy z tyłu obie z zadowoleniem. Droga wcale nie była długa. Może z piętnaście minut jazdy i znaleźliśmy się na małym mostku, za którym wylaniał się wspomniany wcześniej Rychwałd. Najpierw wstąpiliśmy do kościółka pomodlić się i poprosić o wstawiennictwo Maryi, a później odszukaliśmy dom i infirmerię zielarską ojca Grzegorza Sroki. Czekaliśmy chwilę, zanim przyszedł uśmiechnięty od ucha do ucha wspomniany mnich. Przywitał nas ciepło i zaprosił do środka.

Najpierw załatwiła swoje sprawy babcia i wyszła jeszcze pomodlić się do kościoła, a my usiedliśmy razem z ojcem. Pierwsze, o co zapytał, to czy mój Marcin pali, a kiedy odpowiedział, że nie, pochwalił jego mądrość i zaczął z nami ciepłą przyjacielską rozmowę. Opowiedziałam mu historię mojej córeczki. Widziałam, jak napłynęły mu łzy do oczu. Chwilę pomodlił się i zaczął.

— Niepłodność, moi kochani, to problem społeczny, a każdą parę, która do mnie przychodzi, traktuję indywidualnie, oczywiście. Posłuchajcie, co wam powiem. Przygotujecie sobie napar z ziół, które zaraz wam dam, to będzie:

Liść melisy 100g

Ziele lebiodki 50g

Kwiat rumianku 50g

Ziele macierzanki 50g

Liść pokrzywy 50g

Ziele dziurawca 50g

Ziele rdestu ptasiego 50g

Owoc niepokalanka 50g

Zioła wymieszacie i wsypiecie łyżeczkę na szklankę wrzątku, naparzycie pod przykryciem ½ godz., po czym przecedzicie je. Należy pić wieczorem. Oczywiście, możecie pić ten napar oboje.

Patrzyłam na niego, uważnie słuchając słów, jakie wypowiadał. Miał już swoje lata, buzię okrągłą, ale kiedy mówił, widać było, jak jego pasja wychodzi nam na spotkanie, otacza nasze zamiary i próbuje pochłaniać pomoc płynącą

z natury świata.

— *Cieszę się, że jest pan mądrym mężczyzną i nie pali papierosów, to jeden z ważniejszych aspektów wpływających na jakość nasienia. Jedzcie nasiona słonecznika, kielki pszenicy i dużo surówek, owoców, szczególnie czarnej porzeczki i borówek, ciemne winogrona, aronie. Łóżko powinno być odpromieniowane, najlepiej położyć skórę baranią lub koc wełniany. Stosujcie miód pszczeli z pyłkiem pszczelim i propolisem. Dla pani bonimel pyłkowo-propolisowy, a dla pana to samo tylko z dodatkiem wyciągu z korzenia żeń-szeń. Dobrze pożyć ze sobą w godzinach między drugą a piątą. Oczywiście, dobrze być wtedy głodnym. W miesiącu swojego urodzenia pani jest najbardziej płodna. Szanse na poczęcie wzrastają. Najlepiej pożycie stosować pod koniec jajczkowania, do tego między nowiem a pełnią księżyca, ten czas jest najbardziej odpowiedni. Wbrew ogólnie panującej opinii, wygoda kobiety nie sprzyja poczęciu i donoszenia ciąży. Pana żona powinna przed pożyciem być zmęczona, urządzić wtedy najlepiej sprzątanie, pranie, długi męczący spacer. Silne nerwice, pragnienie posiadania potomstwa, lęki, przesady, uprzedzenia, obawy, nieświadomości, nie sprzyjają łatwemu poczęciu. Do tego trzeba dodać alkohol, którego złych skutków chyba nie potrzeba przypominać. Natomiast po drugiej stronie barykady znajdują się tragedie, smutki, płacz, żalność, bóleści, kataklizmy, które ewidentnie sprzyjają poczęciu. Po pożyciu z zamiarem zapłodnienia nie należy mieć kolejnego stosunku. Najmniej przez osiem dni trzeba wstrzymać się od pożycia. Implantacja następuje dopiero w sześć dni od poczęcia. Często pożycie wcześniejsze powoduje trudności w zagnieżdzeniu się zarodka. Plemniki ma żywotność najczęściej 5-48 godzin. Ich żywotność zwiększa się, gdy w diecie stosuje się produkty z dużą zawartością selenu, np. grzyby, brokuły i orzechy brazylijskie. O ile możliwe, należy często jadać młodą baraninę i owcze sery, nie bryndze, ale mleko tak. Żywność ma być zdrowa, naturalna, z dużą ilością mikroelementów, nie zabrudzona chemicznie. Ma zawierać dużo pełnowartościowego białka. Jeść często, a mało. Raz na tydzień ubić zapłodnione przez koguta jajko z jedną łyżeczką miodu. Posiada dużo witamin i życia. Uwaga: jak rozpoznać, że jajko jest zapłodnione?*

— *Domyślam się — wtrącił Marcin, ale ojciec Grzegorz nie zwrócił na to uwagi, ciągnąc swój wywód dalej.*

— *Można to rozpoznać, podświetlając jajko silnym snopem światła. Promienie przechodzące przez skorupkę uwidoczną mały ciemny punkt lub plamkę. W odróżnieniu od takiego jajka, jajko niezapłodnione będzie miało jednolity kolor. Jajka takie najlepiej kupować w gospodarstwach wiejskich, czyli z miejsc, gdzie żyją zarówno kury, jak i koguty. Nosić obuwie na średnim obcasie; szpilki szkodzą. Unikać bielizny osobistej wykonanej z tworzyw sztucznych. Używać mydła szarego, np. biały jeleń bez dodatków zapachowych, można także do mycia używać bonidermu, czyli pomady mojego pomysłu. Możliwe do wykorzystania są także*

mydła dla dzieci. Oczywiście picie wina własnej roboty też nie jest wskazane, zakwasza organizm. Wzajemna służba sobie, pomoc, zaufanie, delikatność, modlitwa, oddanie, wierność, unikanie stresów sprzyja poczęciu. Co jeszcze mogę dodać? Aha, długie nasłonecznienie również sprzyja płodności, może zabrać pan swoją żonę nad ciepłe morze, o ile dysponujecie takimi środkami.

— *Ale nam ojciec nagadałeś, cieszymy się z tej wizyty — zaczęłam, wykorzystując chwilę ciszy, jaka zapanowała po ostatnich jego słowach.*

— *Mam tu dla was napisane wszystko, co wam przekazywałem, a do tego zapraszam do zakupu wspomnianych ziół i życzę dużo błogosławieństwa Bożego na dalszej drodze życia i doczekania się wspaniałych potomków.*

Wyszedł na chwilę. Oboje spojrzeliśmy na siebie z wyraźną ulgą i uśmiechem. Czuliśmy jednak napływ dobrej energii, która przysłała nie wiadomo skąd, być może samo miejsce, blisko sanktuarium naszej Matki, dodawało wszystkiemu jakiejś nadprzyrodzonej siły. Po chwili drzwi otworzyły się ponownie, a w nich ukazała się sylwetka ojca Grzegorza. W reklamówce miał spakowane zioła dla nas. Marcin podszedł do niego i zapłacił za nie, a on jeszcze raz pobłogosławił nam na drogę z prawdziwym uśmiechem na ustach. Na zewnątrz stała zniecierpliwiona babcia.

— *Długo czekałaś — zapytałam, wychodząc jej naprzeciw.*

— *Trochę tak, ale odmówiłam za to różaniec, za wasze starania i szczęście. Marcin, zapłaciłeś mu za moje zioła?*

— *Oczywiście babciu, że zapłaciłem — natychmiast odpowiedział, kierując się w stronę parkingu.*

— *Może jeszcze wstąpimy do kościoła? — zapytała, zatrzymując Marcina w pół drogi.*

— *Oczywiście, Marcin, idziemy jeszcze się pomodlić — ostentacyjnie oznajmiłam naszą wspólną decyzję.*

Nie protestował. Zaniósł zioła do samochodu i dołączył do nas tuż przed drzwiami sanktuarium. Weszliśmy do środka. Panował lekki półmrok, ale światło dostawało się do wnętrza przez okna, no i świeciły niektóre z lamp, oświetlając piękne wnętrze. Usiedliśmy w jednej z ostatnich ławek, zagłębiając się w modlitewnym zamyśleniu. Nie szukałam obrazu Maryi na ołtarzu, ale w głębi mojego serca. Powoli z każdą mijającą chwilą zaczęłam odczuwać naturalną bliskość cudownej Matki, jakby obejmowała mnie czułym uściskiem. Zaczęłam się modlić modlitwą świętego Franciszka: „Niech nam Pan błogosławi i niech nas strzeże; niech nam ukáže oblicze swoje i zmiłuje się nad nami. Niech zwróci oblicze swoje ku nam i niech nas obdarzy pokojem. Dziękuję ci Maryjo za opiekę, którą nieustannie otaczasz naszą rodzinę, dziękuję za moich rodziców i bliskich, za moją babcie kochaną, która przyprowadziła mnie do twojego Syna, za ukończenie uczelni, za mojego męża Marcina, za moją córeczkę, której pozwoliłaś wzrastać

w moim łonie, a potem zabrałaś do siebie pod swoją opiekę oraz za wiarę, nadzieję i miłość zaszczipione w moim sercu. Za wszystko dziękuję i ofiaruję Tobie całe przyszłe moje życie, bezwarunkowo, jakie by nie było, ponieważ pragnę być blisko Ciebie i twojego Syna przez Chrystusa Pana naszego amen. Błogosławię całym moim sercem wszystkim moim bliskim, znajomym i ludziom, których spotkałam i spotkam na swojej drodze, abym przyjęła z pokorą naukę, którą niosą dla mnie dla chwały Bożej”. Spojrzałam na babcię i Marcina zagłębionych jak ja w modlitwie i uradowało się moje serce z ich miłości, z którą stanowiłam jedność.

MOJA MODLITWA

Od naszej wizyty u ojca Grzegorza mijало już pół roku. Nie sprawiało nam trudności żadne jego zalecenie, a Marcin, chociaż był sceptykiem, nie okazywał mi tego w żaden sposób. Uczylaam, malowałam i wypełniałam czas na modlitwę i na miłość, którą wzajemnie się z Marcinem obdarzaliśmy.

Pewnego dnia obudziłam się rano z nieodpartą chęcią pojechania w niedzielę na Górkę do Szczyrku. Na moje sugestie, aby odbyło się to w najbliższą niedzielę, pierwsza zareagowała babcia. Chociaż czuła się niezbyt dobrze, poprosiła Marcina w moim imieniu, a on, jak przystało na dobrego przyszywanego zięcia, w niedzielny poranek zabrał nas na niedzielną mszę do Matki Szczyrkowskiej. Dzień był wyjątkowo piękny. Spacerkiem przemaszerowaliśmy obok drzewa, na tle którego pojawiła się dwunastoletniej Juliannie Pezda w 1894 roku Najświętsza Panienska. Gdy przechodziliśmy koło niego, przeszył mnie ciepły przyjemny dreszcz. Spojrzałam raz jeszcze w stronę omurowanego kamieniami drzewa, a raczej jego resztek. Poczulaam dziwną ulgę, jakby ktoś ściągnął ze mnie ogromny ciężar, z którego nie zdawałam sobie sprawy. Nagle poczułam się wyjątkowo lekka, a myśli moje wypełniła radość niewiadomego pochodzenia. Początkowo puściłam wszystko swojemu biegowi. We trójkę zeszliśmy szeroką ścieżką w stronę grotę wybudowanej obok cudownego źródelka z ciosanych kamieni, jako że w 1940 roku Niemcy zarekwirowali wszelką cegłę i klerycy salezjańscy nie mieli z czego jej wznieść. Bywałam tu już wcześniej, nawet malowałam grotę kilka lat temu, teraz jednak miejsce to wydało mi się bardziej jasne niż kiedyś. Może słońce dzisiaj było mocniejsze — tłumaczyłam sobie. Uklękliśmy z babcią i Marcinem na parę chwil. Spojrzałam na figurkę Matki Boskiej i wydawało mi się, że ona patrzy na mnie. Wstrząsnęłam głową i zamknęłam oczy. Po kilku chwilach modlitwy obmyliśmy sobie ręce i twarze w niewielkim źródelku, do którego akurat zaczęła tworzyć się kolejka. Wtedy odezwał się dzwon i ruszyliśmy w stronę świątyni. Kiedy kolejny raz przechodziłam

obok drzewa, powrócił i przemknął przez moje ciało ten sam dreszcz, ciepły i przyjazny. Nie poczułam niepokoju, a miałam do niego naturalne prawo. Weszłam do kościółka z ciepłem w sercu i jakąś wewnętrzną radością. Do mszy było może jeszcze z pięć minut.

Zagłębiłam się w modlitwie. „Mario Matko, jestem tutaj, a Ty wiesz, z czym moje serce przychodzi do Ciebie. Znasz moje myśli, słowa i czyny, znasz moje życie od narodzin. Jestem Żydówką jak Ty, jest we mnie krew narodu wybranego i wszelkie słowo, które nas zrodziło, a pochodziło od Ojca w niebie. Ja krucha istota śmiem prosić Cię o pomoc, a jeśli nie stoi ona w sprzeczności z zamysłem Boga, chciałam cię prosić o macierzyństwo, o łaskę powtórnej ciąży, abyśmy z mężem mogli mieć potomstwo, które wychowamy na chwałę Najwyższego. Czuję sercem, że jesteś ze mną, słuchasz mojej modlitwy i zrobisz wszystko, aby się spełniła. Powierzam Ci życie swoje i tego, który się pocznie. Proszę pobłogosław nam i wyproś łaskę płodności. Przepraszam, że wahałam się przyjąć poprzedni dar życia, który Bóg mi ofiarował. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Wiem, że nie jest obcy Twojemu sercu żaden ból twoich dzieci, żadna troska, która pojawia się na naszych skroniach. Wspierasz nas w każdej chwili mijającego czasu, niczego w zamian nie oczekując, jak tylko naszej szczerzej modlitwy i miłości do Twojego Syna, całego Bożego stworzenia. Amen”.

DOBRA WIADOMOŚĆ

Była noc, wyrwał mnie ze snu jakiś grzmot. Spojrzałam przez okno. Na niebie świecił księżyc. Był w nowiu, a gwiazdy wokół gromadziły się, jakby chciały się ogrzać przy jego świetle. Spojrzałam na zegar. Dochodziła czwarta godzina. Marcin spał obrócony w drugą stronę. Nagle przypomniałam sobie naszą wczorajszą rozmowę i to, że dzisiaj jest najlepszy dzień na poczęcie. Przesunęłam się bliżej jego ciała. Delikatnie zsunęłam nocną koszulę i przytuliłam się nagim ciałem do niego. Ciepło ogarniało mnie od góry do koniuszków palców u stóp. Moje piersi nabrzmiały, a serce zaczęło bić szybciej. Chciałam, aby się odwrócił i kochał mnie szaloną miłością. Czulałam jak wilgoć wypełnia mnie i wtedy Marcin drgnął. Obrócił się w moją stronę i pocałował czule w usta. Potem w czoło, policzki i szyję. Obróciłam się na plecy, a on objął mnie swoimi ramionami i tuląc, pieścił namiętnie, wypełniając swoim ciałem miejsce między udami. Czulałam jak świat zaczyna pulsować i wirując, unosi mnie w jakieś nieznanne obszary, gdzie świadomość przestaje istnieć. Stawaliśmy się jednym, jak jedno jest życie, nic poza nami już nie istniało i każdy z osobna też przestawał istnieć. Cudowny stan zatracił wszystko, co materialne, a nasze rozpalone dusze wtłoczyły się w siebie, ciesząc

swojego Stwórcę, i potwierdzając słuszność, że stworzenie człowieka było dobrem ponad wszystko.

Powoli rok szkolny dobiegał końca. Dzieciaki niecierpliwiły się oczekiwaniem na ostatni przedwakacyjny dzwonek. Zmęczenie i mnie dopadało, zwłaszcza popołudniem, kiedy wracałam do domu. Lekko podekscytowana spojrzalam na kalendarz, kolejny raz licząc dni od ostatniej miesiączki. Nie chciałam zapeszyć, ale minęło już pięć dni, a z reguły zawsze cykl powtarzał się regularnie jak w zegarku. Pojawił się uśmiech na moich ustach. Za chwilę Marcin powinien się zjawić po całodzienniej pracy. Spokojnie zajęłam się obiadem.

— Witaj, kochanie — usłyszałam ciepłe powitanie i zaraz potem jego całus wylądował na moich ustach, gdy tylko odwróciłam się w jego stronę.

— Jak poszło w pracy? — zapytałam miłym głosem.

— Fajnie, skończyliśmy dużą partię dla niemieckiego odbiorcy i... w przyszłym miesiącu będzie trochę więcej pieniędzy, i... — I ?...

— I zabiorę cię nad Adriatyk.

— Super — kwiknęłam radośnie, a Marcin objął mnie i wywinął wokół siebie. — I ja mam coś, co podniesie ci ciśnienie.

— Co takiego masz dla mnie? — zainteresował się, nie puszczając mnie ze swoich ramion.

— A to, że mój okresik spóźnia się już piąty dzień, a wiesz jak ostatnimi czasy miałam go punktualnie zawsze o czasie — chwaliłam się jak najęta.

— A to może oznaczać...

— Jeszcze tego nie wiemy, ale może oznaczać, że...

— Jesteś w ciąży — wreszcie potwierdził ten cudowny fakt.

— Poczekamy jeszcze pięć dni, a potem, jeśli miesiączka się nie pojawi, zrobię sobie test.

— Jest! Jest! Jest!

— Jeszcze nie szalejmy — zaproponowałam zdeprymowana jego radością.

— Kocham cię, kocham cię, nawet jeśli nie jesteś w ciąży, ale mam wiarę, że tym razem Bóg nam sprzyja — mówił, tuląc mnie do siebie.

— Ja też bardzo cię kocham. Babci jeszcze nie mówmy, bardzo przeżywałaby, gdyby informacja okazała się nieprawdziwa. Modli się i czeka, aby w końcu zostać prawdziwą prababcią.

— Oczywiście, tak zrobimy, ale teraz, czy mogę choć trochę poświętować?

— Co przez to rozumiesz? — zapytałam zdziwiona i ciekawa, jak on to sobie wyobraża.

— Dzisiaj nie malujesz, idziemy na spacer. Jest piękna pogoda i należy ją wykorzystać.

— A obiad?

— Zjemy po powrocie — odparł szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Pół godziny później znaleźliśmy się już w parku żywieckim, maszerując aleją dębów. Nie mogłam policzyć, ile razy malowałam to miejsce. Szliśmy, trzymając się za ręce. Wspaniały dzień był jeszcze wspanialszy. Czulałam całą sobą, że w moim wnętrzu rozpoczęło się nowe życie. Wiedziałam o tym w stu procentach, a do tego nie czulałam żadnego niepokoju o jutro. Marcin szedł obok mnie, a ja tuliłam się do niego nie tylko ciałem. Dziękowałam Matce Bożej za ten dar i coraz bardziej czulałam, że to właśnie Ona stoi za moją radością, miłością i nadzieją. Wszystko wokół zieleniło się i kolor ten dodawał mi sił. Po jakiejś chwili patrzyliśmy z zachwytem na Chiński Domek. Po lewej stronie wiała się między zielonymi łąkami woda, a słońce przedzierało się przez korony drzew, oświetlając wolną ławkę, na której zapragnęłam usiąść. Usadowiliśmy się wygodnie. Na wprost, tuż za chodnikiem, płynęła woda, która otaczała Domek Chiński, powodując, że nagle znaleźliśmy się jakby na wyspie skarbów, do tego mieliśmy szczęście go odnaleźć. Ptaki dokazywały radośnie i konkurowały między sobą, który jest głośniejszy i piękniej wyraża swoje uczucia do napotkanych partnerek.

Oparłam głowę na ramieniu Marcina i zamknęłam oczy. Chciałam zobaczyć moich rodziców i nagle dane mi było zobaczyć ich. Stali na ścieżce po drugiej stronie wody i wołali na mnie, żebym uważała i nie stawała na skraju kanału. Trzymałam za ręce moją młodszą siostrę i było mi tak wspaniale cudownie. Patykami mąciliśmy lustro wody w wyimaginowanym świetle, udając wędkarzy znad Soły. Przestrzeń wypełniały śmiech, radość i beztraska. Mama i tata stali przecież tuż za nami. Byłyśmy bezpieczne jak nigdy dotąd. Wszystko przysło po chwili, czas jednak pozbawił nas siebie, jego moc sprawcza była nie do pokonania. Materialne sieroctwo często doganiało mnie i pchało w ramiona kochanej babci. Miała tak szerokie ramiona, że potrafiła zastąpić nam dłonie i ręce rodziców, i najważniejsze — serce. Nigdy jednak nie czulałam się sierotą duchową. Oni byli ze mną każdego dnia. W każdej chwili, kiedy tylko potrzebowałam ich wsparcia, otrzymywałam je bezwarunkowo, a modlitwa była tym najważniejszym łącznikiem, który umożliwiał nasze kontakty i dodawał mi sił.

— Wiesz, jest cudownie — szepnęłam z zamkniętymi oczami. — Będę rodzic w zimie czy wybudujesz mi zimowy ogród?

— Też kochanie myślałam o tym. Chciałbym, aby w zimowe mroźne dni otaczała cię zieleń i ciepło. Mogłabyś nawet malować.

— A wiesz, że nie pomyślałam o tym. Po trochu byłby to mój warsztat malarski — ucieszyłam się i otworzyłam oczy.

— Jak wrócimy do domu, po obiedzie zrobię pierwsze szkice, babcia też będzie zadowolona, kiedy zimą będziecie mogły siedzieć i plotkować na łonie natury. Już wyobrażam sobie jak całość ma wyglądać, ale ty możesz zrobić swój projekt i wybierzemy najlepszy.

— Fajnie, mamy zajęcie na kilka następnych dni — ucieszyłam się i dałam

mu soczystego buziaka. — Potem z dzieckiem będziemy mieli gdzie przesiadywać w zimowe dni.

— Ja już widzę was w tej zieleni — podekscytowany wyobrażał sobie sceny z przyszłości, która tylko Bóg wiedział jak ma wyglądać.

— Wolisz chłopaka czy dziewczynkę? — zapytałam, choć wiedziałam, że na tym etapie tak radosne marzenia są jeszcze przedwczesne.

— I chłopaka, i dziewczynkę. Jak wiesz, mój ojciec jest bliźniakiem, więc... niewykluczone, że będę miał z tobą podwójne szczęście.

— I podwójną pracę — dodałam.

— Też — dorzucił swoje. — Podwójne szczęście wymaga podwójnej pracy, to oczywiste — powiedział i pocałował mnie w usta.

— Wracamy? Czuję się już głodna.

— Ja byłem głodny już godzinę temu.

Wstaliśmy z ławki i wolnym krokiem ruszyliśmy w stronę wyjścia z parku. Długo jeszcze wracałam w myślach do tej radosnej przechadzki.

BABCIA

Kilka dni potem tester potwierdził to, czego byłam pewna już wcześniej. Wizyta u ginekologa okazała się tylko formalnością. Trochę był zdziwiony obrotem sprawy, ale jak powiedział, cuda się zdarzają. Naprawdę był to cud, za którym stała siła wyższa, splot zdarzeń wyreżyserowanych sprawną, niewidzialną ręką, zawierzenie Maryi, naszej najwspanialszej Matce i modlitwa, moja, Marcina, babci.

Ciąża wyzwoliła we mnie pokłady energii, o których nie miałam pojęcia. Każdą wolną chwilę spędzałam przy sztalugach. Moje pędzle były ciepłe od mojej dłoni i od pracy, do jakiej je zmuszałam. Tak powstał przejmujący cykl obrazów pt. „Kobieta i dziecko”. Ukoronowaniem cyklu stał się mój autoportret zatytułowany „Kobieta w ciąży”. Marcin kibicował mi w czasie jego malowania, wypożyczył nawet duże lustro od kolegi, abym mogła się widzieć w całej krasie.

Wprawdzie był to dopiero październik, ale okrągłość brzuszka można było już podziwiać. Czulałam już malucha doskonale. Codziennie głaskałam mój rosnący bębenek i nie szczędziłam słów, które upewniały go o mojej matczynej miłości. Wieczorem w łóżku Marcin nie dawał mi zasnąć, starając się nawiązać nić porozumienia ze swoim w końcu dzieckiem. Nie powiem, podobała mi się ciąża, chociaż w pierwszym okresie negatywne jej skutki mocno dały mi się we znaki. Nie dawałam jednak za wygraną i latem, gdy tylko świeciło słońce, wyjeżdżaliśmy w góry. Wychodziłam z tej zasady, że ruch i praca dobrze wpływają na rozwój

dziecka i późniejszy poród. Termin 6 lutego wydawał się jeszcze odległą datą, ale w codziennych obowiązkach, jakie podjęłam, naprawdę zbliżał się z niewiarygodną prędkością.

Właściwie cieszyłam się po raz pierwszy tak radośnie ze zbliżających się świąt. Marcin kończył obiecany zimowy ogród. Kibicowałam mu ze wszystkich sił, które wstępowały we mnie, chociaż do porodu naprawdę niewiele już brakowało czasu. Naczytałam się o naturalnych sposobach, chociaż lekarz prowadzący moją ciążę zalecał cesarskie cięcie ze względu na poprzednie powikłanie zakończone poronieniem. Wycisnęło ono pewne zmiany w budowie moich organów rozrodczych i ryzykowanie naturalnego sposobu mogło oznaczać komplikacje i zagrażać życiu dziecka. Te słowa nastraszyły mnie bardzo, dlatego byłam skłonna zgodzić się z tym zaleceniem.

Tuż przed samymi świętami babcia trafiła do szpitala. Oboje czuliśmy przygnębienie, ale nadzieja na jej powrót do domu przed Bożym Narodzeniem wydawała się być mocno osadzona w realiach i po pierwszych badaniach napawała optymizmem. Jednak osiemnastego grudnia wszystko się zawaliło. Rano przed wyjściem do pracy zadzwonił telefon.

— Czy rozmawiam z panią Martą? — usłyszałam głos w słuchawce.

— Tak — odparłam bez namysłu.

— Szpital w Żywcu, przy telefonie lekarz prowadzący pani babcię. Jest mi przykro poinformować, że pani babcia zmarła we śnie. Prawdopodobnie przyczyną zgonu był zawał, ale to dopiero możemy orzec po sekcji zwłok. Bardzo nam przykro z tego powodu. Więcej informacji udzielę pani w szpitalu.

Nie powiedziałam już ani słowa. Odłożyłam słuchawkę i rozplakałam się jak dziecko. Widmo, że znów zostaję sama, jak po śmierci rodziców, powróciło niczym tsunami, pustosząc moje myśli, serce i zaciskając krtań w wielkiej żałości. Nigdy nie możemy poznać do końca drugiej osoby, nie jest to możliwe, jednak po śmierci poszukujemy jej prawdziwej istoty i ze zgrozą stwierdzamy, że tak mało wiemy o jej świecie wewnętrznym, pragnieniach, nadziejach, miłościach i smutkach, a także sprawach, które były najistotniejsze w jej życiu. Co mogłam zrobić w tej chwili? Uklękłam przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i odmówiłam cały różaniec w intencji najwspanialszej osoby w moim życiu. Wspierała mnie każdego dnia słowem, sercem i modlitwą. Teraz mnie zostało tylko jedyne dla niej wsparcie, prośba do Boga, aby ją przyjął.

Potem zadzwoniłam do siostry i Marcina, który już dotarł do pracy. Obiecał, że zaraz się zwolni i zajmie wszystkim. Pozostało mi tylko czekanie. Nie miałam jednak na nie ochoty. Poszłam do mojej pracowni, ustawiłam nowe płótno na sztalugach i zaczęłam przelewać moją żalność na zaimpregnowaną taflę przyszłego obrazu. Musiałam wyrzucić moje emocje, inaczej spaliłabym się jak sucha trawa. Z każdym posunięciem pędzla ubywało bólu, który zastępowało dziękczynienie

ofiarowane Bogu za tę cudowną osobę postawioną na mojej drodze. Dochodziło do mnie, że nie usłyszę już słów jej ciepłego głosu, zawsze gotowego nieść pomoc.

Nie miałam pojęcia, jak szybko mijał czas. Marcin był już w domu i z czułością objął mnie z tyłu. Ucieszyłam się, że już jest i obróciłam w jego stronę, nie odkładając palety i pędzla. Znow zaczęłam szlochać.

Oddzielał nas tylko wydęty jak piłka brzuch.

— Nie płacz — odezwał się cichym głosem. — Ona nigdzie nie odeszła, jest przy nas i wspiera nasze działania. Bardzo by się martwiła twoim smutkiem i maluchem, który z pewnością w twoim łonie odczuwa powagę sytuacji. On być może wie więcej niż my o świecie, który zasłania nam fizyczna materia.

— Już nie będę płakać — oświadczyłam, zbierając siły do realizacji tego zadania. — Powiedz, co załatwiłeś?

— Jutro będzie sekcja, a po sekcji lekarz na jej podstawie wystawi kartę zgonu. Gdy ją dostaniemy, załatwimy resztę formalności. To tyle. Jutro koło dwunastej mam się zgłosić do szpitala po nią. Zapewnili mnie, że już będzie na mnie czekała.

— Dziękuję ci, kochany. Zajął się malowaniem, bo nie wiedziałam, co mam robić.

— Teraz musisz myśleć przede wszystkim o naszym dziecku. Babcia z pewnością tego pragnęłaby najbardziej. Szkoda tylko, że nie doczekała jego narodzin.

BOŻE NARODZENIE

Jak wcześniej bardzo cieszyłam się na te święta, tak teraz spoglądałam w ich stronę bez optymizmu w duszy. Wczoraj odbył się pogrzeb, a za dwa dni miała być Wigilia. Swoją wizytę i wspólne świętowanie narodzin Zbawiciela zapowiedziała siostra.

Obraz, jaki namalowałam w dzień śmierci babci, emanował moimi emocjami. Potwierdził moje odczucia Marcin, a także parę osób, które przyszły na krótkie pożegnalne spotkanie. Byli to ludzie znający w przeszłości babcię, kiedy jeszcze należała do gminy żydowskiej. Oferowali mi nawet swoją pomoc, ale oboje z Marcinem dawaliśmy sobie doskonale radę. W czasie biesiady wróciła przeszłość, zwłaszcza okres okupacji i prześladowania, jakie w owym czasie dotknęły każdego Żyda. Miasto Żywiec miało zresztą niechlubną przeszłość, z ogromną żarliwością broniono miasta przed żydowskimi osadnikami, chociaż w okolicznych miejscowościach było już zupełnie inaczej. Kolejny raz usłyszałam historię pewnej Żydówki. W czasie I wojny światowej w hotelu żywieckim zatrzymał się z ciężarną

żoną pewien oficer. Sprawa przybrała dramatyczny obrót, kiedy Żywczanie odkryli, że jest ona Żydówką i co gorsze, zaczyna rodzić w ich mieście. Nie zważając na mróz i protesty męża, skleccili łożę, wynosząc ją za rzekę Sołę. Miało to zapobiec urodzeniu się Żyda w mieście, a co za tym idzie, otrzymania przez niego prawa do zamieszkania w Żywcu. Ulokowanie stacji kolejowej na peryferiach miasta miało podobno także zabezpieczać miejscowość przed tym, aby w przyszłości inna jakaś Żydówka oczekująca na pociąg nie urodziła dziecka w mieście, co sprawiałoby precedens i dałoby podstawę do osiedlenia się Żydom w Żywcu. W okresie międzywojennym przysłowiową mekką Żydów stało się Zabłocie. Wojna spustoszyła jednak okolice i miasto, w którym po wyzwoleniu w 1945 roku doliczono się dwóch kobiet, a moja babcia była już wtedy chrześcijanką. Historia narodu, z którego się wywodziłam, na tym bliskim mi terenie nie była mi obca. Jeszcze w dawnych czasach mieszczanie żywieccy, czujący zagrożenie na polu handlowym, postarali się o tak zwany przywilej królowej Konstancji, który to zabraniał Żydom zajmowania się handlem i innymi usługami na terenie miasta Żywca. Przez wieki skrzętnie przez Żywczaków był przestrzegany i pielęgnowany.

Ale nie tylko sprawy żydowskie przebijały się na pierwsze miejsce. Doceniono również moją sztukę. Wujek zaoferował mi nawet niezłą ofertę na ostatnio namalowane obrazy. Korzystając z okazji, za przyzwoleniem męża, sprzedałam kilka z nich, zostawiając dla siebie ostatnie dzieło, przesycone do głębi moimi emocjami. Wujek wspominał, jak poszedł raz z moją babcią na coś słodkiego do Pincasa w cukierni, a potem pooglądali ubrania, które znajdowały się o krok dalej w sklepie Sznaidra i Guttera pod numerem trzynastym.

Wigilia przywitała nas białym puchem. Od rana byłam na nogach. Poszliśmy na ostatnie roraty, łamiąc się opłatkiem otrzymanym od księdza na zakończenie mszy, z napotkanymi w kościele przyjaciółmi. Obowiązkowo podjechaliśmy na cmentarz na obsypany kwiatami grób babci, a potem zajęliśmy się przygotowaniem do Wigilii. Przyjaciele Marcina mieli przyjechać już o czternastej. Do południa zdążyłam ubrać choinkę. Potem zajęłam się przygotowaniem potraw. Marcin smażył karpia, a ja gotowałam zupę z czerwonej fasoli, którą dawniej gotowała babcia. Jej słodko-kwaśny smak uwielbiałam od dziecięcych lat. Jej przygotowanie zawsze sprawiało mi i radość i pewnego rodzaju trudność. Uzyskanie niepowtarzalnego smaku graniczyło z cudem, ale ten cud, który potem następował, był wspaniały. Zupę grzybową i barszcz z uszkami doprawiał Marcin. Smakowała mi jeszcze zupa z suszonych owoców; śliwek i jabłek z ziemniakami. Na szczęście salatką także zajął się mój kochany mąż.

Byłam już potwornie zmęczona, kiedy w końcu zasiedliśmy wszyscy do stołu. Marcin zapalił świecę i z kredą powędrował do drzwi wejściowych. Nie wiem, skąd ten zwyczaj przywędrował do ich rodziny w wigilijny wieczór, ale naznaczenie święconą kredą drzwi symbolizuje z pewnością narodzenie Chrystusa, także i w tym

domu. Potem na kolanach wszyscy pomodliliśmy się w ciszy własnego serca. Poleciałam Bogu moją kochaną babcię i przyszłe nienarodzone jeszcze dzieciątko, prosząc o szczęśliwe rozwiązanie. Naszą ciszę przerwał Marcin, czytając Pismo Święte z tekstem narodzin Chrystusa Pana według świętego Łukasza. W końcu usiedliśmy za stołem i dzieląc się białym opłatkiem, składaliśmy sobie życzenia, wybacząc wzajemnie zaszłości czy urazy. Ten zwyczaj bardzo przypadł mi do serca, od kiedy zasiadałyśmy z babcią za stołem wigilijnym. Tradycyjnie spożywanie wieczerzy wigilijnej poprzedzało dzielenie się białym opłatkiem, czyli bardzo cienkim, praśnym, niekwaszonym chlebem. Ten prosty, trochę żydowski zwyczaj, a jakże ludzki, komunikatywny, nasycony jest głęboką i wielowymiarową symboliką. Zawarta jest ona najpierw w fakcie „bycia razem”. Skłóceni nie zasiadają przecież razem do jednego stołu. Owszem, owa solidarna wspólnota stołu domaga się wzajemnego zrozumienia „kto wiele rozumie, wiele przebacza, kto mało rozumie...”, czyli wybaczenia, zgody na wzajemną inność, tchnie życzliwością. Dzisiaj jest to już wyłącznie polski zwyczaj, jak przypomina nam mój ulubiony poeta Cyprian Kamil Norwid:

*„Jest w moim kraju zwyczaj, że w dzień wigilijny,
Przy wejściu pierwszej gwiazdy wieczornej na niebie,
Ludzie gniazda spólnego łamią chleb biblijny,
Najtkliwsze przekazując uczucia w tym chlebie.”*

Po skończonej Wigilii odmówiliśmy modlitwę i zaczęły się śpiewy kolęd. Prawdę mówiąc, marzyłam już tylko o łóżku i nie wybierałam się na pasterkę, ale Marcin miał ochotę ogromną i umawiał się z moją siostrą, że pójdą jako reprezentanci naszej rodziny. W łóżku ścisnęło mi się serce. Myśl, że tam na cmentarzu leży moja kochana babcia, przebiegła dreszczem po całym ciele. Szybko jednak wyparłam ją z siebie inną myślą, o świecie rozprzestrzeniającym się za granicą materii, świecie mojej mamy, taty, dziecka i babci, a przede wszystkim Jego, miłosiernego Zbawiciela.

MOJE SZCZĘŚCIE

Dziesiąty stycznia był wyjątkowo słoneczny. Stałam się okropnie gruba. Mój brzuch wyglądał jak balon, a dzieciątko szalało w nim, jakby było dzieckiem z ADHD. Miałam już swoje miejsce w letnim ogrodzie. Usiadłam na ławeczce

wśród zielonych roślin, jakbym znalazła się w innym świecie i cieszyłam się latem w środku zimy. Słońce przebijało się przez zielone liście i opierało swoje promienie na mojej twarzy. Z lewej strony miałam miejsce na sztalugi, ale kiedy już nadszedł dziewiąty miesiąc, odeszły ode mnie chęci na malowanie. Posiadywałam sobie tu i tam, powoli lokując swoje przemyślenia wyłącznie w stronę nieuniknionego czasu porodu. Zrezygnowałam z nauki w szkole już przed świętami. Zbyt dużo wolnego czasu negatywnie jednak wpływało na moje samopoczucie. Nie lękałam się jutra, zawierzyłam je mojej Matce i Bogu. Musimy przyjmować życie takim, jakie jest, i nie kombinować przy jego procesie zbyt mocno i uparcie. Walka z losem często obraca się przeciw walczącemu. Próba odwrócenia przeznaczenia dana jest tylko najsilniejszym jednostkom. Czy ja do nich należę? Nie byłam tego pewna.

Luty wkradł się w moje życie zupełnie niepostrzeżenie. Pogoda nas nie rozpieszczała. Na zmianę deszcz, to znów śnieg. Mój brzuch po prostu pękał w szwach. Szóstego czułam, że czas rozwiązania powoli się zbliża. Nie wiem, skąd, może intuicja kobieca, a może mój organizm przekazywał moim myślom podświadome informacje. Natychmiast przypominałam sobie tragiczne chwile poprzednich narodzin. Myślałam, że uwolniłam się od tej traumy, ale widocznie się myliłam i w sytuacji kryzysowej wszystko wypływało na wierzch jak oliwa. Nic nie mówiłam Marcinowi, chociaż przed zaśnięciem pytał mnie o samopoczucie i jak zwykle głaskał mój nadęty brzuszek, czule szepcząc coś maluchowi na dobranoc. Potem zasnął tak błyskawicznie, że byłam zdziwiona. Nie mogłam iść w jego ślady. Kłębiły się we mnie myśli, do tego byłam nerwowa i spięta.

Koło trzeciej przyszedł pierwszy ból. Był delikatny i szybko zniknął. Uspokoiliłam się, ale dalsze spanie stało się zupełnie nierealne. Patrzyłam na zegar i starałam się szukać dobrych chwil w moim życiu. Okazało się, że jest ich całkiem spora ilość. Moje życie urosło w moich oczach i poczułam się bardziej dowartościowana i pewna. Dotrwałam do piątej i obudziłam Marcina do pracy. Nie bardzo miał ochotę na wstawanie, ale w końcu wygramolił się z łóżka prosto do łazienki i kuchni. Na odchodne dostałyśmy buziaki, ja i mój brzuch. Pół godziny później znów poczułam ból. Był trochę wyraźniejszy niż poprzedni. Postanowiłam wstać i wziąć ciepły prysznic. Torba do szpitala była już spakowana od dwóch dni i stała w przedpokoju we wnęce, żeby nie rzucała mi się w oczy i nie napawała delikatnym strachem o niepewne jutro. Zanim weszłam pod prysznic, pomodliłam się przed obrazem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Potem rozebrałam się i weszłam do kabiny prysznicowej. Ciepła woda oblała moje ciało ze wszystkich stron, rozluźniając moje nadszarpane nerwami mięśnie. Maluszek w brzuszku był nad wyraz spokojny. Czyżby zapomniał, że nadchodzi czas próby, a może szykuje siły na tę życiową przeprawę.

Po śniadaniu usiadłam w ogrodzie zimowym. Marcin podkreślił ogrzewanie i temperatura wyraźnie przekraczała dwadzieścia dwa stopnie. Przyjemny zapach

kwiatów i zieloność liści uspokoiły mnie. Za szklaną taflą na chwilę przestało padać i wyłoniło się natychmiast słońeczko. Poczułam, że to dobry dzień na poród.

Siódmy lutego był dobrą datą, tak jak inne. Mijało dziewięć miesięcy od poczęcia. Jaki piękny dar Boga dla człowieka, nowe życie, które staje się bezpośrednim przedłużeniem naszej egzystencji, nadzieją na wieczność materialną, która przecież nie jest najważniejszą. Zdałam sobie sprawę z tego, jak wielu przodków poprzedziło ten czas, te narodziny zbliżające się do swojego kulminacyjnego punktu. Ledwie usiadłam z tą myślą, nawiedził mnie kolejny ból. Szybko policzyłam czas od ostatniego. Było to zaledwie pół godziny. No, może kilka minut więcej. Staralam się zachować spokój. Mimo że bolały mnie nogi, zaczęłam chodzić po mieszkaniu, od czasu do czasu zaglądając do zimowego ogrodu. Na sztalugach zawieszona było płótno z niedokończonym obrazem. Pomyślałam, że mogłabym trochę przy nim popracować i odsunąć moje myśli od porodu. Już miałam sięgnąć po pędzel i paletę, kiedy przyszedł kolejny ból, jeszcze silniejszy od poprzedniego, wyraźnie pochodzenia krzyżowego. Czyżby to już to, mam dzwonić po Marcina? Postanowiłam jeszcze poczekać. Bóle nie powtarzały się jeszcze regularnie z wymaganą częstotliwością. Zajrzałam do pokoju babci. Wszystko tam stało na swoim miejscu, tylko brakowało jej materialnej osoby, słów wsparcia, które z pewnością otrzymałabym w tej ważnej dla mnie chwili. Nie czułam się jednak samotna. Jakaś niewidzialna siła sprawiała wrażenie, że otacza mnie miłość wszystkich moich bliskich, którzy odeszli. Zamknęłam drzwi z powrotem. Mimowolnie mój wzrok utkwiał w słuchawce telefonu. Ale to była tylko chwila. Przechodząc do kuchni, poczułam jak nasila się ból w podbrzuszu i wtedy odniosłam wrażenie, jakby maleńkie strugi wody spływały po moich nogach, wlewając się do papuci. To już czas, zadzwonię do Marcina. Po drodze do telefonu nastąpił kolejny ból. Zaczęłam równomiernie oddychać, tak jak mnie uczono. Po trzydziestu sekundach ustaliłam na tyle, że mogłam dostać się do telefonu. Wystukałam numer w słuchawce i kiedy usłyszałam jego głos, odetchnęłam spokojnie.

— Marcin, przyjeźdź, zaczyna się. Jedź powoli i nie denerwuj się. Jeszcze jest czas.

— Już jadę, kochanie, trzymaj się, wszystko będzie dobrze.

Nie wiem, dlaczego zaczęłam wycierać podłogę. Marcin w najlepszym wypadku będzie za dwadzieścia minut. Miałam czas na przebranie i przygotowanie się. W międzyczasie dopadł mnie kolejny ból. Przykucnęłam na nogach. Poczułam, że zaczyna się coś dziać, że po chwili ulgi następuje kolejna eskalacja bólu. Oddychałam miarowo, tak jak mnie nauczyli w szkole rodzenia.

Wstałam z wysiłkiem i poszłam do sypialni. W sypialni znów dopadł mnie ból, ale był już inny. Pomyślałam tylko, że to szaleństwo, że mam już wszystkiego dość. Gdzie jest Marcin? Chwyciłam się jedną ręką szafki i ni stąd, ni zowąd zaczęłam przeć. Ta silna potrzeba parcia pojawiła się nagle, a ja dostosowałam się

do niej i zaczęłam przec z całej siły, robiąc sobie krótkie przerwy. Obolała poczułam, jak rozszerza mi się ujście sromu. Powtarzałam parcie i wylałam z bólu. Pojękując krzyczałam na Marcina, żeby w końcu już dotarł, ale jego ciągle nie było. Lewą dłonią dotknęłam łona i wyraźnie namacałam półokrągły zarys czegoś, co mogło być główką malucha. Dodało mi to kolejnej, potężnej dawki sił. Natura wspierała mnie na wszystkich frontach. Odwróciłam się w stronę komody i parlałam kolejny raz, oddychając miarowo i równo. Wtedy poczułam, jak nagle wypływa ze mnie cała moja wnętrznosc.

Spojrzałam na białe jeszcze przed chwilą flokati. Zobaczyłam na nim moje kochane dzieciątko, skrywane dotąd wewnątrz mojego ciała. W tym samym momencie usłyszałam jego cudowny wrzask. Cały ból i stres odpłynął, a ja delikatnie podniosłam to cudo z flokatu, zakrwawione i trzęsące się może z zimna, połączone ze mną jeszcze pępowiną. Położyłam się między łóżkiem i szafą, tuląc do swojej piersi moją cudowną córeczkę. Uspokoila się już, widocznie znów czując bicie mojego serca. W jednej chwili stałam się szczęśliwą matką. Moje prośby zostały wysłuchane. Prawą ręką ściągnęłam kołdrę z łóżka i przykryłam nas. Nie spodziewałam się tak szybkiego porodu.

Podziękowałam Bogu i zmówiłam chyba dwie zdrowaśki, gdy usłyszałam jak ktoś otwiera drzwi. Marcin wpadł jak oszalały. Minęła chyba chwila, zanim nas odnalazł w sypialni. Popłakaliśmy się oboje ze szczęścia. Pomógł mi wstać i położyć się do łóżku, a potem zadzwonił po pogotowie, które po chwili znalazło się już na miejscu. Na szczęście przyjechał lekarz i pozwolił Marcinowi przeciąć pępowinę. Po paru chwilach zapakowali mnie na nosze i zabrali do szpitala razem z moim szczęściem. Szczelnie zawinięte cieszyliśmy się obie, że ten trudny czas porodu jest już za nami. Zostało jeszcze łóżysko, ale lekarz uspokoił mnie. Czulałam się, jakbym i ja na nowo się narodziła.

SPOTKANIE PO LATACH

Minęło półtora roku. Postanowiłam wrócić do pracy w szkole. Dobrze jest wyjść do ludzi. Chociaż muszę przyznać, że uwielbiam przebywać z moją córeczką Marysią, to jednak brakowało mi trochę zewnętrznego świata. Namalowałam tylko dwa obrazy, ale nie czulałam wielkiej potrzeby ich tworzenia. Córcia ładnie już chodziła i stała się oczkiem w naszych głowach. Pomagała mi trochę moja siostra Judyta, a trochę jej koleżanka. Szkoła, w której rozpoczęłam pracę, okazała się przyjazna i była moją trafioną inwestycją. Początkowo bałam się o córeczkę, jak zniesie nieobecność swojej mamy, ale okazało się, że całkiem dobrze. W szkole miałam tylko kilka godzin tygodniowo, więc czas, na jaki oddalałam się od Marysi,

nie był wyjątkowo długi. Każdego roku po skończeniu Akademii w Krakowie otrzymywałam kolejne propozycje pracy na wydziale sztuki, jednak nie byłam gotowa na żaden wyjazd z Żywca.

Połowa września dobiegała końca. Jak zwykle odbywały się pierwsze zebrania rodziców. Nie miałam swojej klasy, więc problem spotkań zupełnie mnie nie dotyczył. Jednak wychodząc z pokoju nauczycielskiego, natknęłam się na Damiana, dobrego kolegę z mojej młodości, z którym niejedno przeżyłam, kumplem zabaw ze szkoły podstawowej.

— Marta? — usłyszałam znajomą barwę głosu.

— Co ty tu robisz? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie, zaraz, kiedy tylko dostrzegłam, kto wypowiedział moje imię.

— Właśnie, ciebie też mógłbym zapytać o to samo.

— Wybacz, ale śpieszę się do domu, czeka na mnie córeczka, nie mam czasu.

— Masz córeczkę? — zdziwił się. — Ja też mam córeczkę. Chodzi do tej szkoły. Może, jak nie masz dzisiaj czasu, porozmawiamy innym razem?

— Może — odparłam. — Tak będzie najlepiej.

— Mieszkasz dalej u swojej babci? — zdążył jeszcze zapytać.

— Tak — potwierdziłam. — Wpadnij do nas ze swoją żoną — zaproponowałam. — Zapraszam razem z mężem.

— Świetnie, z pewnością się zjawimy — odparł i minęliśmy się.

Kiedy wchodziłam na schody, spojrzałam w jego stronę. Stały mi przed oczami nasze harce po rzece Koszarawie. Był naprawdę dobrym kumplem, ale minęło już parę długich lat, odkąd straciliśmy się z oczu. Wracając do domu, zaczęłam wertować moje wspomnienia z tamtego okresu. Damian mieszkał do ósmej klasy w sąsiedztwie naszego domu, nic więc dziwnego, że spędzaliśmy ze sobą sporo czasu. Pomagał mi w matematyce, a ja okraszałam mu jego zeszyty, malowałam prace domowe i takie tam inne bazgroły. W pewnym okresie życia dziecięcego, a może we wczesnej młodości stanowiliśmy dobraną parę. Czasem nasi koledzy i koleżanki dopiekali nam, zwłaszcza w młodszych klasach, krzyżąc za nami: zakochana para Damek i Martala. Takie tam dziwne wymyślali jakieś przezwiska, ale my reagowaliśmy tylko śmiechem, całość obracając w żart. Tak zachowywała się tylko ta głupsza część klasy, a może tylko niedojrzała albo zazdrosna.

Rozmyślenia doprowadziły mnie w końcu do progu mojego domu. Potem już szybko zapomniałam o całym zajściu, łapiąc w objęcia córeczkę.

Dwa dni później przy wyjściu ze szkoły natknęłam się na Damiana.

Najwyraźniej czekał na mnie.

— Witaj Marto! — zawołał na przywitanie.

— A witaj, przyszedłeś po córkę? — zapytałam.

— Tak, ale okazuje się, że ma jeszcze dodatkowe zajęcia, mam więc godzinę

czasu. Może pójdziemy do tej kawiarni naprzeciwko na... — przeciągnął i dodał — kawę lub ciastko.

— Nie mam dużo czasu — zaczęłam się wykręcać, bo nie miałam ochoty tracić czasu.

— Nie daj się prosić, tak dawno nie rozmawialiśmy — nalegał.

— No dobra, wypijmy kawę — zrezygnowałam ze swojego uporu.

W kawiarni od razu dotarł do moich nozdrzy przyjemny aromat świeżo parzonej mokki. Damian odsunął krzesło i mogłam spokojnie usadowić się przy stoliku.

— Pijemy więc po kawie? — zapytał, spoglądając na mnie, a że skinęłam głową, zwrócił się do kelnerki.

— Dwie kawy i dwa jakieś dobre ciasteczka z kremem.

— Więc opowiadaj, co u ciebie — dodał w moją stronę.

— Jestem od półtora roku mamusią, mam wspaniałego męża, mieszkam w domu po babci, która niestety już odeszła do nieba.

— Wyraży współczucia, nie wiedziałem, ale długo mnie nie było w Żywcu.

— A gdzie przebywałeś, jeśli można wiedzieć?

— Byliśmy całą rodziną w Irlandii kilka dobrych lat, ale postanowiliśmy wrócić. Wybudowaliśmy dom na drugim końcu miasta i tyle.

— Więc dorobiłeś się za granicą? — zapytałam, ciągnąc moje rozpoznawanie Damiana.

— Można tak powiedzieć. Coraz więcej Polaków opuszcza granice naszego kraju, jak wiesz, tutaj niczego dorobić się nie da. Oboje z żoną mieliśmy tu pracę, ale za najniższe wynagrodzenie nawet rachunków nie bardzo było z czego zapłacić. A ty, jak słyszałem, zostałeś artystką, tak jak marzyłaś.

— Zawsze lubiłam malować, rysować, więc tylko rozwinęłam swoje pasje i poszłam w tym kierunku.

— Ale kokosów w szkole pewnie nie zarabiasz?

— W szkole nie zarobię. Pracuję tylko kilkanaście godzin w miesiącu — tłumaczyłam, sama nie wiem, dlaczego. — Za to mąż stanął na wysokości zadania i całkiem dobrze zarabia, do tego sprzedaję moje obrazy.

— Gdzie można je zobaczyć? Sam kupiłbym sobie jeden.

— Wkrótce organizuję wernisaż w Bielsku-Białej, jak dasz mi swoje namiary, zadzwonię gdzie i kiedy to będzie.

— Świetnie, przyjdziemy we trójkę. Wiesz, że jestem twoim fanem, i gdybyś nie wyjechała do Krakowa, kto wie, czy nie byłabyś moją żoną — zaśmiał się po tych słowach.

— Na szczęście wyjechałam — tym razem ja wyszczerzyłam zęby. — Ale to prawda, że byliśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi. Co zaważyło na naszym rozstaniu, przypomnisz mi?

— Zapomniałaś? Spodobała mi się nowa koleżanka, jaka do naszej klasy przyszła w ostatnim roku.

— A tak, pamiętam, a wiesz, że ciężko przeżywałam tamtą chwilę.

Chyba czułam coś więcej niż sympatię do ciebie.

— Ta śliczna uczennica została moją żoną — stwierdził już bez wyraźnego uśmiechu.

— Jesteście szczęśliwi? — zapytałam, widząc jak zmienia się wyraz jego twarzy.

— Jesteśmy — odparł bez entuzjazmu.

— Mówisz te słowa bez zapału. Czy coś jest nie tak?

— Nie — skwitował krótko.

— Ale... — starałam się rozwikłać zagadkę zdawkowej odpowiedzi.

— Co ci będę smucił.

— No przecież widzę, że coś jest nie tak.

— Cieszę się, że cię spotkałem. Często wspominam nasze wyglupy — zmienił temat.

— Dawno do nich nie wracałam, dopiero spotkanie z tobą popchnęło mnie w tamte czasy — tłumaczyłam mój brak zainteresowania przeszłością. — Wiesz, że zawsze bardziej interesowała mnie teraźniejszość niż przyszłość i malarstwo, a teraz mój największy skarb, córeczka.

— Jak ma na imię? — zapytał już z inną miną.

— Marysia, ale chyba już mówiłam?

— Może.

Zamyślił się na chwilę i rzekł nagle, jakby przeżywał naszą młodość na nowo:

— A pamiętasz nasze skoki na dziadkowym parasolu na stertę badyli?

— Doskonale pamiętam — odparłam, kończąc pić kawę.

— Oberwałem od ojca za ten połamany parasol — zaśmiał się.

— Więc co się dzieje? — wróciłam do tematu.

— Nie chcę cię obarczać moimi problemami.

— Jesteśmy przecież przyjaciółmi, tak mówiłeś, a ja powiem więcej, jesteśmy jak brat i siostra — zachęcałam go, by w końcu wyrzucił z siebie wszystko, co go dręczy.

— Opowiem ci następnym razem, chciałem się spotkać z tobą nie dlatego, że coś mnie dręczy, ale dlatego, że tak dawno nie rozmawialiśmy ze sobą.

— To prawda — odparłam na jego słowa.

— Chciałbym, żebyśmy znów mogli się spotykać, rozmawiać, ale oczywiście, jak najlepsi przyjaciele, jak mówisz, jak brat z siostrą, zwłaszcza że nigdy nie miałem rodzeństwa.

— Ponawiam zaproszenie dla ciebie i twojej żony. Naprawdę wpadnijcie do

nas w weekend. Zobaczysz moje cudo i Marcin się ucieszy, pochodzi z Krakowa i nie ma tutaj zbyt wielu przyjaciół.

— Oczywiście, że wpadniemy.

— Naprawdę muszę już iść. Moja siostra ma dzisiaj jakieś zajęcia popołudniowe.

— Co u niej? — zapytał i po chwili konsternacji dodał. — Wiem, spieszysz się. Dziękuję, że zechciałaś ze mną wypić kawę.

Oboje wstaliśmy równocześnie, jakby ktoś dał nam do tego sygnał. Co prawda zostawiłam trochę smacznej kremówki, ale musiałam wrócić do poprzedniej sylwetki. Objęliśmy się na pożegnanie.

Wróciłam do domu z różnymi odczuciami, które zaczęły się kłębić w mojej głowie. Zaintrygował mnie Damian. Coś musiało się wydarzyć w jego życiu. Zawsze był wygadany i szczery do bólu, tym razem działał się inaczej. Prawda była też taka, że nie widzieliśmy się dziewięć lat od skończenia naszych szkół, ja chodziłam do Plastyka w Bielsku, a on do technikum mechanicznego w tym samym mieście. Oboje codziennie jeździliśmy pociągiem, byliśmy razem na naszych studniówkach, stanowiliśmy doskonałą team, a jednak po moim wyjeździe wszystko przepadło, tonąc w nowym wymiarze naszych biografii. Często snuliśmy się uliczkami Starówki, potykając się o kocie łby, których w nowym ustroju było już coraz mniej. Często asystował mi przy malowaniu podcieni, przepięknej architektury starych domów i pilnował, by nikt mnie nie zaczepiał.

Jak bardzo świat poszedł naprzód. W pewnym momencie myślałam, że rodzi się między nami uczucie, być może tak było, ale nasze drogi rozeszły się za naszymi marzeniami, które jednak różniły się mocno od siebie. Dla odmiany Damian wyłudował w Katowicach na Uniwersytecie Śląskim. Dlaczego wrócił do Żywca z Irlandii?

Odpowiedź na pytanie nie odwlokła się w czasie. Dwa tygodnie później wiedziałam już wszystko. Jego żona wplątała się w romans. Świat zawalił się pod jego nogami i wcale się temu nie dziwiłam. Dlatego zdecydowali o powrocie do Polski. Przyjechali razem i postanowili rozpocząć wszystko od nowa. Nasze pierwsze spotkanie w gronie rodzinnym było zimne.

Gdyby nie nasze pociechy, byłaby to istna przyjacielska stypa, zmierzająca do katastrofy. Porozmawiałam jednak szczerze z jego żoną, a nawet spotkałyśmy się w parku i wszystko nagle zaczęło mieć sens, a my z Marcinem stanowiliśmy prawdziwą grupę wsparcia.

WYJAZD NAD MORZE

Rok później przygotowaliśmy się do wspólnego wyjazdu wakacyjnego. Celem była przepiękna Łeba. Znaleźliśmy niedrogi pensjonat niedaleko plaży. Widziałam, jak Damian cieszył się na naszą eskapadę. Ich rodzinne życie wydawało się wracać na właściwe ścieżki. Pewnie tak było naprawdę, ponieważ diametralnie zmieniło się ich zachowanie wobec siebie. Jakby zatracone uczucie, sponiewierane i wdeptane we współczesne życie, które czasami odbiega od moralnej linii dzielącej dobro od zła, nagle zaczęło brylować i świecić jak gwiazda. Dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych. My, jako ludzie, często nie potrafimy określić tej granicy, wklajając się w subiektywne, czasem wyimaginowane pojęcia rzeczywistości, ale zawsze nad wyraz osobiście określone naszym życiem, warunkami, w jakich przyszło nam wzrastać, i tym, co nas doświadczało w czasie tej wędrówki.

Mężowie przygotowywali swoje samochody, a my układałyśmy sterty rzeczy, które według nas były nieodzowne, aby nasza wycieczka okazała się satysfakcjonująca we wszystkich wymiarach. Torby stawały się coraz bardziej wypchane, właściwie zaczęło brakować w nich wolnej przestrzeni. W ruch poszły reklamówki, te duże i mocne, które mogły wytrzymać napór wypełniających je rzeczy. Cieszyłam się jak dziecko, a moja córka jeszcze nie wszystko rozumiała, ale trzymała już w rękach swoje wiaderko, grabki i łopatkę. Ustaliliśmy, że sobota wieczorem będzie najodpowiedniejszą porą na wyjazd. Ostatnie prognozy pogody długoterminowej były bardzo sprzyjające wypoczynkowi nad bałtyckim morzem. Niestety, zanim zacznie królować wyż, będziemy musieli się zmierzyć z deszczowym niżem i to w czasie jazdy samochodem przez całą Polskę. Marcin uspokajał mnie, nawet obiecał się wyspać przed wyjazdem. Nadszedł dzień wyjazdu. W radiu Zet, które włączyłam, popłynęła sobotnia przyjemna muzyka. Za oknem padał deszcz. Musiałam wyjść zrobić ostatnie zakupy. Marysia jeszcze spała z Marcinem w najlepsze. Wzięłam torbę i duży parasol rodzinny, a mimo to po powrocie musiałam się przebrać w suche ubranie. Właściwie wszystko było już przygotowane, tylko czas powoli zaczął płynąć, jak to zwykle bywa, kiedy na coś się czeka. Przygotowałam śniadanie i zabrałam się za obiad. Marcin z Marysią wstali dopiero przed dziesiątą. Zaczęłam się niepokoić, co będzie wieczorem.

— Wypaliście się? — przywitałam rozespane jeszcze towarzystwo, jak schodziło się szeregiem gęsiego do kuchni.

Marysia już pewnie stawiała swoje kroki i szybko podbiegła do mnie. Usadawiłam ją na wysokim krześle tuż przy stole.

— Chciałem już wcześniej wstać, ale Marysia leżała na mnie i nie chciałem jej obudzić. Co dobrego na śniadanko?

— Marysia ma butelkę z kaszką, a my jajka na kielbasce żywieckiej.

— Ale pada — wtrącił Marcin. — Ciekawe, czy się do wieczora wybierze.

— Fatalnie jest na dworze, byłam na zakupach i nawet parasol mnie nie ochronił — od razu przekazałam moje spostrzeżenia.

— *Będzie dobrze* — zapewnił.

— *Może nie jedźmy dzisiaj, źle mi się śniło* — zaproponowałam zmartwiona, spoglądając za okno.

— *Nie martw się i nie wierz we wszystko, co się śni. Poza tym jesteście już umówieni z Damianem na dwudziestą drugą. Przecież od jutra ma być pogoda i tak będzie według wszelkich znaków na niebie i ziemi.*

— *Skoro tak mówisz?*

Dotrzymał słowa i o osiemnastej zamknął się w sypialni. Marysia trochę marudziła, chcąc dostać się do taty, ale w końcu dała za wygraną.

Zaplanowałam, że ją trochę przetrzymam i w czasie podróży będzie spała spokojnie do rana. Na dobranocce jeszcze była pełna wigoru. Wykorzystałam nadarżającą się chwilę na załadowanie bagaży do samochodu i przygotowanie fotelika dla córki. Jakaś nuta niepokoju grała na moich strunach nerwowych. Próbowałam z tym walczyć, wmawiając sobie, że wszystko jest w porządku. Może było, a moja wyobraźnia była zbyt wybujała.

O umówionej godzinie Damian podjechał pod nasz dom. Byliśmy już gotowi. Szybko zapakowaliśmy ostatnie pakunki, herbatę i kawę do koszyka wiklinowego i zamknęłam drzwi na dwa zamki. Przebiegłam do samochodu w strugach deszczu i usiadłam na tylnym siedzeniu razem z Marysią. Miałam poduszkę i koc, żeby było nam ciepło w czasie nocnej drzemki, na którą liczyłam. Wreszcie Marcin zapalił silnik i mrugnął długimi światłami, dając znak Damianowi, aby już ruszał. Szybko znaleźliśmy się na drodze do Bielska. Po dwudziestu minutach minęliśmy Dworzec Główny i wjechaliśmy na krajową jedynekę, którą jechało się znacznie szybciej.

Na początku pilnowałam drogi, rozmawiając z Marcinem, jednak im dłużej trwała jazda, tym bardziej czułam, jak moje oczy stają się coraz cięższe. Na siłę otwierałam je, walcząc z sennością. Odpięłam pas i zmieniłam płytę kompaktową w odtwarzaczu na muzykę, której często słuchaliśmy w domu. Marcin lubił piosenki Ani Wyszconi, zresztą i mnie bardzo się podobały. Tak więc kolejną godzinę wytrzymałam walkę ze snem. Słuchaliśmy muzyki, a rozmowa rozbiegała się we wszystkich możliwych kierunkach. Marysia usnęła i spała w najlepsze. W ogóle nie reagowała na wstrząsy i zakręty. Fale deszczu na przemian uderzały w przednią szybę tak, że wycieraczki nie nadążały zbierać wody. Ania Wyszconi z zespołem Łzy nadal śpiewała, prezentując swoje utwory po raz drugi, od nowa zaczynając swoją płytę i piosenkę, za którą otrzymała nagrodę publiczności w konkursie Premier Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, „Oczy szeroko zamknięte”. W ubiegłym miesiącu oglądaliśmy ją na ekranie telewizora i słuchaliśmy właśnie tego koncertu. Nie wiem, jak Marcin dawał sobie radę z tą pogodą. Dotknęłam jego ramienia.

— *Jak się czujesz kochanie, nie jesteś zmęczony? Może staniemy na najbliższej stacji CPN?*

— *Nie wiem, czy niebo dzisiaj się uwzięło na wszystkich podróżnych* —

odpowiedział pytaniem, lekko skręcając głowę w moją stronę.

— Patrz przed siebie, żebyś nas szczęśliwie dowiózł do celu — pouczyłam go od razu, delikatnie naprowadzając mu głowę w stronę przedniej szyby.

— Dobra, dobra, już koncentruję się na drodze. Jeszcze tylko kilka godzin i będziemy słuchać szumu morza.

— Jedź wolniej, zdążymy — próbowałam wymóc ostrożną jazdę.

— Jadę przecież dziewięćdziesiątką — odparł momentalnie, uspokajając mnie, że wszystko ma pod kontrolą.

PODRÓŻ DO BOGA

Mnie jednak ciągle wydawało się to zdecydowanie za szybko, ale wyraźnie prędkość się zmniejszyła, uspokajając moje nadszarpnięte nerwami serduszko. Maleńka spała w najlepsze, spojrzałam w jej stronę i nagle wszystko zawirowało w mojej głowie, mieszał się huk z piskiem opon, trzask gniecionej blachy ze strachem. Zaczął docierać równocześnie niesamowicie mocny ból i potem nastąpiła zupełna cisza...

Nie mogłam określić jej długości. Cały świat jakby zniknął w tej właśnie chwili. Nie rozumiałam, co dzieje się ze mną, ale kto mógłby to pojąć. I nagle znów pozornie wszystko powróciło. Odniosłam wrażenie, jakbym zaczęła się z wolna unosić nad swoim ciałem, które leżało na poboczu drogi koło drzewa z dość szerokim gładkim pniem. Niebieskie światła migąły jednostajnie. Zaczęłam znów słyszeć, były to odległe krzyki ludzi pobłyskujących żółtymi paskami. Dopiero po chwili zorientowałam się, że są w odblaskowych kamizelkach.

Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z tego, co się stało, co właściwie wydarzyło się w tym miejscu. Deszcz padał, przelatując w ostrych promieniach światła bijących ze stojących samochodów jak długa niekończąca się nitka. Zdziwiło mnie, że nie czułam zwykłej w takich okolicznościach wilgoci, ani na skroniach, ani na reszcie ciała. Moje rozbiegane oczy omiatały wszystko naraz, chociaż pojąć tego nie mogłam, jak mogłoby być to możliwe.

Zobaczyłam moją córeczkę leżącą blisko pogieętego fotelika wydobytego ze zmasakrowanego auta. Rzuciłam się bez namysłu w jej kierunku jak oszalała i kiedy dostałam się do niej, nie potrafiłam jej objąć. Żaden mój rozpaczliwy ruch nie był w stanie dotrzeć do jej ciała. Zaczęłam wycić, zdając sobie sprawę, że tak naprawdę i ona i ja nie żyjemy.

Wróciłam spojrzeniem w stronę samochodu. Dwóch strażaków przecinało słupki auta, próbując dostać się do jego wnętrza od strony kierowcy. Usłyszałam głos sanitariusza, ale zaraz zorientowałam się, że nie słyszę jego słów, tylko znam

jego myśli, które chce wypowiedzieć, a może wypowiada.

„Szybko, nie czuję już pulsu. Może to dobrze, że wszyscy nie żyją, każdy cierpiałby z osobna, gdyby przeżył sam.”

Po tych słowach czy myślach rozpruli jakimś przyrzędem blaszaną skorupę i wdarli się do wnętrza, po czym wyjęli zakrwawione ciało Marcina. Wszystko ze mnie wyleciało, żal, smutek, bezsilność i złość, że nie mogę nic zrobić.

Wtedy zobaczyłam jasną jak słońce postać, od której biło cudowne ciepło pełne miłości i zrozumienia. Uspokoiliam się i ruszyłam w tamtą stronę. Im byłam bliżej, tym bardziej wydawało mi się, że płynę, a później unoszę się i wpadam w korytarz ciągnący się w jakąś bliżej nieokreśloną dal. Korytarz zaczął przypominać tunel, a ja miałam wrażenie, jakbym nabierała prędkości. Nie dotykałam jego ścian, ale mogłam spojrzeć za siebie. W dole widać było niebieską kulę przypominającą być może naszą planetę. Ogarnął mnie niesamowity spokój, poczułam radość, że wszystko, co mnie dotyczyło w materialnym świecie, nagle się skończyło. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że jeszcze przed chwilą mogłam być w każdym zakątku tej planety, nie chciałam jednak zwlekać ani chwili, wybierając właśnie ten tunel wiodący wprost do czegoś, co przerastało moje wyobrażenie. Zaczęłam czuć jasność, która mnie przenikała w cudowny sposób i w jednej chwili zobaczyłam wszystko, co mnie na Ziemi spotkało: moje narodziny, miłość, szkołę, moje wypowiedziane słowa, które odbijały się i zataczały coraz szersze kręgi, uderzając w podobne do mnie istoty, w których świadomości pozostawiały swój ślad. Zrozumiałam, że to moje oddziaływanie na innych trwało przez całe moje życie, a moje dobre i złe słowa zabarwiały moją poświatę rozpostartą od wnętrza na zewnątrz. Pojęłam, że to jest sąd nade mną jako człowiekiem, ale nie czułam się z tym źle. To cudowne światło znało wszystkie uwarunkowania, które mną kierowały od narodzin do śmierci. Nie liczyło się tak bardzo, czego się nauczyłam, co zdobyłam w życiu, ale przede wszystkim miłość, jaką dawałam z siebie, ile swojego serca wkładałam w pracę dla innych. Czasem były to tylko pojedyncze słowa, a czasem nawet same gesty. Nieskończona dobroć połączona z miłością nie do opisanania otulała mnie tak mocno, że nie pragnęłam już nigdy wracać tam, skąd przybyłam. Wydawało mi się, że po trudach życia wróciłam do domu. Zobaczyłam moją mamę z tatą, byli szczęśliwi, takich nigdy w życiu ich nie widziałam, poczułam ich niewiarygodne uczucie, marzyłam o tym od chwili, kiedy babcia powiedziała nam, że naszych rodziców zabrał Bóg, wysyłając po nich swoich aniołów. Teraz już wiedziałam, że tak było naprawdę. Zaraz obok nich pojawiła się pełna radości babcia z dziadkiem razem z moimi córeczkami i Marcinem.

Byłam szczęśliwa, że wszyscy żyją, ale świetlista postać, którą, jak sądzę był mój przewodnik, mój anioł stróż, ogarnęła mnie swoją czułością i jakby doskonałym pojmowaniem mojej radości i wyraźnie dała mi do zrozumienia na delikatnym poziomie mentalnym, że muszę wracać. Nie miałam zamiaru, nie

chciałam opuścić za żadne skarby ogarniającej mnie miłości i tej niesamowitej przestrzeni. Nie mogłam jednak niczego zmienić. Czulałam, jak zaczynam się cofać, jak wracam tunelem w miejsce, z którego wymknęłam się materii w wymiar ramion samego Boga...

I tak znalazłam się z powrotem na drodze, gdzie doszło do wypadku. Zdziwiłam się, że na dworze zaczynało szarzeć, a drogą jeździły już samochody. Pod drzewem paliły się trzy znicze. Patrzyłam na nie ze spokojem serca. Nagle zawiął wiatr i zgasły dwa z nich. Poczulałam jak za mną stoi mój duchowy przewodnik i bez nacisku kieruje moją duszę w jakąś nieznaną stronę. Po chwili zorientowałam się, jak podążam w stronę dużego miasta. W tej podróży przenikam przez materialne rzeczy, jakbym była duchem. Nagle w osłupieniu zatrzymuję się, moja wędrówka dobiega końca tuż nad moim ciałem.

Respirator jednostajnie wdmuchiwał tlen w mój organizm, unosząc klatkę piersiową równomiernie w jednakowych odstępach czasu. Nie wiem, jak długo patrzyłam na siebie, ale tęskniłam ogromnie za miejscem, w którym byłam jeszcze jakiś czas temu, ale czy pojęcie czasu, który znałam, mogło tam istnieć? Opierałam się i wdrygałam przed wejściem w siebie samą, ale mój anioł był zdecydowany i wytłumaczył mi, że jeszcze nie nadeszła moja pora, i że z pewnością tam wrócę. Nagle zrobiło mi się żal mojego samotnego ciała leżącego bezwładnie na białej pościeli. Zawinięta głowa w bandaż wyglądała oplakanie. Nie mogłam już dłużej zwlekać, wtargnęłam w materię i wszystko zniknęło.

DZIEŃ JEST NOCĄ — PRZEBUDZENIE

Ocknęłam się któregoś dnia, nie pamiętam, ile ich mogło minąć. Ogarniała mnie ciemność, która była nieprzenikniona z niewiadomych przyczyn. Przypomniałam sobie wszystko, co wydarzyło się „wczoraj”. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego dostąpiłam tej, jakby nie było, wizji. Z pewnością wierzyłam, że była prawdziwa, że uczestniczyłam w tym z Bożej Łaski.

Ktoś siedział obok mnie. Słyszałam wyraźny oddech i czyjąś dłoń trzymającą moje palce. Ruszyłam nimi od niechcienia. Poruszyły się z ogromnym trudem. Wtedy usłyszałam.

— Siostró, ona się budzi! — wyrwał się z ciszy poniesiony o kilka oktaw głos, który rozpoznałam w mgnieniu oka. To była moja kochana siostra.

— Kochana moja, jak się cieszę, że wróciłaś — znów usłyszałam jej kojący głos o kilkanaście decybeli cichszy od poprzedniego.

— Dlaczego nie zapalicie światła? — moje pytanie zawisło w powietrzu razem z ciszą, która po nim nastąpiła. Usłyszałam jeszcze jakieś kroki, może kilka,

nawet zrobił się szum.

— Nareszcie — rozpoznałam męski głos. — Witamy panią wśród żywych.

— Dobra, ale dlaczego nie zapalicie światła? — zadałam kolejny raz powoli to samo pytanie.

— Jak to? — usłyszałam ten sam męski głos i zaraz poczułam jego dłonie i palce, jak rozszerzają moje powieki.

Pomyślałam, że może miałam zamknięte oczy i dlatego nic nie widziałam, ale po chwili namysłu zrozumiałam wszystko.

— Czy ja nie widzę? Doktorze, co się dzieje? — głos miałam słaby, jakby z trudem opuszczał moje gardło.

— Miała pani wypadek — poinformował mnie głos, który był bardziej oddalony ode mnie, niż ten poprzedni, ale ten fakt już znałam.

— Wypadek — szepnęłam, po chwili jeszcze raz powtarzając: — Wypadek — wolno przy tym literując wyraz.

Po ostatniej wycędzonej z trudem literze przypomniałam sobie całe moje życie, moją śmierć i mój powrót.

— Czy pani wie, jak się pani nazywa? — zapytał łagodnym tonem, jak sędzę, lekarz, który badał moje oczy.

— Marta — odpowiedziałam bezzwłocznie, ale bardzo powoli.

— Który mamy rok?

— 2003.

— Czy pamięta pani, co się wydarzyło? Ludzie często po takich urazach nic nie pamiętają, czasem blokują swoją pamięć, ukrywając ją przed samymi sobą.

— Był wypadek, zginął mój mąż i moja córeczka — oświadczyłam.

— Skąd pani wie, że zginął mąż i córeczka? — zapytał wyraźnie zbity z tropu i zaciekawiony.

— Wiem, widziałam — odparłam.

— Widziała pani? — powtórzył pytanie.

— Tak, widziałam — potwierdziłam sam fakt pamięci mojego mózgu.

— Czy będę widzieć? — spokojnie zapytałam, aż się dziwiłam tej wewnętrznej, niezmqaconej harmonii i sile wypływającej ze mnie.

— Zrobimy dodatkowe badania i wszystko się wyjaśni — zapewnił mnie ciepłym głosem lekarz, który mnie badał. — Uległa pani poważnemu wypadkowi. Miała pani pękniętą czaszkę, krwawienia śródczaszkowe, stłuczenie potylicy i wiele innych, lecz już mniej groźnych urazów. Dwa miesiące w śpiączce, ale zdarzył się prawdziwy cud, pozwalający pani wrócić do nas, podczas gdy my braliśmy już pod uwagę najgorszy scenariusz i do tego pamięta pani wszystko, co działo się po wypadku. Z reguły po takich wstrząsach ludzie nie pamiętają nic z tego okresu. Z panią stało się inaczej. Jeśli mogę być szczery... — Proszę — wyszeptałam już słabszym głosem.

— Krótko, będę się streszczał, jest pani jeszcze bardzo słaba. Z badań jednoznacznie wynikało, że mózg przestał reagować, a co za tym idzie, sprawnie funkcjonować. Tu jednak myliliśmy się. Nie znamy przyczyn tego nagłego powrotu do rzeczywistości.

— To sprawa między mną a Bogiem — zaczęłam. — Gdyby pan wiedział, kim On jest, byłby pan innym człowiekiem.

— Być może — odparł zdumiony moją odpowiedzią.

— Pani siostra codziennie przychodziła na OIOM i codziennie z panią rozmawiała, jej wiara zaskakiwała mnie, chociaż otrzymywała coraz gorsze rokowania.

— Kocham moją siostrę — wyszeptałam, siląc się na uśmiech.

Wiedziałam, że gdzieś stoi tutaj odsunięta przez lekarza i pielęgniarki na bok.

— Ja też cię kocham — usłyszałam jej słodki głos potwierdzający moje przypuszczenia.

Po jakimś czasie, kiedy wszystkie wskaźniki zdrowia ustabilizowały się, przewieziono mnie na inną salę. Nie mogłam się zorientować, ani w czasie, ani w przestrzeni, dopiero głos siostry pozwolił mi zacząć się w tym, jakby nie było, nowym świecie.

— Długo byłam na badaniach? — wyszeptałam słabym głosem.

— Badania miały miejsce wczoraj, byłam przy tobie, ale nie reagowałaś na zewnętrzne bodźce, lekarze myśleli, że ci się pogorszyło, potem musiałam odejść — starała się wytłumaczyć, ile czasu znów przeciekło przez moje palce.

— Powiedz, co z pogrzebem moich ukochanych? — zapytałam, chociaż pytanie wydawało mi się trochę bezsensowne.

Dla mnie oni żyli nadal i miałam co do tego więcej niż pewność. Bóg jednak nakazał nam z godnością grzebać ciała naszych bliskich i dlatego byłam zainteresowana pochówkiem..

— Pogrzeb odbył się tydzień po wypadku — smutnym głosem oznajmiła, mocniej ściskając moją dłoń.

— Poradziłaś sobie? — westchnęłam cicho.

— Pomogło mi wielu ludzi, każdy pytał, co z tobą i łzy same napływały do oczu. Szybko wydorosłałam, nawet nie wiesz, jak szybko. Na początku ogarnął mnie strach, że zostanę sama na tym zwariowanym świecie. Odeszli rodzice, babcia, a teraz moja siostra balansowała między życiem a śmiercią. Zaciskałam zęby i walczyłam. Marcin i Marysia leżą na cmentarzu w Żywcu. Mają już nawet pomnik, tuż koło grobu rodziców. Codziennie przychodziłam do ciebie. Muszę ci powiedzieć, że bardzo cię kocham. Tak rzadko używałam tego słowa, ale teraz wszystko się zmieni. — Kochanie moje, gdybyś wiedziała, gdzie byłam, kiedy moje ciało tutaj leżało...

— *Gdzie mogłaś być?* — zapytała z niedowierzaniem w głosie. — *Codziennie widziałam cię na tym łóżku. Co ty opowiadasz?*

— *Czy kiedyś cię okłamałam, no powiedz?* — zapytałam z lekkim wyrzutem w głosie.

— *Nigdy* — przyznała.

— *Widzisz. Tuż po wypadku moja dusza jakby ze mnie uleciała, nie potrafię tego sprecyzować, jak do tego doszło, ale widziałam Marcina, Marysię, karetkę, ratowników. Opowiem ci wszystko, kiedy będę silniejsza.*

— *Jasne, Martusiu, ale jak to możliwe?*

— *Nie wiem* — odpowiedziałam zmęczona. — *Od jutra zaczynam rehabilitację.*

— *Dziękuję Bogu, że jesteś. Masz pozdrowienia od wikarego z naszej parafii.*

— *Podziękuj mu.*

— *Wybiera się tutaj jutro. Opowiesz mu o tym, co cię spotkało?*

— *Jeśli zapyta, może* — odparłam, nabierając powietrza w usta, jakbym miała ziewać.

— *Opowiedz mu, jestem ciekawa, co na to powie* — zachęcała mnie siostra.

— *Uzna mnie za szaloną wariatkę* — stwierdziłam poważnie.

— *Myszę, że nie. To jakieś świadectwo, które musisz opowiedzieć innym, aby uwierzyli.*

— *Ale z ciebie znawczyni tematu.*

— *A tak, jestem. Kiedyś czytałam o podobnym przypadku.*

— *Gdybyś to przeżyła, twoje życie z pewnością nabrałoby innego wymiaru. Ja sama jeszcze tego nie ogarniam. Ciągle jednak widzę wszystko, jakby to było wczoraj. Przede wszystkim tęsknię za miłością, która mnie dotknęła. Nie ma niczego na tym świecie, co mogłoby się z nią równać. Jestem zmęczona... Porozmawiamy jutro* — zaproponowałam.

— *Oczywiście, jutro. Odpoczywaj.*

Pocałowała mnie w czoło. Słyszałam zaraz potem jak wychodzi. Chciałam odpocząć, a z drugiej strony już za siostrą tęskniłam. Byłam słaba, od tyłu dni moje ciało leżało w stanie spoczynku, mięśnie zwiotczały, koniecznie potrzebowałam pełnej rehabilitacji.

ŚWIADECTWO BYŁO WE MNIE

Wyraźnie nabierałam sił. Po południu następnego dnia ktoś usiadł przy moim łóżku i siedział bardzo długo i spokojnie. Nie ruszałam się, więc z pewnością ten ktoś myślał, że pogrążona jestem we śnie. Nadstawiłam uszu i z ogólnego

szumu, jaki wypełnił pomieszczenie, wyluskałam słowa układające się w różaniec. Dźwięk był delikatny, prawie nie można go było odróżnić od tła. Zaraz też zidentyfikowałam, analizując wczorajszą rozmowę z siostrą, osobę modlącą się przy moim łóżku. Oczywiście był nim nasz wikary. W końcu nie wytrzymałam.

— Ksiądz Janusz? — zapytałam.

— Skąd wiedziałaś, że tu siedzę?

— A któż inny odmawiałby różaniec przy moim łóżku — wyraźnie uśmiechnęłam się, obracając głowę w jego stronę.

— Słyszałaś moje myśli...? — zdziwił się.

— A tak, potrafię słyszeć myśli — zaczęłam pewniej, przypominając sobie historię tuż po wypadku.

— Jak się czujesz? Naprawdę chyba Bóg wysłuchał naszych modlitw.

Moich i twojej siostry, a także parafian — dodał zaraz po chwili.

— Wszystko jest dobrze — zaczęłam. — Dziękuję za wsparcie duchowe i modlitwy, które codziennie słyszałam.

— Codziennie? — znów się zdziwił.

— Tam, gdzie byłam, o wszystkim się wie. Tak zwyczajnie o wszystkim.

— A gdzie byłaś?

— Myślę, że w niebie.

— W niebie? — powtórzył. — Jak to możliwe?

— Dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych — zaczęłam — ale komu ja to mówię.

— Właśnie.

— Jeśli ty miałbyś nie wierzyć, to kto mi uwierzy?

— Opowiesz mi o tym?

— Z chęcią. Muszę o tym opowiedzieć. Muszę dać świadectwo. Jako ksiądz to też musisz zrozumieć. Powinno mi cierpieć z powodu śmierci moich bliskich, ale ja nie cierpię, wiem, że żyją w tym innym świecie i jest im tam dobrze. Chciałam tam zostać, ale nie mogłam się przeciwstawić sile nakazującej mi powrót do ziemskiego życia.

— Jak udowodnisz swoją historię?

— Potrafię opisać wszystko, co zdarzyło się tuż po wypadku, a nawet inne sytuacje, które wydarzyły się w innych miejscach, w których nie mogłam być, leżąc tutaj na intensywnej terapii, zanurzona w śpiączce. Byłam też po drugiej stronie. Jak mi się wydaje. Nie, nie wydaje, ja to wiem, zetknęłam się z miłością, tak potężną, tak głęboką i tak doskonałą, że nie sposób jej z niczym ziemskim porównać, a skoro nie można porównać, musiała należeć do Stwórcy. Bezgraniczne zrozumienie, miłosierdzie i wybaczenie powoduje, że człowiek samoistnie staje się dobry do szpiku kości. Jest ksiądz drugą osobą, której o tym opowiadam.

— I tak znajdują się niedowiarki. Jak wyzdrowiejesz i wrócisz do nas, będę

miał do ciebie prośbę.

— Jaką?

— Spisziesz swoje przeżycia — zaproponował. — Obiecuję, że spróbujemy je pokazać światu i dać świadectwo istnienia Boga.

— Dlaczego nie? Świadectwo jest we mnie. Czy nie jestem właśnie nim? Czuję potrzebę podzielenia się swoim szczęściem, chociaż głupio może to zabrzmieć, skoro tyle według ziemskiej rzeczywistości doświadczyłam, w negatywnym powszechnie znaczeniu. Oczywiście chodzi mi o moją ślepotę i utratę dziecka razem z mężem. Taka trauma nie może przejść obojętnie, odbijając swoje piętno na psychice, a jednak w moim przypadku jest inaczej.

— Rzeczywiście, jest w tym dużo racji, powiem, że to jest dziwne, niesamowite, ale Boskie. W dodatku On wprowadził wokół ciebie ciemność. Jak będziesz sobie radzić w takim świecie, skoro jesteś malarką?

— Chociaż jestem ślepa, ciągle widzę obrazy. Moja wyobraźnia układa przestrzeń, jakby istniała naprawę wokół mnie i przecież istnieje. Każdy głos wydziela barwę, każdy szum otwiera głębię przestrzeni, do tego zapach, smak i dotyk. Nie potrafię tego jeszcze pojąć ani wyjaśnić. Nigdy w przeszłości te zmysły we mnie nie dominowały. Jak w tak krótkim czasie mogły tak ewoluować? Nie znoszę tylko ciszy. Moim wzrokiem jest słuch, wyobraźnia i analityczna myśl.

— Niesamowite. Masz ochotę pomodlić się ze mną? — zapytał niepewnie.

Może wątpił w moją wewnętrzną wiarę? Chociaż nie, był jej pewny, bardziej niż przed wypadkiem. Czulałam swoimi zmysłami stan jego ducha w tej kwestii bardzo wyraźnie. Dostrzegałam tę możliwość, przenikając wszystkich ludzi, których zobaczyłam po przebudzeniu.

— Będę modlić się w myślach razem z księdzem — zaproponowałam.

— Jestem jeszcze słaba.

— Dobrze, dotknij mojej ręki, jeśli modlitwa stanie się uciążliwa.

— Tak zrobię — dodałam, wsłuchując się w szept, który stał się głośną litanią wznoszoną do Boga.

MIJAJĄCE DNI

Minęło już kilka dni od mojego przebudzenia. Nie musiałam zamykać oczu. Wokół panował nieprzenikniony mrok. W tej ciemności widziałam twarz siostry, jak patrzy na mnie trochę z politowaniem. Było to takie realne, jakby działało się naprawdę. Wierzyłam, że było. Trzymała mnie jeszcze jakiś czas za dłoń. Widocznie zasnęłam, bo kiedy się ocknęłam, nie odczuwałam już niczyjej bliskości. Leżałam zupełnie samiuśka. Mogłam spokojnie unieść ręce do góry, chociaż zrobiłam to

z trudem. Czy naprawdę tak długo leżałam w bezruchu? Znów zatęskniłam za córeczką i Marcinem, i z przerażeniem stwierdziłam, że jeszcze długo będę musiała czekać na ich spotkanie, skoro On wezwał mnie do powrotu.

Kolejne badania potwierdziły uszkodzenie ośrodka odpowiedzialnego za wzrok. Byłam cierpliwa, znosząc swoje kalectwo nad podziw dobrze. Modliłam się do Boga codziennie, czego dawniej nie robiłam regularnie. Pozostawił mnie przy życiu z jakiejś niewiadomej dla mnie przyczyny. Wmawiałam sobie, że tak naprawdę tylko chwila dzieli mnie od spotkania z moimi bliskimi. Powtarzanie tego jak mantry zmieniło moją świadomość całkowicie, powodując bezwarunkowe pogodzenie się z losem i wzrost wiary, że tylko miłość, jaką mogę jeszcze dać innym, przyniesie najwięcej dobra dla mnie i przybliży ten czas.

Rehabilitacja wymagała ogromnego wysiłku i taki wykrzesalam z siebie. Byłam dumna z każdego dnia, w którym uniezależniałam się od pomocy otoczenia. Rozmawiałam z psychologami, z osobami zajmującymi się badaniem życia po życiu, którzy dowiedzieli się o mnie, nawet nie wiem, skąd. Cóż mogłam powiedzieć więcej niż to, co przed chwilą napisałam. Widziałam niebo wypełnione miłością, czułam tę miłość i wiem, że żadna materia ani pieniądz, żadne egoistyczne osiągnięcia nie są warte swojej ceny, którą za nie płacimy, tracąc z oczu najważniejsze uczucie świata. Dla tego uczucia tutaj przychodzimy, dla niego żyjemy i dla niego umieramy. Musimy robić to z pasją, jak Jezus z poczuciem misji niósł swój krzyż.

WIZJA NARODZIN — POWRÓT DO MALOWANIA

Po roku rehabilitacji na różnych płaszczyznach wróciłam do domu. Być może było mi łatwiej asymilować swoją ślepotę, ponieważ widziałam wcześniej, nie byłam niewidoma od urodzenia, do tego byłam malarką i dalej pamiętałam cudowne obrazy otaczającego mnie świata, składałam barwy, widząc wszystko po swojemu, chociaż moje oczy pociemniały jak noc. Jeszcze jednym z atutów, jakie przemawiały za tą tezą, była doskonała pamięć wyćwiczona jeszcze w czasie studiów w Krakowie.

Czułam, że świat wcale mi nie ucieka, biegłam szybciej niż on. Poprosiłam siostrę o sztalugi i farby. Codziennie przymierzałam się, chwytalam pędzel w swoje dłonie, po czym odkładałam go na szafkę pod ścianą, na której powiesiłam obraz mojej rodziny. W końcu sprzedałam dom i przeniosłam się do innego dwupiętrowego budynku. Potrzebowałam pieniędzy, aby się integrować z otaczającym mnie światem, chociaż większość przekazałam na cele charytatywne, a resztę dopiero zamieniałam w niezbędne gadzety, pozwalające na moją łączność

z innymi.

Do sklepu miałam bardzo blisko, sąsiedzi okazali się nad wyraz życzliwi i w ogóle na nowo zaiskrzyło w moim życiu. Niekiedy, gdy nawiedzała mnie nostalgia, żalowałam tamtego domku babci, z którym łączyło mnie tyle wspomnień, ale z upływem czasu wspomnienia stawały się coraz bardziej bolesne. Zrobiłam, jak postanowiłam, i wydaje się z obecnego punktu widzenia, że dobrze.

W końcu w Wigilię Bożego Narodzenia namalowałam mój pierwszy obraz, który zatytułowałam „Narodziny”. Malowałam go wieczorem, kiedy siostra i znajomi rozeszli się do swoich domów. Barwy i kształty same napływały do moich myśli, jakby pochodziły od samego Boga.

To była moja prawdziwa Pasterka, w takiej nie uczestniczyłam jeszcze nigdy w moim życiu. Szukałam przyspieszonego oddechu Maryi, pierwszego krzyku nowo narodzonej Miłości, maleńkiej istoty, która miała dopiero zmienić wygląd świata, dając prawdziwe kolory i barwy stworzonemu przez Boga życiu. Zamiast tego zobaczyłam prawdziwą grotę narodzenia. Wizje nachodziły mnie co jakiś czas, niespodziewanie zamieszkując między oczami z resztą przestrzeni, w jakiejś odległości ode mnie. Początkowo lękałam się patrzeć, odwracając głowę w bok, ale to niczego nie zmieniało. Obraz wcale się nie przemieszczał wraz z moim ruchem. Dałam spokój i przyjąłam wizję, chłonąc ją z prawdziwą radością serca. Maryja klęczała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, łącząc się w modlitwie z Bogiem Ojcem. Mąż jej, Józef, modlił się osobno i patrzył z pewnej odległości w jej stronę. Otaczało ją jasne światło niczym płomienie. Ogniste języki jak prawdziwe płasały wokół jej ciała, stając się coraz jaśniejsze. Wyglądało, jakby zaczęła się unosić ponad posadzką grotę. Była zwyczajnie zatopiona w swojej modlitewnej ekstazie, pełna radości i miłości. Światło stawało się coraz jaśniejsze, przenikało skały, które chociaż były martwe, nabierały natury cechującej żywe organizmy. Nie wiem jak, ale potrafiły być przyjazne i radosne. Światła mieniły się, przenikając skały i tworząc drogę prowadzącą do nieba. Można było z niej wyodrębnić świetliste istoty, jakby niebiańskie anioły. Krążyły, wypełniając tunel niesamowitą jasnością. Nie wiem, czy dobrze interpretowałam całą sytuację, ale chwilę później inne od wszystkich światło spłynęło z góry i nagle przed Maryją, tuż przed kolanami, zobaczyłam malutkie dzieciątko. Biła od niego jasność podobna do światła, które przemknęło drogą z nieba. Być może właśnie to była dusza Syna Bożego, która wcieliła się w ciało. Wtedy dzieciątko zapłakało radośnie, a radość ta udzieliła się całemu światu, jak długi i szeroki. Dokoła Maryi i Dzieciątka na twarz poupadały świetliste postacie, oddając cześć i chwałę Synowi Boga i Niepokalanej Jego Matce.

Cała sytuacja zagnieżdżyła się w moim umyśle z niewiarygodną wyrazistością, tak że potrafiłam ją przelać na stojące przede mną płótno. Wydawało mi się, jakbym znów widziała. Pędzlem bezbłędnie trafiałam w farby,

mieszając je w odpowiedniej proporcji, robiąc wszystko intuicyjnie, pod naporem jakichś wyższych myśli, przy czym otaczało mnie ciepło pełne miłości. Wyczuwałam bliskość moich dzieci i Marcina, właśnie oni dodawali mi pewności, że wszystko, co robię, czynię z wyjątkową precyzją malarską. Próżno szukałam takich emocji w przeszłości, nie dały się z niczym porównać.

Rano w Boże Narodzenie zasnęłam na siedząco w fotelu, pełna radości i szczęścia z prawdziwych narodzin Jezusa, których mogłam być świadkiem, w tak niezwykłych wizjach.

Przeżycia tej Wigilii odmieniły moje życie. Postanowiłam namalować cały cykl obrazów, który został przyjęty za granicą entuzjastycznie. W naszym kraju nikt niczego nie chciał zauważyć, ale, jak mówią, nie można być prorokiem w swoim kraju. Posypały się propozycje wystaw i wernisaży. Jednak do wszystkiego podchodziłam z pewną rezerwą. Otrzymałam dar, którym musiałam się podzielić ze wszystkimi, szczególnie najbardziej potrzebującymi. Nie wyjechałam z kraju, chociaż miałam wiele ofert.

SPOTKANIE Z BRONISŁAWEM

Któregoś pięknego wrześnieowego dnia, jak mi się wydaje, wracałam pociągiem do Żywca. Skład wagonów miał akurat wjeżdżać na stację główną w Bielsku, kiedy usłyszałam miły, przyjazny męski głos.

— Przepraszam, wolne?

— Oczywiście, miejsce jest wolne — zaprosiłam z uśmiechem na ustach.

Po jakiejś chwili zapomniałam o siedzącym obok mnie mężczyźnie. Siedziałam praktycznie bez ruchu, myślami błądząc gdzieś przy mojej ostatniej pracy, którą malowałam od kilku dni. Nie czułam nawet jak palące słońce nagrzewa moje policzki. Całkowicie byłam pochłonięta swoimi sprawami. Nagle otrzymałam solidnego szturchańca, aż podskoczyłam. Nie wiedziałam, co się dzieje, dopóki nie usłyszałam jego głosu.

— Bardzo przepraszam panią.

— Nic nie szkodzi — odpowiedziałam szybko, nie odwracając ani na moment twarzy w jego stronę. Co innego mogłam powiedzieć. — Jestem uodporniona na wszelkiego rodzaju stłuczki — dodałam po chwili.

Wtedy właśnie poczułam, jak moja torebka opuszcza swoje dotychczasowe miejsce na kolanach i spada na podłogę wagonu. Odruchowo chciałam ją jeszcze złapać, zanim spadnie, i wtedy poczułam nagłe, kolejne uderzenie i ból z lewej strony głowy. Mój zmysł powonienia od razu wyczuł zapach tego mężczyzny, który usiadł obok mnie chwilę wcześniej. Widocznie chciał mi pomóc i nasze głowy

znalazły się w jednej płaszczyźnie, podążając w stronę upadającej torebki. Zaraz także oboje postanowiliśmy się wyprostować, co wyczułam z ruchu jego ciała. Ogarnęła mnie nieokiełznana wesołość i zaczęłam się śmiać z tej komicznej, jakby nie było, sytuacji, zwłaszcza dla osób widzących całe zajście z boku.

— Przepraszam, znów coś narozrabiałem, ale chciałem tylko pomóc pani podnieść torebkę. Powinienem zauważyć, że pani robi to także — usłyszałam przepraszający ton głosu mojego sąsiada.

— Och, to ja pana przepraszam — szybko zareagowałam, okazując mu moje przeprosiny, miłym, wdzięcznym jak tylko umiałam głosem.

— Proszę się nie martwić, ja wszystko zaraz pozbięram — zaproponował, opuszczając swoje ciało między siedzenia.

Wiedziałam o tym z odgłosu, z jakim wykonał tę czynność, ponieważ robił to według mnie bardzo niezręcznie. Żałowałam, że nie mogę tego zobaczyć na własne oczy i zaraz dodałam, aby się usprawiedliwić, że nie wykonuję tego sama.

— Bardzo pana proszę — zaczęłam, zmieniając ton głosu. — Niestety, nie widzę i miałabym trudności ze znalezieniem wszystkich przedmiotów.

Zawsze trzymam zapiętą torebkę, nie wiem skąd wzięła się moja niefrasobliwość — próbowałam się tłumaczyć.

— Już wszystko zbieram — usłyszałam głos dobiegający z głębi podłogi.

Pomyślałam, że musi być bardzo sympatycznym mężczyzną. Z reguły po moim wypadku potrafiłam to odczytywać bezbłędnie. Tym razem jednak była między nim a mną jakaś przegroda, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Poczułam nieodpartą chęć jej odsunięcia, a w związku z tym poznania tego człowieka lepiej.

— Proszę sprawdzić, czy wszystko się znalazło — zaproponował, podając mi torebkę prosto w dłoń

Wzięłam ją i przejrzałam całą zawartość prawą ręką, upewniając się, czy wszystko wróciło do mnie w całości. Czuć było, że postarał się mój nieznajomy i znalazł rozsypane rzeczy co do jednej.

— Ogromnie panu jestem wdzięczna, wszystko jest w porządku. Jeszcze czasami bywam taka niezdarna i niezaradna — nałgałam w żywe oczy, dobrze, że moje były zasłonięte ciemnymi okularami. Nie wiem, czy chciałam w nim wzbudzić litość, czy współczucie.

— Każdemu się zdarza — odparł, czym mnie rozśmieszył na nowo. — Nie tak dawno wywalilem pół zawartości teczki na peron i w dodatku zniszczyłem sobie czytnik książek, który pierwszy wypadł z hukiem na betonowy krawężnik. Pani podróżuje sama? — zapytał, starając się dowiedzieć czegoś więcej o mnie.

Zastanawiałam się, czy mam odpowiedzieć, czy zignorować jego pytanie.

— Od niedawna jeżdżę sama — postanowiłam jednak odpowiedzieć.

Może sama się czegoś dowiem o nim.

— Jak pani daje sobie radę? — ciągnął pytanie za pytaniem.

— *Moja siostra mieszka w Pszczynie niedaleko dworca. Urodziła malutkiego dzidziusia, teraz jest już duży, ale nie może już przyjeżdżać do mnie tak często jak kiedyś. Wie pan, ile pracy jest, kiedy pojawiają się dzieci?* — rozpoczęłam konwersację, słysząc, że rozmowa nie bardzo się klei. — *Wiem, znam to doskonale, miałem okazję tego doświadczyć z dziećmi, a teraz z wnukami* — odpowiedział i tym samym dał się wciągnąć w wymianę zdań.

— *O, to ma pan doświadczenie, po głosie myślałam, że jest pan młody* — wpadłam w konsternację. — *Koleżanka odprowadza mnie na pociąg w Żywcu, a w Pszczynie siostra. Tak to wygląda, ale coraz lepiej się orientuję w przestrzeni wagonu i stacji* — rozejrzałam się, jakbym chciała mu pokazać wzrokiem to, o czym mówię.

Niestety zapomniałam o moich oczach, które są pewnie bez wyrazu, do tego zasłonięte czarnymi szklami okularów. Co ja właściwie robię, czy próbuję go podrywać na ślepotę? Chyba zwariowałam, ale wyraźnie czułam w stosunku do niego napływ pozytywnej energii wyzwalającej się w trakcie rozmowy.

— *Jaką już stację minęliśmy?* — zapytałam zmieszana moimi myślami, dodając: — *rozkojarzyłam się zupełnie zajęciem z moją torebką w tle i straciłam poczucie orientacji w przestrzeni mojej podróży.*

— *Właśnie wyjeżdżamy z Wilkowic* — usłyszałam odpowiedź na moje pytanie.

— *Daleko pan jedzie?* — zapytałam, chcąc się dowiedzieć, dokąd może podróżować człowiek, którego podsyła mi los.

— *Właśnie chciałem pani powiedzieć, że na następnej stacji muszę wysiąść.*

— *W Łodygowicach Górnych?* — zapytałam, aby się upewnić?

— *W Górnych, tutaj mieszkam* — wyznał bez ukrywania. — *Miło mi było panią poznać. Do widzenia.*

Pożegnał się tak, jakbyśmy mieli się jeszcze zobaczyć, co z mojego punktu widzenia stało w jawnej sprzeczności z rzeczywistością.

— *Dziękuję za pomoc z moimi kłopotami* — zdążyłam jeszcze raz podziękować, szczerząc zęby w uśmiechu, który nagle się pojawił na ustach, jakby był odpowiedzią na inny uśmiech, który sobie wyobraziłam na jego twarzy.

Byłam ciekawa, czy tam był w rzeczywistości.

— *Z pewnością chciałabym pana zobaczyć* — zaczęłam bezsensownie nowe zdanie, ale więcej już nic nie powiedziałam.

Skierowałam twarz w jego stronę, odprowadzając go moim wrażliwym słuchem, aż do momentu, kiedy drzwi wagonu otworzyły się z sykiem.

Przed zaśnięciem spotkanie z nieznanym wróciło, jakby było jawą. Nie mogłam rozgryźć, dlaczego we mnie pojawiło się zainteresowanie tym człowiekiem. Z pewnością każdego dnia spotykałam podobnych ludzi na swojej drodze, jednak z nim było inaczej. Być może przyszłość pomoże mi rozwikłać tę zagadkę.

KADISZ DLA MARTY

Na tych słowach kończyła się ostatnia strona w pliku i jej przemyślenia, które zostawiła dla mnie. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Naprawdę jest to świadectwo kobiety wyjątkowej, która w ani jednym momencie swojego życia nie oddaliła się od swoich wartości, którymi kierowała się w życiu.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła druga w nocy. W końcu poznałem z zarysie prawdziwe życie Marty, Żydówki, która została katoliczką. Stając wobec trudnych wyborów, była przy tym nieugięta, a jej mowa była prosta jak przesłanie jej życia, w którym kierowała się zasadą tak, tak, nie, nie i nic poza tym. Z pewnością nie byłaby bohaterką w oczach współczesnych młodych kobiet o poglądach liberalnych wobec życia i otaczającego je świata.

Pomyślałem, że napiszę o tym książkę. Czy jednak w tym zwariowanym świecie znajdzie się wydawca, który zechce ją pokazać światu zdominowanemu przez pieniądź i materializm w wielu jego formach? Czy kobieta o tak prostych poglądach może być dla kogoś przykładem w świecie pełnym rozwodów, zabijania nienarodzonych dzieci, wojen, a w przyszłości eutanazji? W którym ludzie dadzą się upodlić dla zdobycia większego majątku, w świecie, w którym jeden zazdrości drugiemu? Myślę jednak, że tak, znajdą się osoby, dla których ta postać będzie bohaterką ukazującą jedną z dróg, którymi należy podążać, aby nie stracić obrazu świata, do którego jesteśmy stworzeni.

Pozostało mi jeszcze jedno jej życzenie do spełnienia. Jutro pojadę na cmentarz do Żywca i odmówię kadisz. Teraz jestem już zmęczony. Oczy zamykają się same. Jeszcze tylko modlitwa i zasłużony sen.

Było może już koło południa, kiedy dotarłem na cmentarz. Chwilę zajęło mi znalezienie grobu z okazałym pomnikiem. Spojrzałem na złote litery, które układały się w znane mi imię i nazwisko kobiety poznanej zaledwie kilka miesięcy temu. Jak szybko wtargnęła w moje życie, tak szybko je opuściła, oczywiście tylko w symboliczny sposób. Tutaj na ziemi tylko tyle znaczylibyśmy. Gdyby nie nasza druga, ukryta "osobowość", pozornie bezbarwna i cicha, przeciwstawna światu, w którym przyszło jej zaistnieć i współistnieć według woli Boga, wszystko byłoby nieważne. W tym miejscu oparłem się tylko na moich domysłach i wierze. Doskonale matematyczny wszechświat stworzony przez Głównego Inżyniera, którego dzieła nie jesteśmy w stanie zrozumieć i pojąć, ani tego, dlaczego nas powołał do życia, nie dawał się naszym wątłym mózgom rozpracować. Być może stworzył nas dla swojej przyjemności. Bóg jest Istotą kreatywną, której tworzenie sprawia przyjemność, a także jest Osobą, której sprawia przyjemność relacja

z innymi swoimi stworzeniami.

Po śmierci wszystko się jednak wyjaśni i każdy z nas dostąpi prawdziwego oświecenia na spotkaniu podsumowującym nasze doczesne starania stawania się człowiekiem na podobieństwo swojego Stwórcy. Natomiast tutaj, w tym miejscu dowiadujemy się, ile znaczyliśmy dla świata, który jeszcze jakąś chwilę będzie o nas pamiętał, a później zapadniemy się w fizycznej niepamięci. Na nic się zdadzą zdobyte na ludzkich grzbietach majątki, ogromna kasa zgromadzona na kontach, jeśli na duszy zawiśnie bezmiar krzywd wyrządzonych innym.

Stojąc nad mogiłą, przestałem widzieć pięknie wypolerowany granit, w którym połyskiwało niebieskie niebo.

Myślamy zajrzałem do wagonu pociągu relacji Katowice-Żywiec, aby jeszcze raz zobaczyć naturalną twarz Marty, oświetloną dziennym światłem. Jak na zwolnionym filmie, klatka po klatce, podchodzę do niej, a ona tym razem odwraca twarz w moją stronę i ściąga czarne jak noc okulary, mówiąc do mnie:

— Czyż nie mówiłam, że każda noc stanie się dniem, każde cierpienie radością, a każda śmierć zmartwychwstaniem?

Wyciągnąłem z kieszeni zwitek papieru, na którym zapisałem żydowską modlitwę.

Marto, nie musiałaś jeszcze odchodzić do lepszego świata, ale wiem, że bardzo tęskniłaś za swoją rodziną, a dobry Bóg wysłuchał twojej tęsknoty i skrócił ją w chwili, w której najmniej się tego spodziewałaś. Każdy dzień jest i nie jest dobry na odejście. Jednak my niczego nie jesteśmy w stanie wybrać i zaplanować. Bóg śmieje się z naszych planów albo tylko się uśmiecha. Czas jednak to ma do siebie, że nie trwa wiecznie, jak nam się zdaje, i kiedy ustanie przyczyna, dla której powstał, nie będzie nam już potrzebny. Nastanie wtedy przeszłość, teraźniejszość i przyszłość jako jedno, ale po co ja to mówię tobie, Marto, skoro ty wiesz już wszystko i widzisz to, czego ja jeszcze pojąć nie potrafię.

Jak obiecałem, pomodłę się i odmówię dla ciebie kadisz.

Niech będzie wywyższone i poświęcone Imię Jego, wielkie w świecie, który Sam stworzył według Swej woli. Niechaj ustanowi Swe królowanie, niechaj sprowadzi wyzwolenie, niechaj ześle już wkrótce Mesjasza, za życia waszego i za dni waszych i za życia całego domu Izraela, szybko i w bliskim czasie. Amen. Niechaj Jego wielkie Imię będzie błogosławione na wieki wieków. Niechaj będzie błogosławione i pochwalone, opiewane i wywyższone, wyniesione i uświetnione, uwielbiane i sławione Święte Imię Jego, niech będzie błogosławiony ponad wszystkie błogosławieństwa i pieśni pochwalne, hymny i dziękczynienia wypowiedane na tym świecie. Amen. Niechaj zapanuje niebiański pokój i szczęśliwe życie dla nas i dla całego Izraela. Amen. Ten, który sprawił pokój na wysokościach, oby zesłał pokój i dla nas i dla całego Izraela. Amen

KONIEC

Refleksje po ostatnim słowie.

Świat pędzi do przodu, ale jeśli przyrzeć się wydarzeniom, wszystkie sytuacje pojawiające się na przestrzeni wieków niewiele różnią się od siebie. Zmienia się sceneria, twarze, pozostają sytuacje, żądze, zależności, emocje, to samo zło i to samo dobro.

Kiedy napisałem ostatni rozdział, uświadomiłem sobie, że powstała współczesna wersja Księgi Hioba. Marta ciągle zostawała czegoś w życiu pozbawiana, a jednak niezłomnie trzymała się swojej wiary, że wszystko w życiu jest potrzebne i czemuś ma służyć, i służyło. W czasie swojego życia w sposób symboliczny staje się biblijną postacią, tracącą kolejno swe ziemskie przywiązania: traci rodziców, dziecko, babcię, męża z córeczką i w końcu zostaje niewidoma. W tym wszystkim potrafi zobaczyć coś więcej niż swoje cierpienie, coś, co pozwala jej przekroczyć próg nadziei.

Życie jest niesamowitym darem otrzymanym od Boga, bez specjalnych zasług, ot tak, rozpoczyna się i nigdy już nie ustaje, nawet jeśli ciało rozpadnie się.